EWA NOWACKA

KLUB SIEDMIU PRZYGÓD

Małgosia contra Małgosia

lesiojot

EWA NOWACKA

Małgosia contra Małgosia

Ilustrował
WALDEMAR ANDRZEJEWSKI

Nasza Księgarnia Warszawa 1984

Text © Copyright by Ewa Nowacka
Warszawa 1975

Illustrations © Copyright by Waldemar Andrzejewski
Warszawa 1975

— Gdzie moje rajstopy?

— Nie wiem.

— Uciekły? Wyparowały? Zostały skradzione przez tajemniczego złoczyńcę w czarnej masce? Jak myślisz?

— Nie wiem.

Ale wiedziałam doskonale. Rajstopy wzięłam z półki dziś rano, miałam zamiar zadać szyku, kraciasta spódnica, golf i te grube, białe rajstopy wyglądające jakby je zrobiono szydełkiem, strasznie fikuśne. Trzeba akurat pecha, że w tramwaju jakaś skwaszona pani przejechała po nich czymś ostrym. Totalny klops z buraczkami. Do wyrzucenia. Nawet wyniosłam śmieci, żeby wszelki ślad po tych maminych rajstopach zaginął, zniknęły w czarnej czeluści zsypu, przepadły na zawsze. Nie ma i nie było.

— Wzięłaś?

— Nie.

Być może mama równie dobrze jak ja wie, że wzięłam, ale skoro już raz skłamałam, należało się trzymać tej wersji. W gruncie rzeczy, dlaczego akurat mama musi mieć takie młodzieżowe rajstopy, a nie ja? Fakt, podbieram mamie różne rzeczy: bluzki, apaszkę z ręcznie malowanego jedwabiu, lakierowane pantofle, zamszową kurtkę. Robię to wtedy, kiedy za mamą zamykają się drzwi. Chodzi do pracy na siódmą. Po powrocie ze szkoły odkładam pożyczone rzeczy na maminą półkę, wszystko gra.

— Dlaczego kłamiesz?

— Nie kłamię.

— Miej trochę odwagi cywilnej. Przyznaj się.

— Mówię, że nie wzięłam.

— To był prezent dla cioci Haliny.

— Tak? — zdziwiłam się uprzejmie.

— Tak. Jeżeli je nosisz, to przepadło. Nie ma prezentu. Za trzy dni pensja. Urodziny dzisiaj, za dwie godziny. Możesz mi coś poradzić?

— Nie. I wcale nie noszę tych rajstop — oświadczyłam z godnością i zgodnie z prawdą. Nie mogę ich nosić, bo leżą w śmietniku, sama je tam wrzuciłam. — Czego ty ode mnie chcesz?

— Żebyś chociaż mówiła prawdę.

— Mówię prawdę.

Mama dotknęła palcami czoła, wyglądało to tak, jakby chciała zetrzeć coś niewidzialnego.

— Pomóż je znaleźć — poprosiła cicho. — Widocznie gdzieś się zapodziały.

W porządku, pomagałam z wielkim zapałem, przerzuciłam do góry nogami wszystkie półki w szafie, odsunęłam tapczan, wybebeszyłam szuflady swojego biurka.

— Nie ma.

— Nie ma — powtórzyła mama jak echo.

Poczułam się głupio, ona była naprawdę zgnębiona tym zniknięciem rajstop. Wcale nie rozgniewana, tylko zgnębiona.

— Dałabym słowo, że je widziałam dzisiaj rano — powiedziała z wahaniem, już wcale nie była taka pewna, czy je widziała, czy nie, bo ja dobrze zagrałam swoją rolę. — Dałabym słowo.

— Ale nie ma ich nigdzie.

— No, właśnie.

Trochę współczułam mamie, tylko już nie mogłam się zdradzić żadną niewczesną litością. Zresztą te rajstopy rozleciały się błyskawicznie, ciocia Halina nie powinna żałować, że nie dostała takiego prc zentu.

— I co teraz będzie?

— Wymyślisz jakiś inny prezent — poradziłam.

— Co?

— Nie wiem, album, czekoladki...

— Nie mam pieniędzy.

— No, to coś ze swoich rzeczy...

— Wykluczone. Nie daje się rzeczy spranych i znoszonych, to powinnaś już wiedzieć.

— Zadzwoń do cioci, że przyjdziesz za parę dni. Wtedy kiedy dostaniesz pensję. Mama nic nie odpowiedziała. Z tą ciocią Haliną jest skomplikowana historia. Ona właściwie nie jest żadną krewną mamy, ja do niej mówię „ciociu" od niepamiętnych czasów i tak się utarło, że to ciocia. Kiedy mama była w zeszłym roku w szpitalu, mieszkałam u cioci Haliny; tak w ogóle jest zawsze: jak się coś stanie — pojawia się ciocia Halina i działa. Wzywa pogotowie, gotuje kleiki, załatwia rozmaite sprawy po urzędach, sprowadza szklarza do wybitej szyby, pożycza pieniądze, z dwóch starych swetrów robi jeden zupełnie nowy, znajduje zgubione klucze, potrafi wymienić przepalone korki, zjawia się u mnie w szkole, jeżeli sytuacja tego wymaga, i roztrząsa później moje sumienie. Prawdę mówiąc mama jest niepraktyczna i zwykle gubi się w gąszczu życiowych problemów, ciocia Halina stanowi jej jedyną obronę przed wrogim światem i jego pułapkami. I dlatego ciocia Halina jest kimś bardzo ważnym dla mojej mamy, dla niej kupiła te drogie, komisowe rajstopy, których by nie kupiła ani dla siebie, ani dla mnie.

Mama wzięła małe pudełko z szafy, otworzyła pokrywkę, wyjęła broszkę.

— Chyba że to.

Na maminej dłoni zalśniła mała broszka, czerwony kamień i złote listeczki. Ta broszka była u nas w domu od zawsze, wiedziałam, że należała niegdyś do mojej babci, przedtem do prababci, a jeszcze dawniej do praprababci. Miała chyba ze dwieście lat albo dużo więcej, przechodziła z matki na córkę, ja ją także miałam kiedyś dostać. I to miałby być prezent dla cioci Haliny? Nie!

— Nie dasz tego! wrzasnęłam.

— Dam.

Mamie na pewno także nie było łatwo rozstać się z tą broszką, już kilka razy miała ją zamiar sprzedać, ale nigdy do tego nie doszło. A teraz przez jakieś głupie rajstopy ta cała ciotka Halina dostanie coś, o czym przywykłam myśleć jak o swojej własności. Nie pozwolę na to. Nigdy się nie zgodzę. Ostatecznie nic się nie stanie, jeżeli ciotka poczeka na prezent kilka dni, wielkie mi rzeczy.

Zrobiłam wszystko, co należało, poryczałam się, pokłóciłam, wspomniałam o babci. Na nic. Mama się zaparła.

— Skoro rajstopy wyparowały, to nie ma innego wyjścia — powiedziała stanowczo, kiedy przestałam szlochać. — Ja ci wierzę, że ich nie ruszałaś, uspokój się. Umyj się, przebierz i idziemy. I już ani słowa na ten temat.

Gdybym wiedziała, że się podrą, nigdy bym nie brała tych głupich rajstop. Ale i tak mama nie ma prawa oddawać cioci Halinie tego, co jest moje. To niesprawiedliwe! Sama kiedyś mówiła, że dostanę tę broszkę, jak zdam maturę. Ta broszka jest moja. Moja! Ale mama jakby ogłuchła, równie dobrze mogłabym kierować swoje pretensje do milczącej ściany albo do szafy, z której wnętrza kipiały nieporządnie wepchnięte ubrania.

— Ja nie idę — sięgnęłam po ostateczny argument.

— Pójdziesz.

— Nie pójdę.

— Pójdziesz.

— Nie!

Ze mną wcale nie jest łatwo. „Arogancka” — mówią w szkole. „Trudna” — mówi mama. „Twarda” — mówią dziewczyny i chłopaki. Właściwie zawsze stawiam na swoim, jeżeli mi na czymś zależy, a tym razem zależało mi bardziej niż kiedykolwiek. No i mama poszła sama na te urodziny, broszki także nie wzięła.Miałam zamiar trochę się pouczyć, ale odechciało mi się po tym wszystkim, nauka nie zając, nie uciek-

nie. Położyłam się, przed sobą postawiłam pudełko. Jak robi się takie malusieńkie listki ze złota? Wszystko jedno, młotkiem albo jakoś inaczej. Ten kamień nazywa się rubin.

Zerwałam się z tapczanu i przyłożyłam broszkę do swetra. Przypnę ją, nawet już wiem kiedy. Jeżeli Jacek umówi się wreszcie ze mną, tego dnia przypnę sobie broszkę. To będzie taki znak, że stało się coś ważnego. Niedługo skończę piętnaście lat i chyba czas, żeby mieć własnego chłopca. Jacek nic nie rozumie, ale wreszcie chyba pojmie, że chcę z nim chodzić. Po co mam czekać do matury na to świecidełko? Mogę je wziąć tego dnia, kiedy pójdę na pierwszą prawdziwą randkę.

Broszka ładnie wygląda na białym, kamień lśni ciemnoczerwoną poświatą, błyszczy złoto...

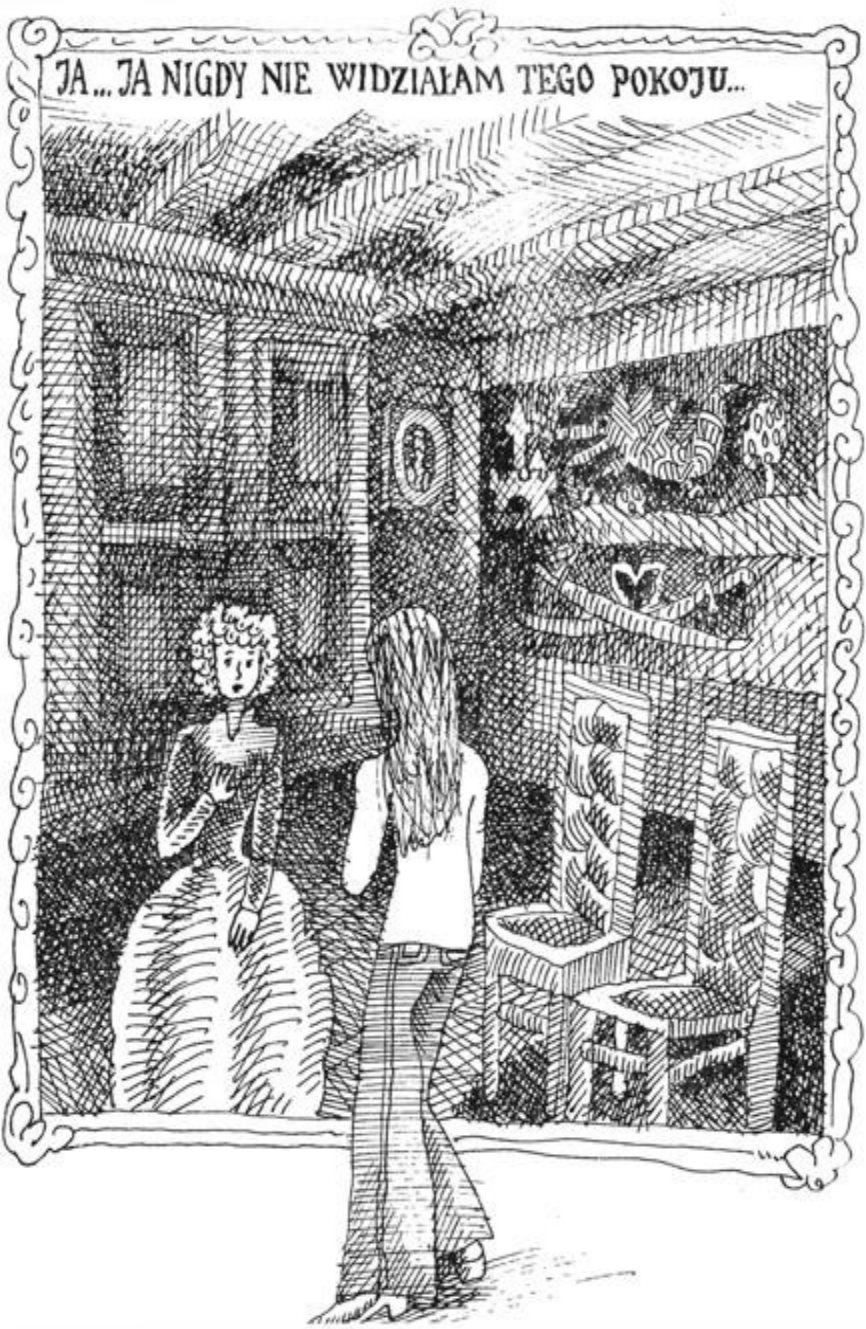
JA... JA NIGDY NIE WIDZIAŁAM TEGO POKOJU...

– Jejmościankę tylko po śmierć posłać.

W matowej tafli lustra obwiedzionego ciężką rzeźbioną ramą zobaczyłam stojącą za mną kobietę, szerokie oblicze ujęte w falbanki rogatego czepca. I ten pokój jakiś przedziwny…

Ogromna szafa z ciemnego drzewa. Krzesła wysokie jak trony, kryte skórą, na ścianie jakiś niby kilim, w ogóle nie wiadomo co, drzewa, smoki i zamek z ostrokończystą wieżą. Ja… ja nigdy nie widziałam tego pokoju.

– W zwierciadełko jejmościanka się gapi, żeby jeno dytka na słomianych nogach nie zoczyła, jak się już niejednej pannie, pełnej światowej próżności, przydarzyło.

I teraz stało się to najdziwniejsze. Odwróciłam się i dygnęłam, skądś wiedziałam nie tylko, że muszę dygnąć, ale także znałam słowa, które należało powiedzieć:

– Stokrotnie upraszam przebaczenia ciotuni dobrodziejki. Jenom z pustoty w zwierciadło zerknęła.

Jakimś czarodziejskim sposobem miałam na sobie suknię długą do ziemi, byłam ściśnięta w pasie aż do mdłości, a moje policzki drapał wykrochmalony na sztywno kołnierz. Bardzo chciałam przejrzeć się w lustrze, ciekawa, jak wyglądam w tym przebraniu, ale nie odważyłam się.

– Niech no jejmościanka Małgorzata zębów po próżnicy nie suszy, jeno do sali wraca. Pani matce mruczno[1], a pan Stanisław już chce precz jechać, zniknięcie jejmościanki za afront przyjmując.

Znowu, nie wiem skąd, nadeszły do mnie słowa:

– Ja się pani matce i panu Stanisławowi przystojnie wyekskuzuję[2], żem od nich poszła.

— Kotki u jejmościanki w głowie – nieżyczliwie parsknęła imponująca dama. – Czyż to przystoi panience w takie klejnoty się stroić?

Palec kobiety oskarżycielsko wycelował ku mojej szyi, odru-

1 Mruczno (komuś) – ktoś jest zły, zagniewany.

2 Ekskuzować – usprawiedliwić, tłumaczyć.

chowo podniosłam dłoń i poczułam pod palcami złote listeczki i wypukły brzuszek rubinu.

– Pannie przystoi opal, turkusik, perełka, klejnoty ku ozdobie panieńskiego stanu stworzone, na rubiny a szmaragdy przyjdzie czas w małżeńskim stanie, kiedy Bóg pozwoli.

Najdziwniejsze, że wcale nie czułam się spłoszona słowami nieznajomej, więcej, przyjmowałam je jako coś zupełnie zwyczajnego i normalnego. Miałam tylko poczucie nieprawdopodobnej zgrywności tej sytuacji, meblasy przytłaczające i olbrzymie, te stroje jak w teatrze i ten pokój, niski, ale rozległy. W jego jednym kącie zmieściłaby się cała mamina kawalerka wraz z niszą kuchenną i łazieneczką.

Szumiąc suknią i nieco przydeptując obrąbek (głupio jest chodzić w czymś aż tak długim i szerokim), przemknęłam się obok nieznajomej i pospieszyłam ku drzwiom. Jeżeli to jest nasze mieszkanie – drzwi prowadzą na klatkę schodową.

To nie było nasze mieszkanie. Za drzwiami był pokój równie ogromny jak ten, z którego uciekłam, zastawiony długim, straszliwie długim dębowym stołem, owymi ciężkimi krzesłami przypominającymi trony i obwieszony długim, straszliwie długim szeregiem kapiących od złota ram. Jak się było lepiej przyjrzeć, to w ramach tych tkwiły portrety kobiet w takich samych czepcach, jak nosiła nieznajoma, lub wąsate oblicze, krwiste – niczym źle wysmażony befsztyk – z wytrzeszczonymi oczami i podgolonym ciemieniem.

Coś nakazało mi spuścić oczy, ze wzrokiem wbitym w deski podłogi popłynęłam, szumiąc sukniami, wzdłuż stołu aż do miejsca, gdzie siedziała (Co ja mówię! Nie: „siedziała", tylko: „zasiadała", „prezydiowała"; jakoś w tym stylu) druga dama w czepcu i wąsaty – jak na portretach ze ścian – mocno podstarzały jegomość, łysiejący, pomarszczony, z nienaturalnie przekrzywioną głową.

– Jako wizerunkiem bogini z wysokich Ilelikonów zstępującej widokiem waćpanny ucieszony jestem… – zaczął ten stary.

Był także wystrojony w coś dziwnego, lamowanego futrem i kolorowego, nie mogłam oderwać wzroku od jego guzików. Nie znam się zupełnie na tym, ale one były albo z czeskiej biżuterii,

albo z prawdziwych klejnotów, i pas też był zupełnie nadzwyczajny, szeroki na dwie dłonie, lśniący, bardzo piękny, tkany we wzór z kwiatów i liści.

Coś tam jeszcze mówił o syrenie, o najadzie (co to takiego?), o jakimś korowodzie, którego bym mogła być prawdziwą ozdobą. Miałam im ochotę powiedzieć, żeby się przestali wygłupiać, bo to nie ma sensu i... milczałam. Milczałam i wpatrywałam się w misterny wzór posadzki ułożony na przemian z ciemnych i jasnych deszczułek.

— Waćpan ze wszystkim Małgosię skonfundowałeś[3] — odezwała się ta druga dama w czepcu. — Młode to jeszcze i politycznego zachowania niezwyczajne.

Już miałam na końcu języka, że z wychowania obywatelskiego mam czwórkę, a co do polityki to Marek, Iwona i Krzysiek są może lepsi niż ja, ale ja także orientuję się zupełnie dobrze w zagadnieniach omawianych przez gazety, radio i telewizję — i znowu coś kazało mi milczeć.

— Ręki mi, waćpanna, nie podasz? — zapytał ten stary. — Wybieżałaś z komnaty niby sarna spłoszona, aleć dorozumiewam, że deklarację[4] przyjmujesz, jako i pani matka; tuszę, przychylnym sercem przyjęła.

Nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi, to przypominało przemowy pana Zagłoby z „Przygód pana Michała" w „Teleranku". Jakaś sztuka czy serial, może film, do którego zostałam włączona w dziwny sposób. Chyba że to jest sen, wtedy się obudzę na własnym tapczanie i trochę się zdziwię, że śnią mi się takie głupstwa. Co ja mam mu odpowiedzieć?

— W imieniu Małgosi za uczyniony zaszczyt dziękuję — wybawiła mnie z kłopotu kobieta w czepcu. — Wszelako sam waćpan pojmuje, że muszę z krewniakami rzecz consultare[5], bowiem jako sam waćpan wiesz, usus[6] to ekstraordynaryjny [7] najmłodszą przeri starszymi z domu wydawać.

---

3 Konfundować — zawstydzać.
4 Deklaracja — oświadczyny.
5 Consultare (łac.) — naradzać się.
6 Usus (łac.) — praktyka, zwyczaj.
7 Ekstraordynaryjny — nadzwyczajny.

— Sercu nakazać trudno, by pod uwagę ordynek[8] brało, a nie afekt ku personie sercem wybranej. Mnie jejmościanka Małgorzata dniem i nocą w myślach stoi.

Młodszej czekać wypada, skoro starsze jeszcze nie wyswatane.

— Tedy rekuzy mam się spodziewać?

— Tegom nie rzekła. Jeno o czas do namysłu najpokorniej upraszam.

Nic nie rozumiałam z tego gadania. Oderwałam wzrok od podłogi i wgapiłam się z kolei w sufit. Na suficie ktoś namalował muszlę, na muszli bardzo tęgą panią bez ubrania, a wokoło tej pani takie małe aniołki. Zachichotałam.

— Sam widzisz, waść, że u Małgosi pstro w głowie. Przystojniej by było o Klaruni pomyśleć albo afekta ku Dorocie skierować.

— Ja urodzie i modestii[9] jejrąościanek Klary i Doroty w niczym nie przyganię, alem afekta ku pannie Małgorzacie przykłonił i inaczej być nie może.

W tej chwili zdałam sobie sprawę, że coś mnie nieznośnie pije nad kolanami, że przy każdym ruchu coś trzeszczy w fałdach mojej sukni i że swędzi mnie głowa. Podrapię się, trudno. To oni chcą, żebym była w tej sztuce czy w filmie, ja wcale nie mam ochoty. O czym oni właściwie gadają? Są celne deklaracje, które się wypełnia przy wyjeździe zagranicznym, z mojej klasy Agnieszka jeździła z rodzicami do NRD i wypełniała taką deklarację. A w ogóle co mnie to wszystko obchodzi?

Podrapałam się możliwie dyskretnie. Na stole przed kobietą w czepcu i tym staruszkiem stały fikuśne czareczki i dzbanuszki Aha, już wiem. To się nazywa rekwizyt.

Każdy teatr ma swoje rekwizyty. Kiedyś w telewizji szukali jakiegoś kompletu mebli w stylu... Nie pamiętam, w jakim stylu, ale chcieli kupić.

Tamci dwoje coś naszeptywali półgłosem, stałam jak kołek, bojąc się ruszyć. To głupio być na scenie, kiedy się nie zna roli. Żebym chociaż wiedziała, co mam powiedzieć i zrobić. Nie ma widowni, żadnego reżysera ani kamer. Może są za tamtymi

8 Ordynek — rząd, szereg.

9 Modestia (łac.) — skromność.

drzwiami, szkoda, że nigdy się nie zainteresowałam, jak właściwie kręci się filmy. Za tamtymi drzwiami... Zaraz zobaczę, co jest za tamtymi drzwiami.

Kiedy ten staruszek wstał, znowu wiedziałam, co powinnam zrobić. Palce same chwyciły fałdy sutych spódnic, przysiadłam w głębokim ukłonie niby jakaś markiza Angelika. Zabawne, nir gdy tego nie ćwiczyłam, a wyszło mi tak, jakbym od dziecka niczego innego nie robiła. Widziałam, że kobieta skinęła z zadowoleniem głową, widocznie dobrze zagrałam swoją rolę.

– Tak więc waćpana przed świętym Marcinem oczekujemy – wygłosiła swoją kwestię dama w czepcu, podeszła do tych drzwi, za którymi powinien być reżyser, kamery i w ogóle, skinęła na mnie. – Gdyby zaś sprawy niepomyślnym potoczyły się biegiem, będziesz, waćpan, moim pismem uwiadomiony.

— Tuszę, iż waćpani mając wzgląd na rewerencję[10], jaką dla niej samej i całej familii żywię, rychło surowy namysł w łagodną odmienisz wyrozumiałość.

Otworzyły się drzwi. Zdębiałam, ogromna sień cała obwieszona rogami (jelenie? łosie?), łbami dzików, bronią, na ławie pod ścianą drzemał chłopak, niewiele starszy niż ja, ubrany w jakąś dziwaczną okryjbidę. Na nasz widok zerwał się i ukłonił tak nisko, że mało brakowało, a dziugnąłby nosem w deski podłogi. Zaraz, zaraz... Są tu jeszcze jedne drzwi. Może za nimi?...

Nie potrafię powiedzieć, skąd na staruszku znalazło się nagle futro (przypominał pękatą kopę siana), i tamte drzwi otworzyły się na oścież.

Zupełnie zgłupiałam. Za drzwiami padał deszcz ze śniegiem, czarne drzewa powiewały mokrymi bezlistnymi gałęziami. To wszystko było prawdziwe, najprawdziwsze, żadna dekoracja, zwyczajne drzewa, zwyczajny deszcz, błoto cmokające i gęste, w które koła wrzynały się aż po piasty. Te koła należały do prawdziwej karety, takiej z szybkami i opuszczanym stopniem, i ta kareta stała w błocie i deszczu przed moimi zgłupiałymi oczami. W cztery konie. Naprawdę w cztery konie, ani jednego mniej. Jak w bajce albo w historycznym filmie.

Tego już było za dużo. Z gardła wydobył mi się ni to pisk, ni to

10 Rewerencja – szacunek, poważanie.

szloch, zakręciłam się dookoła i bez namysłu runęłam w jeszcze jedne drzwi, które znajdowały się w tym ogromnym przedsionku. Usłyszałam drugi pisk.

— Pięknie niczym Tatarzyn skakać? — doszło mnie z boku. — Statku za grosz, Boże odpuść, istny bisurman, nie panna.

Przede mną stała dziewczyna, ubrana w taką samą ogromną suknię ze sztywno nakrochmalonym kołnierzem, na jej czole pysznił się siniak. To właśnie ją uderzyłam drzwiami, wbiegając do tego pokoju. Mogła mieć osiemnaście lat. O rany, za nią stała jeszcze jedna taka sama, tylko trochę starsza. Obie miały nakręcone mnóstwo małych, zapieczonych loczków na głowie (w naszym domu jest pani Julia, emerytka, która fryzuje sobie włosy żelazkami, więc wiem, jak się to robi) i wrogo zacięte wargi. Patrzyły na mnie... Nie do uwierzenia — patrzyły na mnie z wyraźną nienawiścią.

— Triumfuj, dworuj[11] sobie, mamusina pieszczotko! — syknęła ta starsza. — Pewno już i zrękowiny postanowione, co?

— Siostrunia aż piszczy do ołtarza — dodała kwaśno ta młodsza. — Dla ciebie miód, a dla nas jeno woszczyna. Dla ciebie szkarłatny postaw[12], a nam paczesie[13]. Ty po próżnicy nie susz zębów, da Bóg, wszystko się jeszcze po naszej myśli ułoży.

One .najwyraźniej mówiły do mnie, były na mnie wściekłe, ta starsza prawie płakała ze złości. Głupie jakieś czy co? Zaraz zdejmę tę kieckę i wyniosę się stąd. Wezmę sobie kilka jabłek i położę się na tapczanie. Mama tak prędko nie wróci z tych urodzin. Pewnie ciocia Halina pytała, dlaczego nie przyszłam. A tam, nieważne. Puszczę sobie płytę z Grechutą: „Panno młoda, młoda panno' .. Właściwie lubię być sama wieczorem. A z tymi rajstopami to faktycznie łyso, szkoda, że je brałam, ale przepadło.

Pomacałam suknię z tyłu w poszukiwaniu eklera, nie było. Nie zastanawiając się długo, zaczęłam ściągać ten bufiasty i trzeszczący przyodziewek przez głowę, ale równie łatwo mogłam w ten sposób zdjąć z siebie średniowieczną zbroję.

---

11 Dworować — żartować, kpić.

12 Postaw — sztuka sukna, zwój sukna.

13 Pacześ — włókno lnu lub konopi; pacześny — zgrzebny.

Uplątana z głową w zwoje materii, jakieś obręcze, patyki, diabli wiedzą co. szarpałam się i podskakiwałam z okropnym tupotem. Co ja mam pod pantoflami, podkowy? A może założono mi do tej roli drewniaki?

— Widzicie sama, pani matko, jakie Małgoś brewerie wyprawia, robę[14] na sobie szarpie, całkiem z rozumu zeszła.

Jakieś ręce wyplątały mnie z sukni i nim zorientowałam się, komu zawdzięczam wybawienie, dostałam w twarz, aż klasnęło. Nikt mnie nigdy nie uderzył w twarz.

— Za co? — zapłakałam.

— A za to! — Kobieta w czepcu patrzyła na mnie także z gniewem. — Jak dzikus, pohaniec, z sali wybiegasz, kiedy grzeczny kawaler z afektami się oświadcza, słowa dorzecznie nie odpowiesz, ino oczami wkoło strzelasz, jakbyś całkiem nie miała wstydu. I śmiechy nieprzystojne,.. — Dama spurpurowiała z oburzenia. — Jeszcze za wiele zaszczytu dla ciebie... — Znowu nie dokończyła.

Przestałam płakać i niemądrze rozdziawiając usta wpatrzyłam się w swoje nogi. Czegoś takiego nie widziałam nigdy w życiu. Pantofle były trochę podobne do tych modnych — bardzo gruba podeszwa i potężny klocowaty obcas — oblecą, ale... To, co miałam na nogach, przypominało te nieszczęsne rajstopy. Jakby zrobione szydełkiem, białe i wzorzyste. Tylko że kończyło się zaraz za kolanem, po prostu te skarpety zwinięto w wałek i zawiązano mocno przybrudzonymi tasiemkami. Teraz zrozumiałam, co tak piekło, tasiemka wżarła mi się w ciało, to było bolesne i piekielnie niewygodne.

— Gdzie są moje rajstopy? Sweter? Dżinsy? — niech sobie te dziwadła robią, co im się podoba, mnie już nie ma, idę sobie, cześć. Tylko powiem jeszcze tej pani do słuchu, ze mną nie tak łatwo. — Bić się nie pozwolę. Nikomu. Pani też.

— Jak ty się do matki zwracasz?!

— Bizunem Małgosię na kobiercu przeciągnąć raz i drugi, to jej rozumu do głowy najdzie — zatrzeszczały z dwóch stron tamte dziwacznie ubrane dziewczyny.

Uuu, im też tak powiem, że im zaraz kapcie z nóg pospadają.

14 Roba — wykwintna, strojna suknia.

– A wy się nie wymądrzajcie – powiedziałam patrząc na nie z pogardą. – Wyczupirzyły się i kwoczą jak kury. Mam was w nosie, jak chcecie wiedzieć. Aktorki ze spalonego teatru!

Nie potrafię opowiedzieć, kiedy znalazłam się w zimnej jak zamrażalnik komórce, z kamienną posadzką i grubymi ścianami. Wepchnięto mnie tam siłą, skądś pojawili się jacyś nowi przebierańcy, kobieta w czepcu pokazywała mnie palcem i krzyczała. To ci przebierańcy wepchnęli mnie tutaj.

Pochlipałam sobie trochę, później zaczęłam zastanawiać się nad sytuacją. Jeszcze raz obejrzałam sobie te długie skarpety, rozwiązałam tasiemki, skarpety w smutnych harmonijkach zwinęły mi się nad kostkami Rany boskie, miałam na sobie ze cztery halki, bombiaste i grube, zawiązane w pasie. Wyżej – coś w rodzaju gorsetu, trochę podobnego do tych gorsetów, w których tańczy się krakowiaka. Co za idiotyczne ubranie, ciężkie, niewygodne, nie wiedziałam, że aktorzy muszą pod kostium wkładać coś takiego, serdecznie im współczuję.

Po chwili przejęło mnie zimno, zęby same zadzwoniły o siebie. Przez małe, zakratowane okienko, umieszczone tuż pod sufitem, sączyło się brudnawe światło jesiennego dnia, obeszłam to kamienne więzienie, ani śladu kaloryferów, ciekawe, jak długo mnie tu będą trzymać? Muszę być przecież w domu, kiedy mama wróci z tych urodzin, prawda? No, to dosyć tych głupich kawałów, zresztą dzisiaj wieczorem w telewizji jest dobry film, miałam zamiar zatelefonować do Joli, żeby do mnie przyszła, to razem pooglądamy. Tylko co zrobić, żeby się stąd wydostać?!

Drzwi niby od skarbca, masywne, grube dechy, żelazne sztaby. Walę, kopię, ani drgną, echo głucho dudni w kamiennych ścianach.

Kiedy już zupełnie osłabłam od krzyku, drzwi uchyliły się z przeciągłym skrzypieniem i stanęła w nich kobieta, z którą rozmawiałam w pokoju z lustrem, pierwsza, którą spotkałam w tym dziwnym świecie.

– Pani matka nakazuje ci dwa różańce odmówić i o przebaczenie ją i siostry prosić.

Co? Jaka matka? Moja? To ja tutaj mam jakąś inną matkę?

Starczy tego wygłupiania, mam dosyć. Z początku to było trochę draczne, teraz dziękuję. Nawet nie zastanowiłam się dobrze, gdy wrzasnęłam:

– Niech pani mnie wypuści! Wracam do domu.

Kobieta zamrugała powiekami, wyglądała na przerażoną.

– Mroczki cię znowu zdjęły?

– Jakie mroczki! Mówię, że chcę wyjść. Czy pani nie rozumie po polsku?! Chcę wyjść!

Drzwi zawarły się ze skrzypieniem i znowu zostałam sama, tym razem nie na długo. Kobieta przyprowadziła ze sobą drugą, tę, która mnie uderzyła. Szły ku mnie z szelestem spódnic, surowe i wyprostowane.

– Już ja jejmościance kaprysy z głowy wybiję, już ja Małgosię subordynacji przyuczę – odezwała się ta druga. – Matki wola święta, to chyba jejmościance wiadomo? Już mi Małgosia tumultów i rebelii wyprawiać nie będzie.

Coś tam jeszcze mówiła, a ja pojęłam, że ta kobieta, nie wiadomo dlaczego, uważa mnie za swoją córkę.

– Pani nie jest moją matką – powiedziałam bardzo głośno i wyraźnie. – Proszę mnie w tej chwili puścić, bo zawiadomię milicję.

– Zaraz zoczyłam, że ona w gorętwie nieprzytomnie plecie – zajęczała druga kobieta łamiąc ręce. – Ani chybi niemoc albo i złe powietrze uderzyło. Medyka trzeba.

Ta pierwsza, niby matka, dotknęła mojego czoła, mało brakowało, żebym ją ugryzła w rękę.

– Jak piec rozpalona. Wołajcie Mikołaja.

Znowu zaroiło się od obcych, wyrywałam się, krzyczałam, na próżno, zanieśli mnie do łoża równie ogromnego jak wszystko w tym dziwnym domu, ściągnęli mi tylko skarpety i pantofle, po czym zostawiając te wszystkie halki i gorsety, przywalili masywną pierzyną.

– Co jaśnie oświecona pani rozkaże? – zapytał ktoś nad moją głową.

– Sam, asan, obacz, od rzeczy gada, widać w gorętwie.

Człeczyna z czerwonym nosem, z dużą torbą, był tak zabawny, kiedy pochylił się nade mną, że musiałam się roześmiać,

chociaż mi wcale nie było do śmiechu. Wyglądał jak jeden aktor, który się nazywa Leśniak, ja się zawsze śmieję, gdy widzę Leśniaka.

Człeczyna pomacał mi puls, zastanowił się przez dłuższą chwilę, z namysłem potarł czerwony nos.

— Flegma do mózgu doszła — zadecydował z powagą. — Albo żółć w humory[15] się wlała.

— Co, asan, radzisz?

— Krew by trza oczyścić.

Już nawet przestałam się szamotać pod tą pierzyną, pozwoliłam sobie przewiązać rzemieniem rękę nad łokciem, aha, będą mierzyli ciśnienie, w ośrodku pani doktor ma dmuchaną gumową poduszeczkę do tego celu, oni widocznie nie mają. Może ja rzeczywiście jestem chora? Dostanę lekarstwo i będę mogła być z powrotem sobą.

Wrzasnęłam wniebogłosy dopiero wtedy, kiedy z przeciętej żyły trysnęła krew.

— Sama wielce miłościwa dobrodziejka widzi, że jucha czarna i zapieczona — rzekł z zadowoleniem człowieczek podobny do Leśniaka. — Tędy główne wapory[16] wyjdą, a resztę bańkami i pijawkami ściągniemy.

Zrobiono mi opatrunek, kręciło mi się w głowie, nic nie rozumiałam. Spróbujmy pomyśleć. Ja jestem Małgosią. Oni także mają tutaj swoją Małgosię i tą ich Małgosią jestem ja. Tak wychodzi, że ja ich nie znam, a oni znają mnie bardzo dobrze, nie wiadomo skąd. Ja jakoś do nich trafiłam, chociaż nie ruszałam się z domu. To jest taki głupi sen, wystarczy się obudzić i wszystko zniknie, kobiety w czepcach, człowieczek z czerwonym nosem, nabita pierzyna, miednica z bryzgami krwi i te zaglądające zza drzwi głowy z przypieczonymi lokami.

— Chcę się obudzić — zaszeptałam sama do siebie. — Chcę się obudzić.

Wcale się nie obudziłam, kobiety w czepcach, człowieczek, pierzyna i miednica nie zniknęły. Zupełnie osłabła i zrezy-

15 Humory — płyny krążące w naczyniach krwionośnych i w przestrzeniach międzytkankowych.

16 Wapory — wyziewy

gnowana nie broniłam się, kiedy człeczyna wyciągnął ze słoika dwie czarne pijawki i przystawił je za moimi uszami.

Trzęsłam się ze strachu i ze wstrętu. Oni mogą ze mną zrobić coś strasznego, a ja nie mogę ani bronić się, ani uciec.

Ale to wcale nie był koniec. Odwrócono mnie plecami do góry, człeczyna pomachując ogromnym kwaczem nagrzewał bańki. Z całej siły zacisnęłam wargi, nie będę krzyczała, nie zrobię im tej przyjemności. Wytrzymam.

No i wytrzymałam bez jednego jęku. Wreszcie sobie poszli i zostałam sama w parnym zaduchu pierzyny, aha, osłonili jeszcze to całe łóżko długimi firankami, zwieszającymi się od daszku do podłogi, bo to łóżko miało taki niby-daszek na kolumienkach.

Jeżeli rozumuję poprawnie (nasz matematyk zawsze powtarza, że grunt to poprawne rozumowanie!), jakimś złośliwym zrządzeniem losu zostałam przeniesiona w dawne czasy, i to wcale nie w dawne czasy stanowiące tło filmu, ale w najprawdziwsze dawne czasy. To się wydaje niemożliwe, ale tak jest naprawdę. Ładnie. Ja jestem ich Małgosią, tak jakby mieli tutaj wolne miejsce na mnie, wskoczyłam w to puste miejsce i jestem. Coś w rodzaju liczby x, której szukali. Trzeba było przeczytać „Trylogię". Łatwo się mówi: przeczytać! „Ogniem i mieczem" – dwa tomy, „Potop" – trzy tomy, „Pan Wołodyjowski" – jeden, ale bardzo gruby. „Przygody pana Michała" widziałam w „Teleranku", nawet mi się podobały. Pan Łomnicki najpierw kochał się w Krzysi, potem się ożenił z Basią. Krzysia grała na takiej mandolinie, a Basia jeździła konno i strzelała z guldynki (może zresztą to, z czego strzelała, nazywało się zupełnie inaczej), machała szablą i uciekła od Daniela Olbrychskiego, który w tym serialu miał na imię Azja.

Jeżeli to wszystko nie jest bujdą i bladą lipą, to jakoś będę musiała spróbować żyć w tym świecie, dopóki z niego nie ucieknę. Ja się tak łatwo nie poddaję. Poradzę sobie. Skoro mogłam tu trafić wprost z naszej kawalerki, to znajdę drogę z powrotem, do swojego świata. Chyba że to jakiś głupi kawał.

Dotknęłam opatrunku na przegubie ręki i syknęłam z bólu. Dziękuję za takie kawały. Plecy bolały mnie jak przyżegane

ogniem, to też nie mógł być kawał.

Skrzypnęły drzwi.

— Ciii...

— Pewnikiem zasnęła.

— Obacz, Dorotko.

Przymknęłam oczy. Za firanką błysnęło płomieniem świeczki, ta młodsza dziewczyna popatrzyła na mnie i opuściła zasłonę.

— Śpi. Chwała Bogu, że cyrulik zratował. Aż poty na mnie uderzyły, jak ją zobaczyłam. Żal mi siostrzyczki.

— Coś taka litościwa, Dorotko? Ona, chociaż najmłodsza, wielką panią będzie, mężatką, a ty chociaż starsza pod mniszy welon pójdziesz.

Coś zaczynałam rozumieć. Zęby szczęknęły, czoło pokryło mi się lepkim potem, leżałam cała zamieniona w słuch.

— Z początku i mnie rankor[17] ujął — mówiła dalej ta, którą nazywano Dorotą. — Przecie i popuścił, kiedy Małgoś od rzeczy pleść poczęła. Albo jej pan Stanisław nie po sercu, albo z alteracji[18] w pomieszanie i chorość wpadła.

Przez szparę w firankach widziałam je obie w tańczącym blasku świecy. Aha, to tak się'zdejmuje te suknie: rozwiązuje spodnią tasiemkę i wychodzi ze spódnicy, która jak dzwon wzdyma się na podłodze, górę po odpruciu sztywnego kołnierza ściąga się przez głowę, zupełnie proste, tylko trzeba wiedzieć. Teraz zwijają te skarpety w obwarzanki nad kostką i ostrożnie zdejmują. Ich łoża są równie ogromne jak moje i też zaopatrzone w firanki i daszek. Teraz powinny obie pójść do łazienki.

Nic takiego się nie dzieje, wchodzą pod swoje pierzyny. Ta, która ma na imię Klara, odzywa się sennie:

— Znów o pacierzach przepomniałyśmy.

— Ja na leżący odmówię, siostrzyczko.

Pfffuuu, dmuchają na świecę, robi się zupełnie ciemno.

Z tej ciemności odzywa się jedna z nich:

— A ja ci powiadam, że jakby dziadunio dobrodziej tego legatu Małgosi nie zapisał, toby pan Stanisław do mnie albo do

17 Rankor — gniew, uraza.

18 Alteracja — wzburzenie, niepokój.

ciebie w konkury poszedł. Jemu nie o Małgosię chodzi, jeno o te wsie, które ona wianem dostanie podług dziadziusiowej woli. Ja bym na Małgosinym miejscu takiego starego nie chciała.

Ta druga, Klara, aż się porywa z pościeli.

— Szaleju żeś się najadła, Dorotko? Przecie on z rodu, gdzie i krzesła poręczowe[19], i mitry nie dziwota!

— Stary.

— To i lepiej. Stateczniejszy.

— Szyję ma krzywą.

— Też! Pan Hieronim na nogę utykał, a tobie oczy omal do niego nie wyskoczyły.

— Wcale o niego nie stałam.

— Znają cię, nic się nie bój. Jedną chwilą byś do ołtarza leciała. Żeby jeno konkurent się znalazł.

W mroku chlipnięcie i schrypnięty głos:

— Znajdę i ja przyjaciela dozgonnego. Czym ja maszkara jakaś, krzywa albo i na umyśle pomieszana? Czego mi brak?

— A Małgoś, ledwie z dziecięcego kabatka[20] wyrosła, zaraz w zamęście idzie — syknęła Klara.

— Ja bym też poszła, jenoś ty na przeszkodzie stała, zdrajczynio.

— Ja?!

— A kto mamie powiedział, że z Jachniczkiem sekretnie się schodzę? Nie ty? Kto do pana Żegoty zęby suszył i ze mną mu tańcować nie dawał? Ty czy nie ty? Kto list od krajczego wykradł i pani matce pokazał, com przez trzy dni w komórce o chlebie i wodzie pościła! Nie ty?

— Głupiaś!

— A pewno, żem głupia. Zawsze ci na zawadzie stałam, zawsześ opresje na mnie szykowała.

— Nie ma co języka po próżnicy strzępić. Jedna dola nas czeka... — tu ta starsza przerwała i dodała tonem głębokiego namysłu: — Jeno nie wiadomo, jak to będzie, chyba że na bose mniszeczki nas oddadzą, bo jakby jakie zacniejsze zgromadzenie, to wiano nie gorsze potrzebne niż do zamęścia,

19 Krzesło poręczowe — tu: urząd senatorski.

20 Kabatek — wierzchnie okrycie, zwykle krótkie, rodzaj żakietu.

ba, lepsze.

Głosy umilkły. Więc ja, czyli ta ich Małgosia, mam wyjść za mąż. Czy one nie wiedzą, że jak się ma piętnaście lat, to się nie wychodzi za mąż?! To jest zabronione i w ogóle bez sensu, chybabym umarła ze wstydu, jakbym musiała mieć męża, i to jeszcze w dodatku takiego staruszka. Bo one mówiły o tym staruszku z krzywą szyją, tego byłam pewna. Wpadłam jak śliwka w kompot, nie ma co.

Kiedy ciemność wypełniły równe, senne oddechy, ostrożnie wylazłam z pościeli i, trzęsąc się z zimna, powędrowałam ku drzwiom. Chyba dobrze wszystko zapamiętałam. Za drzwiami jest sień, w przeciwległej ścianie drzwi, za tymi drzwiami jest sala z długachnym stołem i portretami, z tej sali przechodzi się do tamtej, gdzie jest zmatowiałe, błękitnawe lustro w rzeźbionej ramie. Stanę przed lustrem i powiem: „Chcę wrócić. Bardzo chcę wrócić". I to powinno się stać. Nie wiem jak, ale powinno. Moje zjawienie się tutaj ma coś wspólnego z tym lustrem, tego jestem pewna.

Jakoś przebrnęłam przez ten ogromny przedsionek najeżony rogami nikło majaczącymi w ciemnościach i namacałam klamkę. Skrzypnęło. Pod długim szeregiem portretów ogarnął mnie nagły strach. Kiedyś w radiu była audycja o Białej Damie opuszczającej nocami ramy obrazu, może i któraś z tych kobiet błądzi o zmroku po przepastnych komnatach. Nie będę o tym myślała, muszę dotrzeć do tamtego lustra.

Znowu skrzypnięcie drzwi. To tutaj.

Mrok choć oko wykol. Uderzyłam o coś twardego obwiązaną ręką, niegłośno krzyknęłam. W tej samej chwili usłyszałam szczęknięcie, posypały się błękitnawe iskry i w tańczącym ogieńku zobaczyłam kobietę, która — nie wiadomo dlaczego — uważała, że jest moją matką. Leżała na wysoko spiętrzonych poduszkach, nawet w nocy nie rozstawała się z czepcem, tylko że był to inny cźepiec niż w dzień, chociaż równie szeroki i bufiasty.

— Dokąd to jejmościanka?

Przez chwilę, ale tak krótką jak mgnienie, miałam ochotę wygarnąć tej obcej kobiecie, co o niej myślę, i ze zdumieniem

usłyszałam, jak odpowiadam składnie i grzecznie:

— Wody mi się chce. pani matko.

— Wody? Czemu na dziewkę nie dzwoniłaś? Przecie w podle drzwi jak zawsze śpi na ławie, wam ku posłudze.

— Sama poszłam.

— Po krwi puszczeniu? Suchot gwałtem chcesz?

— Ja nie myślałam...

— Kiedy ty statku nabierzesz. Boże odpuść! Do zamęścia się szykuje, a durna niczym niedolatka. Jubką[21] byś się chociaż przyrzuciła, w taki ziąb boskiem...

Rzeczywiście było bardzo zimno w tych wielkich pokojach, oni tutaj mieli kominki (takie same, jakie pokazują w filmach), ale przez to nie było ani trochę cieplej, przynajmniej teraz. Pewno dlatego przywalali się ciężkimi pierzynami i wciągali na siebie niezliczoną ilość halek czy spódnic. Zresztą nieważne. Zaraz podejdę do lustra i...

— Ojej! — krzyknęłam na cały głos.

Niemożliwe, nieprawdopodobne. To nie mogłam być ja! Ja mam proste, długie włosy, a nie spieczone w różne loki, ja nie jestem wcale gruba, a ta tutaj — pulchna niczym dobrze wyrośnięty pierożek, ja jestem opalona jeszcze z lata, nie taki bielas typu personalna z młyna. Ale przecież ja byłam ja, w środku nic się nie zmieniłam! Chyba zwariowałam. Zaraz. Kwadrat przeciwprostokątnej równa się sumie kwadratów przyprostokątnych. Ciało zanurzone w cieczy traci na wadze tyle, ile waży ciecz przez to ciało wyparta. W klubie na zawodzie stoit zielonaja jołka. Konstanty Ildefons Gałczyński należy do najwybitniejszych liryków współczesnych. Przecież wszystko pamiętam! Z rosyjskiego było takie dyktando, kartkówka. O tej jołce. Jeszcze się spytałam Jolki, czy z miękkim znakiem, czy bez. Na przerwie pokazywałam dziewczynom te rajstopy, które się potem podarły. Powiedziałam, że to prezent od mamy. Zazdrościły. Głównie Agata, ona przepada za ciuchami i każdemu zazdrości, kto ma coś nowego. Jeżeli pamiętam, to nie zwariowałam, tam w środku, w tej grubej, białej dziewczynie siedzę ja, ja sama. W głowie się kręci...

21 Jubka — ciepły kaftan.

— Już w zwierciadło? — gniewa się kobieta w czepcu. — Niech no Małgosia klęknie.

Posłusznie klękam na zimnej podłodze. Cierpną kolana, dokucza piekącym bólem ręka.

— Za jakie grzechy taki krzyż dźwigam? Diabeł w ciebie wstąpił? Usłuchana, cichutka jak pajęczyna, dobre dziecko, i nagle taka odmiana! Mores — rzecz pierwsza, a ty matce do oczu skaczesz. Zechcę, to ci błogosławieństwa umknę i, pókim żywa, na zamęście nie zezwolę, choćby i ten Stanisław nie koligatem [22] hetmańskim był, a samym hetmanem.

Ciągle jeszcze klęczę pod gradem gniewnych słów. Zimno przejmuje mnie do szpiku kości.

Kobieta w czepcu odmienia tego Stanisława przez wszystkie przypadki. Stanisław. Stanisława. Stanisławowi. Stanisławem. O Stanisławie. Dużo mnie obchodzi ten pan Stanisław! Mój chłopiec nazywa się Jacek, siedzi w drugiej ławce od okna. Niedługo się z nim umówię, wie pani? Na randkę włożę biały golf i przypnę babciną broszkę. Broszkę... Gdzie jest moja broszka?! Gdzie jest broszka?

Gdzie, jest broszka? —pytam głośno.

Kobieta, w czepcu wyłazi spod swoich pierzyn, patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczyma. Już jest przy mnie, stara się mnie podnieść.

— Sama dojdziesz, Małgoś, czy ludzi wołać? — Jest naprawdę zmartwiona i przestraszona i chyba dlatego wydaje się jakaś sympatyczniejsza niż poprzednio. Może jej wytłumaczyć? Niewykluczone, że zechce mi pomóc.

— Ja wszystko powiem — zaczynam tak pospiesznie, że język mi się plącze. — Najpierw w lustrze, z tyłu, był jak zawsze regał, a potem ta szafa — macham owiniętą ręką w stronę rozłożystej szafy. — I wtedy byłam już tutaj, rozumie pani?

— Co było?

— Regał — niecierpliwię się, regał czy nie regał, trzeba jakoś wyjaśnić, na czym polega najważniejsze. — Ja przyszłam skądinąd. I chcę wrócić.

— Moja ty córuniu biedna — roztkliwia się nagle ta kobieta,

22 Koligat — krewny, powinowaty.

przytula mnie do siebie. – Widno się na ciebie chorość po wujence Tekli rzuciła, co ją, niebogę, sześć lat na łańcuchu trzymali, bo ze wszystkim rozum straciła. Jeno z oną wujenką żadne ci pokrewieństwo, boć tylko to wujowa żona, nie familiantka prawdziwa.

I tej nocy człeczyna z czerwonym nosem powtórnie przystawia mi pijawki za uszami. Dostaję także cały kubek czegoś bardzo gorzkiego, po czym momentalnie zasypiam.

Budzę się wyspana i bardzo głodna. Leżę i patrzę w belkowanie sufitu. Ale draka, jeszcze tu jestem. Co to za opatrunek? Aha, puszczali krew. No, dobrze. Wstanę. Jakoś to będzie.

Nie zdążyłam wysunąć stopy z łóżka, a już nie wiadomo skąd pojawiła się hoża dziewczyna i przypadła do mnie. Wciągnęła mi na nogi grube wełniane skarpety, włożyła chodaki na drewnianej podeszwie. Postanowiłam niczemu się nie dziwić.

Widocznie tamte bombiaste suknie były od wielkiej parady, teraz zostałam ustrojona w samodziałowe szkaradzieństwo przypominające worek pokutny Juranda ze Spychowa („Krzyżaków" czytałam w siódmej klasie!) i okutana w obszerny kabat lamowany barankiem, przynajmniej było mi ciepło, co nie przeszkadzało, że stałam się w tym odzieniu raczej szersza niż wyższa.

Na kominku huczał ogień, przy palenisku było ciepło, trzy kroki dalej – chłodno, pięć kroków – zupełnie zimno.

Okazało się, że za trzema wielkimi pokojami i ogromnym przedsionkiem znajduje się gigantyczna kuchnia z piecem tak rozległym, że można by na nim ustawić ze trzydzieści takich saganów, jak ten cioci Haliny, do smażenia powideł. W kuchni były stoły jeszcze dłuższe niż w sali, ławy, na których mogłoby zasiąść obok siebie z pięćdziesiąt osób.

– Jaka bledziutka, niebożątko – zaczęła się użalać tęga i rumiana kobieta z kopyścią w ręce (kucharka?). – W pościeli trzeba się wywczasować po niemocy.

Na rogu jednego z gigantycznych stołów, nakrytym kawałkiem czystego płótna, czekało na mnie mnóstwo jedzenia. Jakaś zupa mocno pachnąca piwem, gęsta od śmietany i posiekanego w kostkę sera, kilka gatunków wędlin, cienko

pokrajany chleb, miód i powidła śliwkowe.

To im trzeba było przyznać, że znali się na dobrym jedzeniu, ta zupa z piwa też była bardzo dobra, tylko trochę dziwna.

Z trudem odtoczyłam się od stołu.

— Małgoś!

To woła kobieta, która jest tutaj moją ciotką. Skąd to wiem? Nie mam pojęcia, ale tak jest na pewno. Jeszcze trochę wysiłku i przypomnę sobie, jak ma na imię. F... Filomena? Florentyna? Aha, już wiem. Franciszka. Panna Franciszka.

Przy pasie ciotki Franciszki dzwoni największy pęk kluczy, jaki kiedykolwiek widziałam. Najpierw mam iść do spiżarni.

— Obacz no, Małgoś, czy aby kumpi[23] pleśń nie przejęła.

Co to są kumpie?

Rozglądam się po tej spiżarni i oczy mi wychodzą na wierzch z podziwu. Ogromne połcie słoniny, zwał wędzonych boczków, pęta kiełbas ostro pachnących jałowcowym dymem, wielkie szynki o zbrązowiałej skórce, jakieś nie znane mi wędliny, obwędzane i suszone, pęki ziół o ostrym aromacie, kamienne gary i misy wypełnione wszelkim dobrem, wory, worki i skrzynie. Tych zapasów jest tyle, że wystarczyłoby chyba na miesiąc dla dużego miasta. Aha, to jest mąka, tamto jakąś kasza, znowu kasza, i jeszcze kasza, w ogóle mnóstwo kasz, ciemnych, jasnych, drobnych i grubych. Powidła, których by wystarczyło do wszystkich pączków na świecie, suszone śliwki, suszone jabłka i gruszki, miód, stągwie miodu, beczki z solonym mięsem (nieładnie pachnie), ryby wędzone, suszone, solone, coś nie zidentyfikowanego zalanego tłuszczem. O rany, orzechy, łuskane laskowe orzechy. Cały worek.

Uległam pokusie, pogryzam orzechy półgębkiem, tak że niby niczego nie mam w ustach, ale panna Franciszka ma wzrok jak jastrząb.

— Co to za lasowanie! Jejmościanka za swoją robotą nie patrzy, jeno jak dzieciuch łakotki podjada!

Nie mam, prawdę mówiąc, i nigdy nie miałam pojęcia o domowych robotach. Te sprawy zawsze załatwiała mama, ja najwyżej chodziłam do „Samu” po butelkę octu, kilo cukru lub pół

23 Kump, kumpie — szynka nie gotowana, wędzona.

bułki wrocławskiej, zapasów w naszym domu nie było, najwyżej kilo jabłek albo torebka mąki, sklep był dosłownie o kilka kroków. Moje kulinarne umiejętności nie wychodziły poza gotowanie jajek na miękko, od czasu do czasu kręciłam sobie kogel-mogel z łyżką kakao, no, ostatecznie – przyciśnięta gwałtownym głodem – mogłabym się podjąć ugotowania makaronu czy zupy z torebki, podług przepisu wydrukowanego na opakowaniu. W szóstej klasie mieliśmy panią od zajęć politechnicznych, która zmuszała nas do robienia surówek i budyni. Z surówek miałam trójkę, były albo przesolone, albo nie dosolone, za kwaśne, za mdłe i z reguły pokrajane w obrzydliwe farfocle zamiast w schludną kostkę.

Jeżeli mam się przemienić w tę ich Małgosię – klops totalny.

– Niech no Małgosia weźmie łuszczonych orzechów i idzie do kurczaków jak zawsze – zakomenderowała moja mentorka podzwaniając kluczami.

– Gdzie?

— Jak to: gdzie? Do kurnika!

— W co te orzechy?

— A w kwartę. Przecie Małgosia wie.

Ponieważ rozglądałam się z niemądrym wyrazem twarzy, wręczyła mi gliniany garnek. Już z napełnionym naczyniem wymaszerowałam znaną mi drogą i utknęłam przed gankiem, w błocie i jesiennej szarudze.

A gdybym, nie próbując odnaleźć kurnika, pobiegła za strzyżony szpaler? 'Może za bezlistnymi krzewami kończy się ten przedziwny świat. Szosa, autobus „zielonych linii", za pół godziny jestem przed Pałacem Kultury, ostatecznie nie jest wykluczone, że jacyś wariaci postanowili żyć w warunkach sprzed stuleci i w jakiś im tylko znany sposób ściągnęli mnie, bo im brakowało jeszcze Małgosi do kompletu. Tu, przed tym domem, wszystko było najzwyczajniejsze: błoto, drzewa, krzaki, zrudziała trawa, chmury nisko pełzające nad ziemią. Więc może być także najzwyczajniejsza szosa i najzwyczajniejszy autobus, nawet niech będzie pekaes, wszystko jedno.

Ale za krzakami jest tylko droga, bardziej co prawda przypo-

minająca topiel niż prawdziwą drogę, zapadająca się dołami pełnymi rudej wody, rozjeżdżona głębokimi koleinami, dziurawa jak oblicze poznaczone ospą. Nie ma mowy, nawet traktor nie przejedzie, najwyżej pojazd na gąsienicach.

— Cok, cok. Ksobie!

Drogą nie tyle jedzie, ile pełznie wóz, z boku popycha go dwóch mężczyzn uwalanych błotem jak nieboskie stworzenia. Ale nie to jest najdziwniejsze. Najdziwniejsze, że ten wóz ciągną chyba krowy — szare, o potężnych rogach — z czymś w rodzaju belki na grzbiecie. Na mój widok mężczyźni zrywają z głów czapy i zginają się aż do ziemi.

— Przepraszam panów, którędy do szosy?

Mrugają oczami w opryskanych błotem twarzach, wygląda na to, że nie rozumieją, o co pytam. Próbuję inaczej:

— Izwinitie, mnie nużno szosse. Panimajetie, czto ja gawarju?

Mrugają coraz szybciej.

— *Excuse. I must go to the road. Do you understand me?* [24]

Oni się po prostu mnie boją, teraz dopiero to rozumiem. Gapią się jak na okaz muzealny albo na zwierzaka w zoo. Mogliby przestać wreszcie się kłaniać. Czy ja też mam im się ukłonić, czy jak?

Te krowy w zaprzęgu zaczynają się denerwować, podrzucać łbami, koła obracają się powoli w gliniastej paćce. Stąd się nie ucieka tak łatwo. Ale ja znajdę jakiś sposób. Za godzinę, jutro, za trzy dni. Znajdę.

Z boku, za drugim szpalerem, są obory, stajnie, kurniki, szopy, drwalnie czy jak się to tam nazywa. Dwa razy spędziłam wakacje na wsi, nawet kiedyś jeździłam wozem pełnym zboża, w każdym razie kurę od prosiaka chyba odróżnię.

Zaglądam po kolei w różne wrota. Jej, ile owiec w śmiesznych, przybrudzonych futerkach! A tutaj coś w rodzaju zakładu mleczarskiego, mnóstwo serów szeregiem na długiej desce, każdy przyciśnięty deseczką, a deseczka — kamieniem. Stodoła. Dalej budynek o niezrozumiałym przeznaczeniu, z ganeczkiem i zewnętrznymi schodami. Sągi kloców pod daszkiem na

24 Excuse... (ang.) — Przepraszam. Muszę wyjść na drogę. Czy pan mnie rozumie?

czterech słupach. Człowiek rąbiący drzewo zrywa czapę i pochyla się do ziemi.

— Dzień dobry panu — mówię przechodząc ze swoim garnkiem napełnionym orzechami.

Ciekawe, że kiedy jestem tam, w domu, przy tej swojej fałszywej matce, fałszywych siostrach i zafałszowanej ciotce, to wiem doskonale, co powinnam odpowiedzieć, chyba że się bardzo zdenerwuję. Skądś przylatują potrzebne słowa i nie tylko słowa, bo wiem też, kiedy trzeba dygnąć, wyjść, usiąść, chociażbym chciała zrobić i powiedzieć zupełnie coś innego. Ale kiedy wyszłam z tego domu — nie wiem nic, zupełnie nic, ciemna masa z głębokiej prowincji. Jestem taka, jaka jestem, mówię i postępuję jak zwyczajna Małgosia z klasy ósmej.

No, jest i kurnik. Dziwny. W jednej części kłębią się kury, kaczki i gęsi wśród grzęd pokrytych zeschniętym nawozem, druga część jest zawieszona płóciennymi workami i małymi klatkami.

W workach wiszą żywe gęsi, kręcą na wszystkie strony długimi szyjami, jak one się męczą! I tym kurczakom w klateczkach jest bardzo źle, ani się ruszyć, mają korytka wypełnione jedzeniem, a nawet nie jedzą, biedaki.

Wysypałam swoje orzechy w gęstwę kur, kaczek i gęsi. W porządku, zrobione.

— Skończyłaś, Małgoś? — skądś pojawia się panna Franciszka, rozgląda się bystro. — Gdzie to Michalina?

— Nie wiem.

— Jej psie prawo drobiu pilnować, nie na sianie wywczasu zażywać. To już nie pierwszy raz. Baty dostanie.

Ponieważ nie jestem w domu, moja odpowiedź wprawia pannę Franciszkę w osłupienie.

— Nikogo nie wolno bić. Przecież może jej pani udzielić upomnienia albo potrącić z pensji.

— Coś ty powiedziała?

— Każdy pani powie to samo. Bicie to nie metoda.

Panna Franciszka zaczęła się cofać kreśląc przed sobą w powietrzu znak krzyża.

— Zgiń, przepadnij, siło nieczysta — szeptała.

— Żadnej siły nieczystej, proszę pani, nie ma. Wcale mi się

tutaj nie podoba. Chcę wrócić do siebie. A przy okazji chciałabym się pani zapytać, jaki tutaj macie ustrój? Przecież muszę się z kimś skontaktować, kto mi pomoże wrócić.

Ale panny Franciszki już nie było, gnała przez rozległy dziedziniec – niczym ten bachmat czy dzianet Basi Wołodyjowskiej z „Przygód pana Michała" – aż woda tryskała z kałuż.

Postałam jeszcze trochę w tym kurniku, stwierdziłam, że kury są okropnie głupie i dziobią się między sobą o byle co, później pootwierałam klateczki z kurczakami. To były strasznie otyłe kurczaki, ledwo się trzymały na nogach i wyglądały tak, jakby im było zupełnie wszystko jedno.

Jeszcze trochę połaziłam po tym dziedzińcu, w oborze stały wyłącznie takie same krowy jak te, które ciągnęły wóz, wysokie, potężne, rogate, szarawe albo brunatne. Powinnam dostać dwóję z zoologii, to wcale nie są krowy, nie mają wymion. A może istnieją krowy, które tego nie mają? Uciekłem stamtąd spłoszona czapkowaniem chłopaka w kożuchu wywróconym futrem do góry.

Byłam także w stajni. Klasa. Dwa konie brązowe jak świeżo wyłuskane z łupiny kasztany, lśniące, z bardzo długimi grzywami i ogonami. Kilka koni rozmaitej maści (nie znam się zupełnie na tym), najładniejszy był biały z takimi jakby odciskami ciemnych pieczątek. Jeżeli już jestem tutaj, mogę sobie trochę pogalopować jak Basia, czyli Magda Zawadzka.

Kiedy zaczęłam majstrować przy łańcuchu, pojawił się jeszcze jeden nie znany mi człowiek w futrzanej czapie. Po wykonaniu widocznie obowiązującego tutaj niskiego ukłonu zapytał:

– Chce jasna panna konia zażyć?

— Tak, proszę pana. Mam ochotę spróbować.

Rany, jak na mnie spojrzał! Co ja takiego powiedziałam? No, trudno, trzeba brnąć dalej.

– Czy ten koń mnie nie zrzuci?

— Abo to jasna panna raz go zażywała?

Zażywa się lekarstwo, nie konie, chociaż w „Panu Tadeuszu" zażywali tabakę. Nieważne. On, zdaje się, twierdzi, że umiem jeździć konno? To dobrze. Patrzyłam, jak zakłada siodło, jak wpycha koniowi do pyska jakieś żelastwo. Raz kozie śmierć!

Jadę.

Po pierwsze, okazało się, że mam na koniu siedzieć bokiem (Magda Zawadzka jeździła normalnie, dobrze pamiętam!), po drugie, sprawdziłam, że koń jest dużo wyższy, niż przypuszczałam, po trzecie, mogłam się przekonać, że jak koń się rusza, to człowiekiem strasznie trzęsie.

Omal nie wybiłam sobie kolanami zębów. W tym tołubie[25] i długiej kiecce było mi piekielnie niewygodnie, ale jakoś się trzymałam. Ciągnęłam lejcami (może to zresztą wcale nie nazywa się lejce) tak i siak, koń kręcił się w kółko, co trochę przypominało jazdę na karuzeli, tamten w czapie (to znaczy bez czapy, bo trzymał czapę w garści) patrzył na mnie z takim zdumieniem, wstrętem i pogardą, że czułam się jeszcze bardziej nieswojo niż poprzednio, a przecież od chwili pojawienia się tutaj — w ogóle czułam się strasznie.

Nagle koniowi znudziło się to drobienie w kółko i ruszył z kopyta. Zatrzęsłam się i równie nagle rąbnęłam siedzeniem o ziemię, koń zatrzymał się kilka metrów dalej.

Zza krzaków już biegli: moja tutejsza matka, Dorota i Klara w takich samych tołubach jak mój, ciocia Franciszka, tęga kucharka, dziewczyna od wciągania pończoch, jegomość z wąsami i jeszcze jeden, prawie tak gruby jak aktor Pawlikowski, który grał pana Zagłobę. Moja tutejsza matka dzierżyła w wyciągniętej dłoni krucyfiks.

— Nic innego, tylko opętanie. Janie, czemuś pannie Małgosi konia pozwolił, skoro ona w chorobie?

— Nie baczyłem, jaśnie pani. Kazała, to dałem.

— No, włodarz[26] z tobą pogada, głupku. Bierzcie ją.

Powlekli mnie za ręce i nogi do domu; wpakowali do łóżka.

Od tego wszystkiego szmata na przegubie nasiąkła krwią. Pod pierzyną odzyskałam głos, tylko po to, żeby powiedzieć:

— Onże jabłkowity za gorący jest dla mnie. Rycerski to koń, nie panieński.

Skąd wiedziałam, że taki koń nazywa się jabłkowity? Skąd wiedziałam, że o koniu mówi się „gorący”? Dlaczego użyłam

25 Tołub — kaftan podbity futrem.

26 Włodarz — ekonom.

NAGLE KONIOWI
ZNUDZIŁO SIĘ TO DRO-
BIENIE W KÓŁKO I RU-
SZYŁ Z KOPYTA.

dziwnego zaimka „onże”?

Nie wiem.

— Do rzeczy prawi — ucieszyła się ciotka Franciszka, która z różańcem stróżowała u mego wezgłowia.

— Nic, już ją ojciec Sulpicjusz expedite[27] na egzamina weźmie, zaraz zły odejdzie. Patra[28] tylko patrzeć.

Tymczasem siedzieli naokoło mnie z takimi minami jak na pogrzebie. Rumiana dziewczyna od Wciągania skarpet i spódnic przyniosła srebrną miskę z gałązką bukszpanu, krzyż na postumencie i koronkową serwetę. Wszystko to ustawiono na stoliku obok mego łóżka, po bokach umieszczono grube woskowe świece w srebrnych lichtarzach. Takie świece można kupić w „Veritasie” na Chmielnej, sama je tam widziałam. Teraz dokładnie zobaczyłam, jak oni zapalają ogień, przyrząd do rozpalania ognia był nieduży, metalowy, z takimi kółeczkami. Kiedy padała iskra, podstawiano pod ńią kawałek spróchniałego drewna, dmuchali na to tlące się próchno i dopiero jak się mocno rozżarzyło, przytykali kłaczki wełny. Od tej wełny zapalono świece. Trwało to wszystko bardzo długo i musiało być bardzo niewygodne. Szkoda, że nie przeniosłam się tutaj z pudełkiem zapałek.

Ojciec Sułpicjusz okazał się tęgim, rumianym zakonnikiem.

— Jejmość pani, mnie wielce miłościwa dobrodziejka, podejrzewasz u panny Małgosi opętanie? Być może, być może. Wróg piekielny non solum[29] dusze do piekła powabia, sed etiam[30] na żyjących nastaje.

Rozsiadł się na przyniesionym specjalnie krześle wysokim jak tron, zakasał rękawy habitu.

— Czujesz jejmościanka w sobie poruszenia wroga piekielnego?

Nic nie czułam poza bólem w przegubie i w okropnie potłuczonym siedzeniu, ale jak zawsze coś odpowiedziało za mnie, tak jak potrzeba:

---

27 Expedite (łac.) — bezzwłocznie, doskonale.

28 Pater (łac.) — ojciec.

29 Non solum (łac) — nie tylko.

30 Sed etiam (łac.) — lecz także.

— Dusi mnie na wnętrzu, ojcze wielebny.
— Koło serca niby?
— Niby, ojcze wielebny.
— W gardle niby?
— Niby, ojcze wielebny.
— Cudzymi językami gadasz?
— Nie pomnę, ojcze wielebny.
— Gada, gada — wtrąciła moja tutejsza matka. — Michałko i Pieter omal od strachu ducha nie wyzionęli, jak jakowąś pogańską mową do nich zagadała. Precz w czeladnej o tym rozprawiają. Oba słyszeli.
— Gada — powtórzył z zadowoleniem ojciec Sulpicjusz. — Gada i nie pomni, że gada. Waćpani dobrodziejka słusznie suponuje[31], że to opętanie. Nic to, poradzimy sobie i z demonem. Najpierw egzorcyzma mniejsze się odbędą.
Na mojej nieszczęsnej głowie położono modlitewnik, ojciec Sulpicjusz rymnął po nim zwiniętym kułakiem i ryknął głosem donośnym jak trąba:
— Ty, któryś wstąpił w ciało służebnicy Bożej, Małgorzaty — wynijdź! Wynijdż natychmiast!
Potem wszyscy gapili się na mnie, nic się nie działo. Odezwałam się głosem zbolałym i niepewnym (było to jedno z tych zdań, które MUSIAŁAM powiedzieć):
— Nie popuszcza, ojcze wielebny.
Brat Sulpicjusz zaczerpnął oddechu, spurpurowiał i ryknął jeszcze donośniej:
— Zaklinam cię, wszelki duchu nieczysty, wszelka maro, wszelki obłędzie szatana, przez moc Pana Naszego, który po kąpieli w rzece Jordan na pustynię wyszedłszy w twej własnej siedzibie cię zwyciężył. Wynijdź zaraz, bezbożny, wynijdź zaraz, występny, wynijdź z całym fałszem swoim. Czemu zwlekasz?! Wynijdź przez Pana Naszego, który cię w Szymonie Magu rozpoznał, obłudę twą w Ananiaszu i Safirze potępił, w bezbożnym Herodzie ukarał, w magu Helimie ślepotą dotknął i z dziewki Pytony słowem wyjść nak izał. Precz, precz, uwodzicielu! Precz natychmiast! Tobie pustynia jest siedzibą,

31 Suponować — przypuszczać.

wąż pomieszkaniem, tobie jeno czołgać i płaszczyć się przystoi! Wynijdź natychmiast, powiadam ci!

Po długiej przerwie brat Sulpicjusz spojrzał na mnie i zapytał:

— I jako?

— Lepiej, ojcze wielebny.

— Uszedł?

— Suponuję, ojcze wielebny.

— Woda święcona — zadysponował zakonnik.

— Rzuci Małgosię czy nie rzuci? — wyszeptała zbielałymi wargami panna Franciszka. — Po wodzie święconej najgorzej rzuca, a bywa, że i kark skręci.

Zostałam pokropiona. Nic.

— To i chwała Bogu. Naisto poszedł.

— Smród czułam — oświadczyła moja tutejsza matka. — Wiew takoż szedł po komnacie, zimny a przenikający. Wtedy wyszedł. Proszę, ojcze Sulpicjuszu, na skromne podśniadanie, siły zwątlone skrzepić. Sercem wdzięczna jestem.

Z pewnego rodzaju radością myślałam o kłopotach tych ludzi, którym zostałam przysłana, nie pasowałam do nich, a oni nie pasowali do mnie. Przy czym ja musiałam znaleźć sposób ucieczki, podczas gdy oni musieli bez przerwy starać się o przemienienie mnie w tę swoją Małgosię. I ja wiedziałam, że wcale nie jestem ich córką, siostrą i krewną, a oni nie zdawali sobie z tego sprawy. Jak się zastanowić, to nie wiadomo, komu było ciężej na sercu — mnie czy im. Ale chyba mnie, bo jak pomyślałam o mamie...

Przez dwa dni leżałam pod pierzyną, karmiona jak prosiak. Śmietanka, anyżkowe serki, miód, strasznie świetna szynka o ciemnym, aromatycznym mięsie, równie świetna kiełbasa z kardamonem (spytałam, co tak pachnie, i dowiedziałam się, że kardamon), chleb z wizerunkiem liści winogradu na skórce, suszone śliwki nadziewane migdałami, żurek na peklowinie, kapuśniak z kiełbasą, kaczka z jabłkami, zając w śmietanie, pasztet, pieczeń w sosie z wiśni, schab w szafranowej juszce[32], wołowina z tymiankiem. Oni naprawdę bardzo dobrze jedli. Dostałam także kołduny, takie malusieńkie pierożki

32 Juszka — tu: sos.

rozpływające się w ustach, zalane rosołem, i jako chora kilka łyków królewskiego bulionu, który był tak gęsty, że można go było krajać łyżką. Nie smakował mi tylko tarty groch ze skwarkami, który przynoszono mi na deser, za to mleczko migdałowe było ponad wszelkie pochwały i piernik także, to w ogóle nie był piernik, tylko poemat, za taki piernik można by sprzedać duszę diabłu.

Właściwie wszyscy byli dla mnie dobrzy. Ta młodsza, Dorota, dukała żywoty świętych z ogromnej księgi albo zabawiała mnie rozmową, przez cały czas wyszywając coś z godną podziwu pracowitością. Od niej właśnie dowiedziałam się mnóstwa rzeczy o sobie, to znaczy nie o sobie, tylko o tej Małgosi. (Coraz wyraźniej zdawałam sobie sprawę, że zajęłam czyjeś miejsce, jeszcze ciepłe. Ale co się z tamtą stało?!)

— Dziadunio, świeć Panie nad jego duszą, impetycznego był charakteru, widno we krwi kolerę miał. On pani matce z nami ku sobie kazał. „Wdowa, moja pani córko, jesteś, sierota bez przyjaciela, dzieciny drobne, przyjeżdżaj" — tak napisał. Klarunia pod ten czas dziewięć lat miała, ja siedem, ty jeszcze czterech nie miałaś.

— Nie pamiętam dziadunia dobrodzieja — oświadczyłam zgodnie z prawdą.

— Tyli skrzacik, toś i spamiętać nie mogła. Pani matka dobrodziejka wielce się sumowała, boć jeno ten folwark jej ostał, kiedy nasz pan ojciec dobrodziej w potrzebie życie dał, świeć Panie nad jego duszą. Jako pan ojciec dobrodziej rapt uczynił, tedy dziadunio rzekł, że skoro pani matka i jej gach o ojcowe błogosławieństwo nie stali, grosza nie obaczą ani półwłóczka ziemi.

— Pan ojciec porwał panią matkę?!

— Ciii... Porwał.

— Rety!

— Jeno nikomu nie powiadaj, Małgoś, żem ci o tym gadała. Pan ojciec był gładysz, wielki wojak, rębacz, wszelako golec, tyle jego, co na grzbiecie. No i ten folwarczek, sto dusz z okładem, dziadunio zaś dobrodziej posesjonat[33], koligat, nigdy by

33 Posesjonat — właściciel posiadłości.

panu ojcu córki nie dał, za wysokie progi.

Kiedy Dorota siedzi zarumieniona i przejęta, opowiadając mi rodzinne tajemnice, jest zupełnie miła. Włosy ma splecione w luźny warkocz, wygląda o wiele ładniej niż w tamtych zapieczonych loczkach.

– Z początku dziadunio dobrodziej łaskawy był ponad pojęcie. „Wnuk swoich – powiada – bez opatrzenia nie zostawię. Chociaż po zdrajcy i swawolniku ród swój wiodą, dobrodziejem ich będę". A dalej pomnisz...

– Przepomniałam, gadaj jeszcze...

– Ty u dziadunia dobrodzieja na kolanie siedziałaś, pani matka w podle haftem zajęta, ja i Klarunia igrałyśmy, jako to dzieci. Która z nas za owym psem drzwiami trzasnęła, tego nie wiem. Zgiełk się zrobił, skowyt, psiarczyka wołali, łapę psu złamałyśmy drzwiami, dziadunia taka kolera chwyciła, że widzieć nas nie chciał. No i precz musiałyśmy jechać.

Dorota milczy, a potem cicho dodaje:

– Dziadunio dobrodziej cesję[34] na ciebie uczynił, przez to my z Klarunią rutkę siejemy, a koło ciebie kawalerowie krążą jako ćmy w podle ognia.

Aha, więc ta Małgosia była ulubienicą dziadka, bo akurat znajdowała się daleko od miejsca zbrodni i nie można jej było posądzić o złamanie psu łapy. Ja bym też nie darowała komuś, kto by skaleczył psa, zuch dziaadek!

– Tego psa wyleczyli?

– Gończego?! – mówi z oburzeniem Dorota. – Pomiarkuj się, Małgoś, co to za gończy ze złamaną łapą? Dziadunio dobrodziej dobić kazał.

Nie, dziadek przestaje mi się podobać. Wszystko mi się przestaje podobać i nigdy mi się nie podobało.

– Czemu to nie można podzielić tego zapisu na ciebie, Klarę i na Małgosię? – pytam spod swojej pierzyny. – Zaraz by kwasy ustały. Każda swoje, i dobrze.

Dorota zakręca na palcu koniec warkocza, patrzy na mnie nieufnie.

– Gorzej ci, Małgoś?

34 Cesja – zapis.

– Nie, jeno pytam.

– Primo: jako pani matce dziadusiowej woli się przeciwić? Secundo: familianci legatu strzegą, cale im nie w smak, że ty dziedziczką jesteś, ale to czarno na białym spisane. Kiedy nas by przypuszczono, w jeden pacierz w trybunale testament dziadusia dobrodzieja obalą, tobie figa i nam figa. Pojmujesz?

– Coś jakby. No, a gdyby Małgosia legat wzięła i wam dała po równej części?

— Być nie może. I czego ty o sobie jak o obcej gadasz? Znowu cię omamienie chwyta?

— To jeno ze słabości – wytłumaczyłam wcale rozsądnie i więcej już nie było mowy o żadnych legatach, testamentach, dziaduniu dobrodzieju, złamanej Japie gończego psa, i tak dalej. Za to mówiłyśmy o dziewczęcym losie, marzeniach, nadziejach i codziennym dniu.

— Klarcia w alterację wpadła, boć już lata panieńskie przeszła, a przyjaciela dozgonnego nie nalazła.

– Ona ma dopiero dwadzieścia lat!

– Coś ty, Małgoś! Inna w jej latach czworo, troje dziatek ma, a zdarzy się, to i pięcioro nieć może. A ona i ja jako te suche badyle, jako płonki nieurodzajne, przez ów dziadusiowy testament.

Ładna historia! To znaczy, że w siódmej, a najpóźniej w ósmej klasie, powinno się wyjść za mąż, oni tutaj dlaczegoś uważają, że jak się nie wyjdzie prędko za mąż, to totalny klops, rozpacz i w ogóle nieszczęście. Śmieszne. Miałam ochotę powiedzieć tej Dorocie, żeby nie zawracała sobie głowy małżeństwem, ale powiedziałam zupełnie coś innego:

– Mnie tam do ołtarza niepilno.

– W najlepszych latach jesteś – wyjaśniła mi z tak zbolałą miną, że bez trudu pojęłam, iż mi zazdrości, a sama uważa się za coś w rodzaju wiekowej staruszki. – Nie przebieraj, Małgoś, żebyś nie przebrała i na koszu wreszcie nie osiadła.

Tak, dowiedziałam się od tej Doroty mnóstwa rzeczy, ale ciągle nie wiedziałam najważniejszego: jak tutaj trafiłam, gdzie właściwie jestem i jak można się stąd wydostać? Coraz bardziej dręczyła mnie myśl o mamie. Na pewno szuka, zawiadomiła

milicję, nie śpi nocami. Płacze. Starałam się odsuwać od siebie te myśli; jak się rozślimaczę, na pewno nie znajdę sposobu, żeby się stąd wydostać.

Zaczynałam w takich momentach jeszcze uważniej słuchać, co Dorota opowiada. Wiedziałam już więc, że siostry mają do mnie, to znaczy do Małgosi, pretensję o ten testament, że folwark jest niewielki, pani matka surowa i nabożna, czeladź krnąbrna, chłopkowie-chleboroby leniwi (jak włodarz z kańczugiem stoi, to się jeszcze ruszają niby te muchy w smole, odwróci się – zaraz próżnują), w niewieścim gospodarstwie robota nieprzerobiona. Teraz będziemy pierze drzeć, len i wełnę prząść. Jak po Marcinie ryb naciągną – trzeba je będzie solić. Jeszcze wędzenie, bo bydełko i świnie trzeba zarżnąć, całkiem skapieją, samopas po lesie chodząc, siana w tym roku mało, zgniło na Piotra i Pawła, kiedy deszcze ulewne przyszły. No, to się tylko tyle krów i trzody zostawi, ile siana starczy, reszta pod nóż. Do Godów gotowanie i kolenie się przeciągnie, a jeszcze kapę na ołtarz pani matka ślubowała, co ją wszystkie (ja też!) już drugi rok haftujemy, a końca roboty nie widać.

Z opowiadań Doroty okazywało się, że tutaj trzeba pracować od rana do późnego wieczora, w tym domu szyło się suknie i futra, tkało materiały, przędło nici, haftowało, ale przede wszystkim gromadziło góry zapasów. Teraz już wiedziałam, skąd się brały te wory, połcie, fasy i niecki w ogromniastej spiżarni.

Pewnego dnia hoża Kasia, która służyła przy pokojach panieńskich, szarpnęła mnie nieumyślnie przy czesaniu za włosy, pobladła, wargi jej zadrżały.

– Stokrotnie upraszam wybaczenia...

I nim zdążyłam się zorientować, cmoknęła mnie w rękę. Przeraziłam się nie na żarty.

– Kaśka, coś ty?!

Wygrzebałam się spod pierzyn, zupełnie nie wiedziałam, co robić, objęłam ją za szyję, pocałowałam w chłodny, twardy policzek.

– Babcię można pocałować w rękę, mamę... – coś jej tłumaczyłam nie za bardzo do sensu. Czułam, jak tkwi – sztywna i przerażona – w moim uścisku.

Właśnie w tej chwili weszła Dorota.

Kaśkę jakby zdmuchnął niewidzialny wiatr, wcisnęła, wtłoczyła się między kolumienki łoża.

— Małgoś — Dorota zniżyła głos do szeptu — Małgoś... ja chyba powiem pani matce... coś ty uczyniła...

— A co?

— Ze służebną, z chłopianką jakoweś „konfidencje[35]! Czy ty stanu swego nie znasz, Małgoś, czy nie wiesz, coś urodzeniu powinna? Nie puści tego pani matka płazem!

— A co uczyni?

— Pierwsza rzecz: Kaśkę osmagać i z powrotem do pola... — Zza kolumienki dał się słyszeć krótki szloch. — A ciebie...

Nie byłam już ciekawa, co będzie ze mną. Jakoś ubłagałam Dorotę, żeby milczała. Dałam sobie słowo, że już będę rozsądna. Oni tu lubili powtarzać, że gdy się wlezie między wrony, trzeba krakać jak i one,

Kiedy wreszcie wydobrzałam, a raczej kiedy ojciec Sulpicjusz zadecydował, że wydobrzałam (cyrulik Mikołaj puściwszy wszystkim krew — pani matce i ciotce Franciszce także — odszedł w swoją stronę wraz z bańkami, słoikiem pijawek i kleszczami do rwania zębów), zostałam na wszelk wypadek jeszcze raz pokropiona święconą wodą i mogłam wreszcie wyleźć spod pierzyny.

Przez te kilka dni ułożyłam sobie wcale rozsądny plan działania. Niczym nie zdradzam się, że jestem skądinąd, niech mnie uważają za tę swoją Małgosię. Będę się starała zachowywać rozsądnie, tak — jak oni wszyscy. Bo jeżeli uznają mnie za chorą, to będą mnie pilnowali, leczyli, a może zrobią ze. mną coś, czego nie potrafię sobie nawet wyobrazić, oni mają bardzo dziwne pomysły. Po prostu się przyczaję i poczekam na dogodną okazję.

Wstawałyśmy w głębokich nocnych ciemnościach, sygnałem do wstawania był łoskot polan, które rzucała przed kominkiem Kasia. Z jej pomocą wyskakiwało się spod pierzyny w lodowaty mrok. Klara, plotąc warkocz, intonowała: „Zawitaj, Panno czysta", śpiewałyśmy, a z ust ulatywały obłoki białej pary.

35 Konfidencja — poufałość, zażyłość.

Śniadania jadłyśmy w czeladnej. Były one tak obfite, że pożywiłby się nimi batalion wojska, zakładając, że byliby to mocno wygłodzeni wojacy. Codziennie musiła być piwna zupa ze śmietaną, bez tej polewki śniadanie było nieważne. A potem do roboty.

– Małgoś, do kurnika!

– Jejmościanka Dorota, do serowni!

– Ciebie jeno po śmierć posłać, wełnę prać będziemy.

– Małgoś, chybko do wędzarni!

– Co siedzisz z założonymi rękami? Mało to roboty? Przędzę dziewkom wydaj.

– Ciotka Franciszka woła!

– Od próżnowania złe myśli się lęgną!

Kiedy byłam prawdziwą Małgosią, nie musiałam nic robić w domu. Sprzątanie – mama, zakupy – mama, pranie – mama, prasowanie – mama, gotowanie – mama. Od czasu do czasu coś kupowałam w sklepie i od czasu do czasu wynosiłam kubełek ze śmieciami do zsypu. Miał im się uczyć i nic więcej. W środy chodziłam na angielski. Wieczorami gapiłam się w telewizor albo siedziałam u Jolki.

Wtedy wydawało mi się, że mam mnóstwo pracy, jęczałam boleśnie, że jestem zmęczona, i wyciąg ałam się jak długa na tapczanie, z talerzem jabłek lub torebką śmietankowych krówek pod samym nosem, aby nie trzeba było wstawać.

Tutaj dopiero dowiedziałam się, co to znaczy pracować w domu.

Prawie wszystkie te zajęcia były ciężkie i brudne. Wełna cuchnie tłuszczem, a kurzu w niej tyle, że trzeba nieustannie kichać, kiedy wywleka się ją z worków i rozkłada na grubym płótnie. W wędzarni można się udusić, kaszlałam jeszcze długo potem, a zapach wędzonego mięsa prześladował mnie nawet nocą. Przy peklowaniu i soleniu dźwigało się ogromne połcie mięsa, palce drętwiały od lodowatej wody, skóra siekała się drobno i boleśnie od grubej, ziarnistej soli. Albo to karmienie kurczaków i gęsi. Orzechy wpychało im się głęboko w dziób, żeby łyknęły, każde musiało dostać swoją porcję, do tego trzeba było mieć świętą i anielską cierpliwość.

A pani matka popędzała mnie, Dorotę i Klarę niczym naganiacz niewolników.

Panna powinna wszelkie domowe arkana[36] w małym paluszku mieć. Idź no dziczyznę naszpikować, jeno cienko kraj szperkę, z wyczuciem, żeby za mastne[37] nie było.

W wirze nieustannej roboty coś się przegryzało koło południa, także prawie na stojąco, i pracowało się dalej. Kiedy za okienkami zapadał wczesny, listopadowy zmrok, siadałyśmy w czeladnej, służebne dziewczęta przędły lub darły pierze, my haftowałyśmy.

Rozpacz, nie miałam pojęcia o hafcie, a tu musiałam dziergać olbrzymią płachtę grubego jedwabiu sztywnymi, złotymi nićmi.

— Co to, jejmościance ćma na oczy padła, że krzywulce igłą sadzi? Niech no Małgosia spruje i od początku zacznie, jeno tym razem jak należy.

Nie potrafię nawet opowiedzieć, co to była za koszmarna robota. Te cholerne nici plątały się tak i siak, ściegi trzeba było kłaść maleńkie, prawie niewidoczne, raz koło razu, równiuteńko i w dodatku jeszcze przy świetle, od którego łzawiły oczy. Świece były w pokojach, tu, w czeladnej, wtykano w specjalne uchwyty dymiące czarnym kopciem smolne polana. Pod płonącą i sypiącą iskrami głownią stawiali miskę z wodą, dobrze, że chociaż to im przyszło do głowy, inaczej co dzień mielibyśmy taki pożar, że ha!

Co prawda po jakimś czasie zaczęłam tęsknić do pożaru. Tutaj, w tym dziwnym świecie, było rozpaczliwie nudno, Dorota sylabizowała w kółko te same żywoty świętych, moja tutejsza matka zawsze wracała do takich samych rozważań.

— To przez Dębskich, herbu Prawdzie, było krewieństwo, bo ciotka Katarzyna z Dębskiej się rodziła, co to jej ojciec podkomorzym był. Ta ciotka Katarzyna w pierwsze stadło za Wojsławskiego szła, z tych Wojsławskich z sanockiej ziemi, bo są i drudzy, którzy podle Golubia siedzą, i trzeci podle Żnina, jeno klejnot ten sam. W drugie stadło pojął ją był Świerko, krajczy, który w potrzebie ubit, zaś wdowa i dziateczki drobne na opie-

36 Arkana — tajniki, niezawodne sposoby.

37 Mastny — tłusty.

kę nieboszczykowego brata się zdały, z czego wielki klamor[38] wynikł i rujnacja... – Tu moja tutejsza matka rzucała okiem na mój haft i na chwilę zmieniała temat. – Jejmościanka panna Małgosia widno czym drugim głowę nabija, bo do roboty ręce maślane, aż wstyd patrzeć. O czym to ja mówiłam? Z tego Świerki zrodzili się: Herakliusz, Domicela, Petronela i Paweł. Zaraz ja jejmościankom po porządku wyliczę, z kim w stadła szli. Zatem Herakliusz wziął Telniczankę...

Ona miała w głowie coś w rodzaju kalendarza z mnóstwem nazwisk i dat, byli tam ponotowani wszyscy krewni razem z herbami, majętnościami, bliższą i dalszą rodziną, z weselami, chrzcinami, pogrzebami, po prostu dziw, że potrafiła to wszystko spamiętać.

Panna Franciszka, czyli ciotka Franciszka, wolała tematy bardziej apteczne albo – jeżeli ktoś woli – medyczne. Okropnie lubiła rozprawiać o tajemniczych chorobach i znała wszystkie stosowne lekarstwa.

– Zaraz pomyślałam, że to nie melankolia, jeno z urzeczenia; patrzeć, plama na szyi, w podle ucha, tom w domu – zmora! Wzięliśmy koszulę czystą lnianą, obwinęliśmy, przeżegnałam na cztery strony świata i napój z bagniątka narządziłam, dwie niedziele nie przeszły i jak ręką odjął, zmora całkiem ją opuściła, do dziś ona nieboga w dobrym zdrowiu ostaje.

– Miał ci on oczy oparzyste[39] i ciekące, trzeba by żółci orłowej, alem nie miała. Tom go kurzym zielem zratowała w potrzebie i takoż ozdrowiał z wielką swoją kontentością. Jeszcze dziś mnie swoją dobrodziejką mieni.

– Wielką chorobę[40] jenom parę razy widziała i już nie pomnę, czy niemocnego świeżo zdartą psią skórą owijali czy nie, a to jest doświadczone lekarstwo.

Kiedy tutejsza matka albo panna Franciszka mówiły o czymkolwiek, musiało być zupełnie cicho, dziewki darły pierze lub kręciły wrzecionami w grobowym milczeniu, taka sama cisza zapadała, kiedy Dorota czytała o Elżbiecie, księżniczce luryng-

38 Klamor – hałas.
39 Oparzysty – zaogniony.
40 Wielka choroba – padaczka.

skiej, o Jadwidzé Brodaczowej[41] albo o Genowefie z Brabantu.

— I kiedyż jąż okrutnik ujrzał, że łania dziecię mlekiem karmi, z konia zlazłszy, przed nią na obie kolenie poklękłszy, wielkim głosem zakrzyknął: „Przebóg, jestli to moja żona, owa pustelnica w jaskini żyjąca, którą psami precz wy szczułem?!" Tu ku Genowefie szedł a przebaczenia ze łzami a płaczem prosił. I rzekła mu Genowefa z łaskawością wielką, iż winy mu odpuściła przez miłość Pana Naszego, który nakazał odpuścić nieprzyjaciołom...

W tym miejscu wszyscy zaczynali płakać, moja tutejsza matka spłakane oblicze kryła w ogromnej chustce, panna Franciszka siąkała nosem, Klarze toczyły się drobne łezki po policzkach, a dziewki i kucharka ryczały w głos, rozmazując ślozy kułakami po twarzach. Ja także wydzierałam z siebie krótki szloch, postanowiłam się przecież maskować, jak najlepiej potrafię.

One wszystkie słyszały już tę historię ze sto razy, ale słuchały jej ciągle z takim samym zainteresowaniem.

Jeszcze najciekawsze były bajki kucharki i piosenki dziewek służebnych, niektóre całkiem fajne, takie w stylu Skaldów, o konikach, siwych gąskach, Jasieńku, Kasieńce, brzózce, macochach i w ogóle.

— Biegnij, biegnij,
kary koniu,
z siodłem do domu.
Nie powiadaj
ojcu, matce,
żem ja utonął...

Albo:

— Siwe gąski leciały,
siwe gąski gęgały,
Marysia zapłakała,

41 Jadwiga Brodaczowa — Jadwiga, żona Henryka Brodatego.

białe rączki załamała.
Jasieniu, nie odjeżdżaj,
swoją mi rączką daj...

Z bajek dowiedziałam się o upiorach, strzygach, zmorach, -wilkołakach, utopcach, rusałkach, rokitach, ubożętach, skrzatach, przypołudnicach, nocnicach, czarownicach, i tak dalej.

Na dobrą sprawę pod każdym kamieniem, w każdym sęku, w szparze między belkami mogło siedzieć coś bardzo strasznego, czego należało się bać i przed czym należało zachować wszystkie możliwie środki ostrożności. Ja także, jak się okazało, nosiłam na szyi szmatkę ze szczyptą święconej soli i jakimiś ziołami, podobno niezawodnie chroniącymi od uroku.

Ciekawe, że one naprawdę wierzyły w te wszystkie bzdury, każda z nich widziała na własne oczy — a to Rokitę w dziupli próchniejącej wierzby, a to przypołudnicę jeżdżącą na skrzypiącym kółku po polu, a to zmorę przywartą do piersi śpiącego, kraśną czapeczkę skrzata znikającą w mysiej dziurze i wychylonego do pół ciała z wodnej otchłani utopca.

Parę razy miałam na końcu języka coś o naukowym światopoglądzie, ale milczałam — bałam się powtórnego puszczania krwi, pijawek za uszami i egzorcyzmów ojca Sulpicjuśza.

Za każde nieposłuszeństwo, zuchwałą odpowiedź, lenistwo, za zaprzeczanie zdaniu starszych moja tutejsza matka wymierzała surowe kary: nie do uwierzenia, ale wycinała nie tylko mnie, ale i Dorocie, i skwaszonej Klarze siarczyste policzki. Za poważniejsze wykroczenie byłyśmy pozbawiane śniadania, obiadu lub wieczerzy. Ukarana grzesznica musiała klęczeć w kącie, a panna Franciszka jeszcze dogadywała:

— Niech no jejmościanka się nie wierci, bo grochu posypię. Kiedy ciało w opresjach, dusza mięknie, klęcz, jejmościanka, na pokucie, skoroś zasłużyła.

No i jeszcze zamykanie w komórce. Można sobie było gardło zedrzeć od krzyku, pokaleczyć dłonie o masywne drzwi, siedziało się tam tyle czasu, ile moja tutejsza matka uważała za właściwe. W wyjątkowych wypadkach leczono krnąbrność

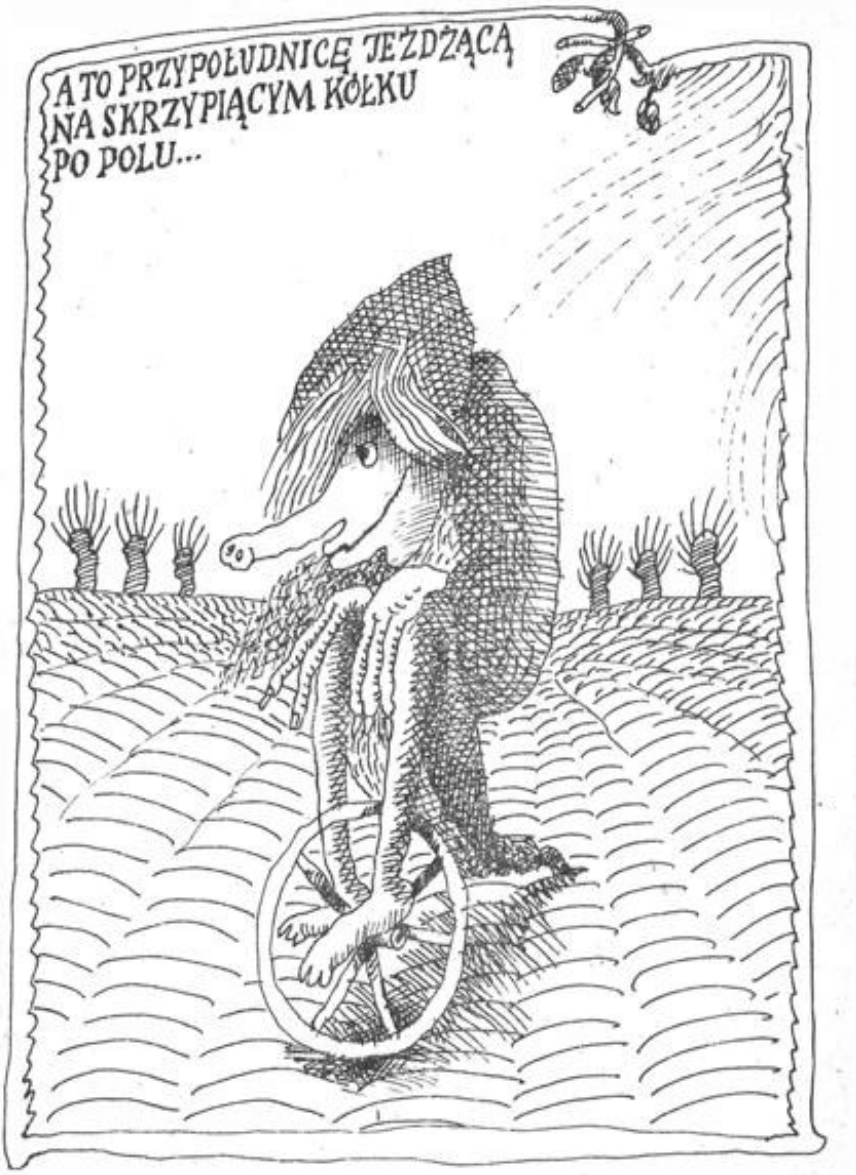
A TO PRZYPOŁUDNICĘ JEŻDŻĄCĄ
NA SKRZYPIĄCYM KÓŁKU
PO POLU...

enemą (czyli po prostu lewatywą) z ziół lub gorzkim wywarem, który trzeba było wypić duszkiem. Nie umiem powiedzieć, czy ukaranej poprawiał się od tego dekoktu (tak nazywała to panna Franciszka) jej fatalny charakter, ale było to lekarstwo tego rodzaju, że sama dobrze się zaczęłam zastanawiać nad każdym słowem, które przyszło mi wypowiedzieć, w obecności tutejszej matki.

— Kaśka, robę!

— Gdzieżeś moje trzęsienie[42] zadziała, niezdaro?

— Ajaj, obcas u trzewika cale się ułamał.

— Szpilki mi trzeba.

— Swąd! Ani chybi przepalone...

Nadziewałyśmy na siebie odświętne przyodziewki, bombiaste spódnice, obcisłe staniki, kołnierze, rozczochrana Kaśka miotała się między nami, dociągając tasiemki, upinając szpilkami niedokładności strojów, zwijając loki na rozpalonych żelazkach.

— Gdyby tak barwiczki... — westchnęła marzycielsko Dorota zerkając do zmatowiałego lustra. — Powiadają, że panny na dworze farbą się kraszą, a brwi korkiem czernią.

— Na grochu żądasz klęczeć? — osadziła ją Klara, która z męczeńsko wykrzywionymi wargami studiowała z bliska swoje odbicie. — Tyś nie dworzanka i wydwarzać ci nie przystoi, co Bóg dał, to chwała Mu za to.

Klara była obrzydliwie rozsądna, mówiła prawie to samo, eo moja tutejsza matka, w dodatku cierpkim i zarazem męczeńskim tonem, ona okropnie cierpiała nad tym, że jest starą panną, obnosiła to swoje nieszczęście od rana do nocy. Nie potrafiłam jej polubić i nawet nie próbowałam, a Klara mnie nie cierpiała i nie ukrywała wcale tego.

W kolasce, bo pojechałyśmy kolaską, trzęsło okropnie, miałam cały czas wrażenie, że żołądek dostał mi się do gardła. W najbardziej dziurawych, błotnistych i wyboistych miejscach z kozła złazili dwaj niedźwiedziowaci pachołkowie i barami wspierali przechylający się na bok pojazd, potem kolaska — ze skrzypieniem i ciamkaniem błotnej topieli pod kołami —

42 Trzęsienie — tu: zausznice.

posuwała się niespiesznie dalej.

Zasiadłyśmy w rzeźbionej ławie przy samym ołtarzu, przyjrzałam się Dorocie i Klarze, złożyły skrzyżowane dłonie na podołku, ściupiły wargi, spuściły powieki, przed każdą z nas leżała ogromna książka do nabożeństwa owinięta różańcem.

Spod spuszczonych rzęs rozglądałam się nieznacznie po kościele, rzeźbione ławy zajęte były przez damy i panny w szubach[43] i bombiastych robach, skrzydła czepców chwiały się złowieszczo, stroszyły się futrzane kołpaczki i błyszczały panieńskie stroiki. Byli i mężczyźni. Jedni o podgolonych karkach, skrzypiący palonymi butami[44], w kontuszu czy żupanie błyszczącym ogromnymi guzikami, ci byli podobni do owego pana Stanisława, którego widziałam zaraz pierwszego dnia. Inni w obcisłych kubrakach, w rękawicach z odwiniętymi mankietami, z wyłożonym na kubrak kołnierzem obszytym koronką, pod pachą trzymali kapelusze ozdobione błyszczącą klamrą lub piórami. I ci, i tamci nosili przy pasie broń.

Oj, jaki ładny chłopak! Z cieniem ciemnego wąsika nad górną wargą, wysoki, smukły, w czerwonym żupanie. Ładniejszy nawet od Jacka. Chłopak jak świeca, można powiedzieć. I patrzy na mnie, spod oka, nieznacznie, ale na pewno patrzy. Nawet się uśmiecha.

Z dala od domu zaraz tracę panowanie nad sobą i na moment staję się z powrotem normalną Małgosią z ósmej c.

— Ale klawy chłopak — szepczę nachylając się ku Klarze. — Znasz go?

Klara pąsowieje w niemym oburzeniu.

— Jak ma na imię? — pytam dalej, nie widząc (albo nie chcąc widzieć) jej zgorszenia.

Ponieważ Klara milczy, uśmiecham się do tego chłopaka, wcale nie półgębkiem, ale zupełnie normalnie. On wygląda jak bohater historycznego filmu. Mógłby się we mnie zakochać jak Azja w Basi, nawet bym się zgodziła. Jeżeli muszę tutaj być, to powinnam przecież mieć jakieś przygody.

---

43 Szuba — wierzchnie okrycie, przeważnie długie do kostek, zwykle podbite futrem, z szerokim i długim wyłożonym kołnierzem futrzanym.

44 Buty palone — buty z długimi błyszczącymi cholewami.

Niedobrze, tutejsza matka marszczy brwi, widocznie popełniłam znowu coś karygodnego, pewno zamkną mnie na resztę dnia w zimnej komorze. A jeśli tak, to mogę się uśmiechnąć jeszcze raz, już stało się i nie odstanie. Jakby taki chłopak był w naszej klasie, toby wszystkie dziewczyny za nim wariowały. Ile może mieć lat? Chyba z siedemnaście.

Przez resztę nabożeństwa gapię się na tego chłopaka i gapię, ciekawe, jak by wyglądał w dżinsach, w koszuli w kratkę, z torbą? Nie,, tak mu jest ładniej, ten czerwony żupan podkreśla smagłość policzków, w kraciastej koszuli byłby nie ten sam. Pewno nie wolno się do niego odezwać, tutaj są takie dziwne zwyczaje, ale ja na to kicham, bo nie jestem stąd, i co mnie wreszcie obchodzą tutejsze przepisy dobrego wychowania?

Wreszcie kończy się nabożeństwo, z szumem robronów[45] wypływamy z kościoła.

Jest!

Idzie ku nam w towarzystwie wąsatego szlachciury.

— Ścielę się do nóżek waćpani dobrodziejki — sapie szlachciura zginając się wpół przed moją tutejszą matką. — Mam zaszczyt rewerencję złożyć i prezentować syna mego, Joachima, z konwiktu[46] świeżo przybyłego.

— Wielcem rada widzieć — odpowiada moja tutejsza matka tonem nie wróżącym nic dobrego. — Asan na długo w nasze strony? — To do chłopaka.

— Jako wola ojca dobrodzieja — odpowiada chłopak.

Więc ma na imię Joachim! Śmiesznie, ale mnie się podoba.

— Wojskowo waść nie myślisz służyć?

Za chłopaka zabiera głos otyły szlachciura:

— Trzej starsi pod chorągwią, tego bym doma rad ostawił. Juz zdrowie nie to, co dawniej, wielce mnie miłościwa waćpani dobrocfziko. Wyręki potrzeba.

Moja tutejsza matka sznuruje surowo usta.

— Młodemu w świecie godzi się przetrzeć.

— Już się świata w konwikcie napatrzył, waćpani dobrodziejko, już statkować pora.

---

45 Robron — sztywna, bardzo szeroka u dołu suknia.

46 Konwikt — szkoła, zwykle przyklasztorna, z internatem.

We trzy – ja, Dorota i Klara – stoimy równiutko, pod sznurek, za plecami pani matki. Dorota i Klara wbijają wzrok w czubki trzewików, ani drgną, a ja patrzę na chłopaka, bo i on nie odrywa ode mnie oczu.

Oni jeszcze coś mówią, ale wcale nie słucham. W głowie kłębią mi się różne plany, poza domem wyraźnie tracę rozsądek, to znaczy może nie tracę, tylko trudniej mi się maskować, zapominam o obowiązujących w tym świecie przepisach. Czuję napływ lekkomyślności, ostatecznie chyba mi nie utną głowy, prawda?

–Mam zaszczyt prezentować jejmość pannom syna sąsiada naszego, Joachima. – Wreszcie tutejsza matka przypomniała sobie o naszym istnieniu, kolejno przypadamy w głębokim dygU do ziemi, chłopak zgina się wpół przed każdą, zataczając szeroki łuk wyciągniętą ręką, – To córki moje: Klara, Dorota i Małgorzata.

– Wielki to splendor – wykrztusił ów Joachimek czerwieniejąc jak burak. – Aleć ja waćpannom znajo...

— Panny, tfu, na psa urok, gładkością samą Dianę przewyższają – sapnął szlachciura. – Owo, raczej rzec, przed ich obliczności sąd Parysa przypominam.

– Sąsiad je jeno konfudujesz, w domu chowane, do światowej grzeczności nie nawykły,

W tej chwili z mojej ręki wypadła książka do nabożeństwa owinięta różańcem.

– Ach! – pisnęłam cienko.

– Cale zbrukane. – Rzecz jasna, ów Joachimek rzucił się niby ryś i stoi teraz wycierając safianowe okładki rękawem swojego okrycia. – Jakże teraz, waszmość panno, trzymać ją będziesz?

— Bardzo ci dziękuję – powiedziałam, uśmiechając się do niego. – Jakoś wytrę.

Gdyby wzrok mógł zabijać, w tym samym momencie leżałabym już bez życia w błocie, z oczu mojej tutejszej matki strzeliły błyskawice, twarz panny Franciszki wyrażała bezmiar zgorszenia, a Klara, wzniósłszy źrenice ku górze, zdawała się czekać na grom, którym niebiosa ukarzą mój bezwstyd i brak dobrych manier.

– Mam zaszczyt pożegnać waćpana. Jejmościanki, do kolaski! Jedziemy!

Jeszcze nie ruszyliśmy, a już dowiedziałam się, że jestem zakałą rodziny, wyrodkiem, ptakiem, który kala własne gniazdo, zalotnicą wyzbytą czci, niewstydnicą, krzyżem pańskim, którego dźwiganie jest ponad siły.

– Kiedy słuchy do pana Stanisława dojdą, nic ze zrękowin nie będzie, jeno wstyd a pośmiewisko między ludźmi, ladaco rozpustne. – „Ladaco rozpustne" to miałam być ja! – Onże Joachimek golec, klejnot pośledni, a ta omal go już za szyję nie obłapia na ludzkich oczach. Ty niecnoto, ty wyrodku!

To kazanie trwało bardzo długo, chlipnęłam raz czy drugi dla porządku, ale niewiele mi to pomogło.

Tym razem kaźń odbyła się niesłychanie uroczyście. Na kobierczyku klęczałam ja z obnażonymi plecami, a przede mną stanęła tutejsza matka z rózgą w ręku. Panna Franciszka, Klara i Dorota, kucharka, hoża Kasia od pokojów, dziewki z czeladnej modliły się głośno, mam wrażenie, że za moją grzeszną duszę.

– Nie z rankoru, nie z przywidzenia, jeno dla dobra jejmościanki tak czynimy – odezwała się niegłośno moja tutejsza matka.

Tak, krzyczałam i płakałam, wcale się nie wypieram, chociaż postanowiłam sobie z zaciśniętymi zębami znieść bicie, one zagłuszały mój krzyk modlitwą. Aż wreszcie ta straszna kobieta zmęczyła się.

– Wystarczy.

Podniosłam się z trudem, w obolałej głowie myśli rozpierzchły się we wszystkie strony, oblizawszy spieczone wargi powiedziałam cicho i z nienawiścią:

– Jeszcze pożałujecie.

Ich oczy wyokrągliły się jak oczy sów oślepionych światłem, Dorota zaszlochała i ten szloch sprowadził mnie z powrotem do tego obcego świata. Zgarbiłam się.

– Pokornie upraszam wybaczenia, żem zgrzeszyła niewstydem i pustotą. – Tutejsza matka wyciągnęła do mnie rękę, wiedziałam, że puszę tę dłoń pocałować, i pocałowałam. – Z serca odpuszczenia proszę i ślubuję, że póki życia

statecznie będę sobie poczynać.

Z tymi słowami obeszłam wszystkich, którzy się liczyli, Klarę, Dorotę, pannę Franciszkę, przyjmowały przeprosiny z nieodgadnionymi minami.

A potem stało się coś bardzo dziwnego, czego się wcale nie spodziewałam. Nagle moja tutejsza matka przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała w czoło.

Nie powiedziała przy tym nic, a ja poczułam, jak wściekłość we mnie ustępuje miejsca jakiemuś innemu uczuciu. Litości? Sympatii? Zaskoczeniu?

To dziwne, ale ona chciała dobrze, była przekonana, że tak właśnie należy postępować z krnąbrną córką. Jej także było przykro podczas tej chłosty, to się wyczuwało, a ten pocałunek miał być zadośćuczynieniem, milczącym „przepraszam", prośbą o wybaczenie.

Dobrze, że tutejsza matka nie potrafiła zajrzeć w moje myśli, wtedy byłaby naprawdę przerażona. Na pewno nic by nie zrozumiała, to, co kłębiło się w mojej czaszce, wymagało (z jej punktu widzenia) chyba trzykrotnego puszczenia krwi i podwójnej chłosty.

Znalazłam się tutaj nie z własnej woli, fakt. Nie pasuję do tych czasów i tych ludzi, także fakt. Jestem od nich chyba o wiele mądrzejsza, wiem więcej niż tutejsza matka, panna Franciszka, Klara i Dorota razem wzięte. One... one nawet nie wiedzą o istnieniu elektrycznej żarówki! Zresztą co tam żarówka! Nigdy nie widziały samochodu, tramwaju, lokomotywy, że już nie wspomnę o samolocie. No, a gdyby miały mieszkać w normalnym bloku, takim jak nasz? Albo gdyby miały wyjść na ulicę? Albo kupować w „Samie"? Zobaczylibyśmy, kto radziłby sobie lepiej: ja – tutaj, czy one – tam? Albo posadzić nadętą Klarę chociażby w szóstej klasie, ona ledwo sylabizuje z tych pożółkłych ksiąg! Nie na wiele przydałyby się jej miny i gderania, nie potrafiłaby, rozwiązać najprostszego piętrowego ułamka, sklecić do kupy kilku rosyjskich liter, podkreślić w zdaniu pojedynczym podmiotu i orzeczenia. A ona się łudzi, że zjadła wszystkie ro zumy, nawet nie zdaje sobie sprawy, że nic nie wie.

Tego dnia wieczorem moja tutejsza matka weszła ze świecą do naszej sypialni (sypialnia nazywa się alkierz!), świeca kopciła ciemnym dymkiem, cienie tańczyły po belkowaniu.

— Małgosia, w kątku uklękłszy, dwa różańce odmówi — zadysponowała. — A ja na jejmościankę dam baczenie, boć z niej jeno oko spuścić — strach, co się poczyna.

I klepałam zdrowaśki pod jej dozorem, a Klara i Dorota, przykrywszy się po uszy pierzynami, „zażywały wywczasu". Wzdychały przez sen i drapały się prawie bez ustanku.

Po pościeli skakały całe roje bystronogich pcheł, w szparach łoża gnieździły się tabuny pluskiew, z szuraniem przemykały po podłodze czarne karaluchy. Tutejsi uważali to za zupełnie normalny stan rzeczy, chociaż nie mogę powiedzieć, żeby nie usiłowali z tym walczyć. Raz na tydzień pod kierownictwem panny Franciszki zwlekało się z łóżek pościel, zawijało w ciasny kłąb, ściągało rzemieniami i hoża Kasia tłukła te tłomoki kijem, potem posypywało się sienniki ostro pachnącymi ziołami. Te zabiegi niewiele pomagały, pchły, pluskwy i karaluchy spacerowały w dalszym ciągu, a czy było ich trochę mniej, czy trochę więcej, to nie miało właściwie żadnego znaczenia.

Coś podobnego było także z wszami. Myłyśmy włosy w ziołowych odwarach, wyczesywałyśmy insekty, ale ciągle były. Ja się drapałam — tutejsza matka, panna Franciszka, Klara i Dorota wcale nie. Widocznie zdążyły się przyzwyczaić,że głowa musi swędzić, ja nie potrafiłam. Teraz podczas tych modłów także nieobyczajnie czochrałam włosy i podrapywałam się po żebrach, ale starałam się robić to tak, żeby się niezbyt rzucało w oczy.

Gdy całkiem zdrętwiałam od tego klęczenia gołymi kolanami na zimnej posadzce, kiedy zgubiłam liczbę odklepanych pacierzy, kiedy od niewygodnej pozycji nasilił się ból w schłostanych plecach i kiedy już, już miałam, zapominając o nakazanym samej sobie rozsądku, powiedzieć coś do słuchu tutejszej matce — usłyszałam:

— Chodź do mnie, Małgoś.

Objęła mnie ramieniem.

— Wola matki święta, córko, i to świadomo ci być musi. Tobie

fortuna się uśmiecha, ciebie splendory czekają, parantela[47] świetna, a da Bóg, boć pan Stanisław nie wieczny jest, jeno śmiertelny, rychło wdową zostaniesz. Tedy Klarcię i Dorotkę wywianujesz jako siostra, a sama po sercu przyjaciela dozgonnego wybierzesz.

Nic mnie nie obchodził ów staruszek z przekrzywioną szyją, zupełnie nic a nic, ale nie mogłam słuchać, jak ta kobieta rozprawia o jego śmierci i moim wdowieństwie niby o najzwyklejszej sprawie. Jeżeli chociaż przez moment wydawało mi się, że ją rozumiem, po tych słowach uznałam się za rozgrzeszoną ze wszystkiego. Ona była gotowa — dla pieniędzy i zaszczytów — wypchnąć rodzoną córkę z domu i w dodatku uważała, że postępuje słusznie i mądrze. O nie, proszę pani, takie numery ze mną nie przejdą, ja, ta wasza Małgosia, nie poświęcę się ani dla pani, ani dla Klary, ani dla Doroty, nie ma głupich!

W ogóle jakbym jeszcze za mało miała kłopotów z przyzwyczajaniem się do tego dziwnego świata, muszą mnie wypychać za mąż za tego Stanisława. Proszę bardzo, mogę napisać klasówkę, mogę zataszczyć do punktu skupu dwadzieścia kilo makulatury, mogę pójść na pieszą wycieczkę śladami Bolesława Prusa, wystąpić na akademii, pogodzić się z Jolką albo pokłócić z Irminą, umówić się z Jackiem... Ale jak mogę zgodzić się albo nie zgodzić na wyjście za mąż, i to jeszcze w taki sposób, i za takiego człowieka? I bardzo proszę, żeby nikt mi nie wmawiał, że mogę wymyślić albo zrobić coś mądrego. Po prostu... po prostu to jest za trudne dla mnie.

Tak sobie myślałam, a tymczasem tutejsza matka perorowała w najlepsze. (O właśnie, dlaczego pomyślałam: „perorowała", a nie normalnie: „ciągnęła"?)

— Jać już do familii listy napisałam, jeno patrzeć, jak zjadą, by rzecz rozważyć — mówiła dalej, cień czepca ślizgał się po ścianie rogatym kształtem. — Ty mi musisz przysięgnąć, że będziesz obyczajnie postępowała, boć kiedy pan Stanisław za grymaśnicę i wszeteczną cię poczyta, ku innej afekt zwróci, a ty na koszu osiądziesz z osławą. Już swoje lata masz i wiedzieć

47 Parantela — związki pokrewieństwa, powinowactwa, zwłaszcza z osobami należącymi do znanego rodu.

musisz, coś familii powinna, a jeśli dobrego słowa nie chcesz słuchać, kij i post cię do rozumu przyprowadzą. Kto ojca, matki nie słucha, temu psia skóra nauczycielem.

Widocznie moja złość i sprzeciw były silniejsze od rozsądku, bo powiedziałam:

— On jest stary. Wcale mi się nie podoba. I w ogóle nic mnie nie obchodzi. Niech pani wreszcie zrozumie, że ja wcale nie jestem pani Małgosią!

Przeżegnała się.

— To wcale nie jest żadna choroba — brnęłam dalej, jąkając się ze złości. — Ostatecznie mogę trochę tutaj pobyć, dopóki nie wrócę do domu, ale nie będę wychodziła za mąż za nikogo! Ja nie mogę wyjść za mąż! Mam dopiero cżternaście lat! I ja nie chcę! Nie chcę!

Tutejsza matka zerwała się na równe nogi.

— Klara! Dorota! — wrzasnęła z całej siły.

Spod pierzyn wynurzyły się dwie głowy ustrojone w nocne czepce. Oczywiście te małpy tylko udawały, że śpią, podsłuchiwały cały czas.

— Kto to jest? — spytała tutejsza matka wyciągając ku mnie dłoń z rozcapierzonymi palcami.

— Małgosia.

— Siostra.

— To słuchajcie, co ona powiada!

— Słyszałyśmy, pani matko.

— Znowu zły ją opętał.

— W gorętwie plecie nieprzytomnie, ani chybi!

— Ona zawżdy kiedy w opresję wpadnie, od rzeczy poczyna gadać, jużem to z dawna pomiarkowała.

— Boże, Boże! — zajęczała tutejsza matka. — Żeby chociaż pan Stanisław rzeczy nie odkrył, ona bez ochyby na rozumie jest pomieszana jako ciotka Tekla! O sobie jeno myśli, względu na mnie i na was nie ma, żadnych racji słuchać nie chce, jeno plecie głupoty, nożem mnie kraje, solą posypuje. Za co mnie tak pokarano?!

Zaczęła płakać, odpowiedział jej szloch Klary i Doroty, ale te łkania nic mnie nie wzruszyły, niech sobie beczą na zdrowie,

dla ich przyjemności nie zamierzam wcale złamać sobie życia. A w ogóle jak to ma być? Wrócę do mamy, do mojej mamy i powiem: „Wiesz, wyszłam za mąż za pana Stanisława". Nie! Im bardzo na tym zależy, uważają mnie za potwora bez serca, no i dobrze, niech uważają. Ja się nie dam przerobić na ich kopyto.

W ciemnej i zimnej komórce chodziłam od ściany do ściany. Jak posiedzę tu całą noc, na pewno dostanę grypy albo zapalenia płuc, może im właśnie o to chodzi.

W prawdziwym życiu, kiedy byłam z moją własną mamą, uważałam często, że dzieje mi się krzywda. Mama zabraniała mi czasami tego czy owego, kazała o ósmej wracać do domu, gniewała się o uwagi w dzienniczku (bywały, bywały!), o podmalowanie powiek, rzeczy wyciągane potajemnie z szafy. Na moje prośby o bluzkę czy dżinsy odpowiadała, że nie ma pieniędzy. Nie podobała jej się moja przyjaźń z Jolą i ja się też czasami nie podobałam mamie, miała pretensje, że nie pomagam w domu, że myślę tylko o ciuchach i przyjemnościach, że nic mnie nie obchodzi, że jestem niesolidna. Ale moja mama to jest anioł w porównaniu z tymi tutaj, najwyżej cofała mi na tydzień kieszonkowe, to była największa kara.

Już nie mogłam się powstrzymać. Te myśli o mamie rozkleiły mnie zupełnie... Mamo, ty nawet nie wiesz, co się ze mną dzieje. Pomóż mi. Ja już nie mam siły. Tu jest tak zimno, ty się zawsze gniewałaś, jak wychodziłam bez czapki. Pewno się martwisz, ale i mnie jest bardzo ciężko, mamo. To jest wszystko zupełnie idiotyczne i nie może być prawdziwe. Ja nie chcę, żeby było prawdziwe.

Gdzieś że ściany spłynął cieniutki chichot.

— Kto tu jest? — szepnęłam przejęta strachem. — Kto tu jest?

Chichot powtórzył się, jeszcze cieniej niż poprzednio, i umilkł.

Poczułam zimny pot na czole, zęby mi zaszczękały, przypomniałam sobie te wszystkie historie o zmorach, strzygoniach, wąpierzach opowiadane przy blasku łuczywa w czeladnej. Jeżeli czarne, lodowate paluchy ścisną mi szyję, nikt nie usłyszy przedśmiertnego rzężenia. Znajdą mnie rano, panna Franciszka obejrzy mnie fachowo. „Ani chybi zmora" — powie i

będzie miała słuszność.

— Hi! hi! hi! — odezwało się, tym razem już zupełnie blisko.

— Kto tu? — zaszeptałam przez ściśniętę gardło.

Długa chwila ciszy i nagle:

— Ja.

— Co za ja?

— Dytko — odpowiedziała mi ciemność.

Przytuliłam się do ściany, niech to chichoczące w ciemności nie rzuci się na mnie z tyłu.

— Czego ty się boisz, Małgosiu?

Nie odpowiedziałam, bo co miałam odpowiedzieć?

— Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś taka nieśmiała. To coś nowego. Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

— Bo nie.

— To już lepiej. Jak sądzisz, kto ja jestem?

— Nic mnie to nie obchodzi — odwarknęłam zbierając resztki odwagi.

— Szkoda. Masz tu zamiar pozostać na zawsze? — zachichotało z ciemności. — Bo jeśli tak...

— Nie!

— Nie?

— Nie! Powiedz w tej chwili, jak się stąd wydostać.

— Mamy już temat do rozmowy, co stwierdzam z prawdziwą radością. Chcesz stąd uciec, prawda? A możesz mi powiedzieć, jak się tutaj znalazłaś?

— Przez lustro.

— Pięknie. Ale dlaczego powędrowałaś przez lustro w drugą stronę?

— Nie wiem.

— A przecież lubiłaś zawsze zagadki. Czy nie masz ochoty się zastanowić?

— Nie mam. To mnie nic nie obchodzi. Chcę wrócić! Teraz, zaraz.

Cienki śmieszek urwał się w ciemności.

— Celowość — oświadczyło ogromnie poważnie dytko — obowiązuje także i nas. To znaczy: obowiązuje w pewnym sensie.

To było tak dziwne, że zamilkłam. Nie wiem dlaczego, ale

GDZIEŚ ZE ŚCIANY SPŁYNĄŁ
CIENIUTKI CHICHOT.

przestałam się bać, opanowałam dygot i szczękanie zębami, ono, to całe dytko, nie jest wcale takie straszne. I przypuszczalnie wie, jak się stąd wydostać. A jeśli ono wie, to i ja będę wiedziała.

– Żadnych akcji na pokaz – ciągnęło dalej dytko. – Działalność pozornie nieefektowna, ale skuteczna. Nasza dewiza: „Zawsze prosto do celu". Rozumiesz, Małgosiu?

– Nie rozumiem – oświadczyłam zgodnie z prawdą.

Zrobiło się zupełnie cicho. Czy ono sobie poszło?

– Jesteś tutaj?

— Tak.

— Jesteś niewidzialne?

— I tak, i nie. To zależy.

— Od czego?

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

— Masz coś wspólnego z piekłem?

– Formalnie tak, mnóstwo autorytetów twierdzi, że tam mieszkam, ale to nieprawda. Osobiście nie wierzę w piekło, chociaż nie jest to sąd, z którym się specjalnie afiszuję. Widziałem, jak je sobie wyobrażacie: ogromne kotły i paleniska z ogniem podsycanym drzewem. Zupełny nonsens. O wiele wyższe temperatury uzyskuje się spalając zwyczajny węgiel, że nie wspomnę o bateriach koksowniczych. A w ogóle skąd brać lasy do wyrębu na całą wieczność? I to jeszcze w epoce ochrony środowiska naturalnego! Tak więc, widzisz samą, że z piekłem zaszło jakieś fatalne nieporozumienie...

Gadało i gadało, a ja zastanawiałam się, jak je podejść, żeby powiedziało mi to najważniejsze.

– Naprawdę potrafisz przerzucić człowieka kilka wieków wstecz? – wtrąciłam w potok wymowy dytka. – To musi być okropnie trudne i skomplikowane.

– Dla mnie nie.

— Pokaż, jak to robisz. Czy musisz mieć do tego lustro?

– Nie. Potrafię także inaczej, ale to nie ma znaczenia. Nie podejdziesz mnie, Małgosiu.

– Wcale nie mam zamiaru cię podchodzić.

– Masz. Ja jestem inteligentne dytko, chociaż niektórzy

twierdzą, że te rogi, które mi rosną do wewnątrz, upośledzają mnie intelektualnie. No i wygląd. Z powodu wyglądu też niektórzy mnie lekceważą, ale to błąd.

Przez mgnienie oka usiłowałam sobie wyobrazić dytka. Jak mu właściwie rosną te rogi?

— Powinnaś być mi wdzięczna — dobiegło z mroku. — Bardzo się starałem, żebyś była dobrze wyposażona na pobyt tutaj. Czy zauważyłaś, że masz na końcu języka gotowe odpowiedzi i wiesz mnóstwo rzeczy, o których dawniej nie miałaś pojęcia? Jeżeli nie wściekasz się albo nie zagapisz, to wszystko ci idzie jak z płatka.

— Akurat! Właśnie, że mam straszne kłopoty. Mnóstwa rzeczy nie wiem. O, nawet nie miałam pojęcia, jak się ściąga tę suknię...

— Naprawdę? — dytko jakby się stropiło. — Widocznie zaszło jakieś niedopatrzenie...

Potem umilkło, a ja poczułam, jak we mnie rośnie złość.

— Głupie dytko! Zobaczysz, zrobię coś takiego, że się nie pozbierasz.

— Droga Małgosiu, kawał polega na tym, że nic mi nie możesz zrobić, nawet jeżeli masz na to wielką ochotę. Najwyżej zaszkodzisz sobie.

— To jest nieuczciwe!

— Komparatywnie, czyli porównawczo, tak, ale nie zapominaj, że obowiązują nas zupełnie inne prawa. Ja kieruję się zasadami ustalonymi dla dytek i z mojego punktu widzenia jestem całkowicie w porządku.

Nabrałam tchu.

— A moja mama?!

— O to się nie martw. Z mamą. jest wszystko. załatwione jak trzeba. Daję ci słowo dytka

Powiedziało to z taką powagą, że uwierzyłam.

— Ale chyba nie wiesz, co ze mną wyrabiają?!

— Wiem.

— I uważasz, że to w porządku?

— Nie.

— To zrób coś!

— Ja? — zdumiało się dytko. — Dlaczego ja?

— Sam przyznajesz, że nie jest w porządku...

— Ostatecznie są to oświecone, kulturalne czasy — westchnęło dytko. — Zostały już położone solidne podwaliny pod rozwój nauk, a łagodność i swoboda polskiego obyczaju są powszechnie sławione na całym świecie. W porównaniu z Anglią czy Niemcami procent procesów o czary jest nikły, wyjątkowo tylko podpala się stos pod kacerzem. Szkoda, że nie widziałaś dymów nad Smithfield pod Londynem, może zmieniłabyś zdanie. Ale ty, zdaje się, masz na myśli surowość metod wychowawczych, prawda? Pod tym względem polecałbym ci kraje protestanckie. Niderlandy, Anglię, Szwajcarię, niektóre rejony Niemiec. Wtedy byś zobaczyła, co to znaczy sprzeciwiać się woli rodziców.

— Ja się nie zgadzam!

— Bardzo dobrze.

— Bardzo dobrze! Jeszcze się przekonasz! — byłam gotowa rozryczeć się ze złości, to dytko najwyraźniej podkpiwało sobie ze mnie.

— Jeszcze zobaczysz!

— Brawo — pochwaliło mnie ni z tego, ni z owego dytko. — Bardzo ładnie się złościsz. Tylko tak dalej.

Zdawałam sobie sprawę, że ta rozmowa z dytkiem jest w ogóle trochę jakby z dziwnego snu, ale nawet dziwne sny mają coś w rodzaju sensu, przynajmniej na samym końcu okazuje się, że można się obudzić. Tym razem nie mogłam się obudzić i nic nie rozumiałam. Nic a nic

— Zabierzesz mnie z powrotem — wyjąkałam już bez żadnej nadziei, tak tylko, żeby coś powiedzieć.

— Szkoda, Małgosiu, że nie wiesz nic o działalności dytek. Gdybyś wiedziała, zgadłabyś wszystko bez trudu. Zdaje się, że czas się już rozstać, bo wyczerpałem temat. Jak to wy mówicie na pożegnanie? Aha, pamiętam. Cześć.

Zachichotało i w moim więzieniu zrobiło się zupełnie cicho, tak cicho, że aż dzwoniło w uszach. Na próżno wołałam, prosiłam, żeby wróciło, nawet je przepraszałam, ale nie wróciło, rozwiało się albo wpełzło w mysią norkę i tam podśmiewało się

bezgłośnie ze mnie i z mojej rozpaczy.

Dopiero gdy blady świt począł się sączyć przez zakratowane okienko pod stropem, uspokoiłam się. Może rzeczywiście jestem chora, mam przywidzenia i słyszę tajemnicze głosy? Trzeba wziąć się w garść. Ja sobie poradzę, jeszcze nie wiem jak, ale wreszcie coś sensownego wymyślę. Jak kiedyś była draka, bo urwałam się z lekcji i poszłam do kina, to dyrektorka chciała mi zmniejszyć stopień ze sprawowania. No i nie zmniejszyła, wyłgałam się ze wszystkiego. Albo z tą broszką, mama chciała ją dać cioci Halinie i nie dała, bo ja się nie zgodziłam. Albo wtedy jak mama chciała, żebym pojechała do babci na wieś, a ja się uparłam wyjechać na obóz. U babci trzeba ciągle coś robić i jest strasznie nudno, babcia jest stara, i w ogóle. Jasne, że byłam na obozie, nie u babci. I mogłam podać jeszcze tysiąc przykładów, że potrafię sobie poradzić. Mam w nosie tego całego dytka.

Ja już mówiłam o babci od broszki, ale babcia od broszki to jest druga babcia, która nie żyje, a babcia ze wsi jest mamą mojego ojca. Ja mojego ojca prawie nie znam, on się wyprowadził z domu, kiedy miałam cztery lata, i teraz stale mieszka na wybrzeżu. Przez te wszystkie lata wpadł do nas kilka razy jak po ogień, zapytał, co w szkole, powiedział, że urosłam, i poszedł sobie. Ponieważ ciągle zapominał o alimentach, mama się uniosła honorem i wcale o te pieniądze nie prosiła, chociaż mogła. Powiedziała, że damy sobie radę, sama na mnie i na siebie zarobi. Trochę dziwne, że mama po tym wszystkim wysyłała mnie na wieś do tamtej babci, zresztą to nieważne. Mam teraz sprawy o wiele ważniejsze do przemyślenia. Tylko spokojnie. Jeżeli...

Ale jeżeli, to wszystko mi się tylko śniło? Jeżeli nie było tej całej rozmowy? Kto prowadzi dysputy z dytkiem? I co to w ogóle jest dytko? Żyję już piętnaście lat i nigdy o niczym takim nie słyszałam.

— A jakie jest dytko? — pytam najniewinniej w świecie pochylona nad haftem w czeladnej.

Dziugam igłą raz koło razu. Już mnie ułaskawiono, jestem z powrotem ich Małgosią i wszystko jest bardzo śliczne, tylko

Klara daje mi odczuć swoją niechęć, dysgust[48]. Sama nie wiem, skąd biorą mi się teraz takie dziwne słowa jak ten „dysgust" na przykład. Może niechcący uczę się od nich, będzie ładny pasztet, kiedy wrócę do domu i złożę rewerencje pani matce dobrodziejce. No nic, najważniejsze, żeby się dowiedzieć, jak jest z tym dytkiem.

— Jakie jest dytko?

— Kto jak kto, ale jejmościanka pewnikiem nieraz dytka w przezieradełku widziała — chichocze urągliwie ciotka Franciszka. — Oko z Małgosi spuścić, a ona już w zwierciadło zerka.

— Ale jakie ono jest? — powtarzam pochylając się jeszcze niżej nad haftem.

— Dytko to dytko — stwierdza panna Franciszka surowo i zaciska wargi na znak, że nie ma o czym mówić.

Kręcą się przęślice, palce dziewcząt ciągną długą nitkę, pojękuje kołowrotek. Cisza, czasem ktoś westchnie półgłośno, za ścianami płacze wiatr. Skądś dmucha powiewem i płomień łuczywa ugina się jakby pod niewidzialnym dotknięciem, drgają cienie na belkach ścian.

W szlochanie wiatru wplątują się jakieś głosy dalekie i zamazane. Tutejsza matka żegna się z rozmachem.

— Takimi nocami złe popod dom przychodzi. Niech no Małgosia o czartowskie siły nie wypytuje, żeby czego nie przywołała. Tfu, zgiń, przepadnij!

Ja także czuję się nieswojo. Nie to, żebym się bała, ale tak mi jakoś od tego płaczu wiatru, od uginającego się płomienia, od milczenia kobiet pochylonych nad swoją robotą. Ale MUSZĘ się dowiedzieć.

— Dytko już tam żadnej potencji[49] nie ma — mówię nie patrząc na nikogo. — Słabe ono, jak nie przymierzając skrzacik czy insze ubożę.

— No, duże ono nie jest, ale siłę swoją ma — odezwała się panna Franciszka. — Już by Małgosia głupstw nie gadała. Ono się najczęściej gdzieniebądź przytai, za konterfektem[50] albo i w

48 Dysgust — antypatia.
49 Potencja — siła, moc.
50 Konterfekt — portret, obraz.

jakiej szparze, i wszystko widzi. Na panny ono szczególnie zawzięte, co dla próżności światowej o wszystkim zapominają. Im najczęściej pakości[51] czyni.

— Co?

— Albo to Małgosi nie wiadomo? Ono, dytko, nad zwierciadłami największą moc sprawuje, a w zwierciadle dziwne się sprawy poczynają, ekstraordynaryjne. Nie patrzyła to jejmościanka w przezieradełko w wigilię Andrzeja?

— Nie — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— Ja patrzyłam — wtrąca z boku Dorota. — Dwie świece ustawiłam i czekałam, aż drugie kury przepieją.

— Co jejmościanka widziała? — chce wiedzieć pani matka, a ja mam ochotę roześmiać się głośno z tych zabobonów. Wstyd w coś takiego wierzyć.

— Najpierw koń wrony bieżał, niby przez jaki las, tak całkiem nie baczyłam, jeno pomnę, że drzewa tam były, a na koniu człek siedział pięknej postury. Jenom oblicza nie widziała, bo tak się pokazywało tylko z daleka. — Jej ręka z igłą zawisła na moment w powietrzu. — Potem wszystko zniknęło i nicem już więcej nie widziała.

— Na wronym koniu jechał? — pyta Klara.

— Na wronym.

— Wrony koń płakanie albo krzywdę znaczy — w głosie Klary można wyczuć zadowolenie, coś ją ucieszyło w opowieści siostry.

— At, co też Klarunia wygaduje?! — oburzyła się najwyraźniej ciotka Franciszka. — Płakanie wtedy, jeżeli gdzie woda jest pobok albo jakby wodę pił, albo jakby w deszczu Dorotka go widziała, a tak — szczęśliwą losu odmianę zwiastuje.

Podczas kiedy sprzeczają się, co znaczy wrony koń widziany przy świecach w lustrze, zastanawiam się, jak wrócić do dytka.

— Dytka nie baczyłaś? — pytam z głupia frant Dorotę.

— Nie baczyłam.

— Dytko w Andrzejową noc cale mocy nie ma — komunikuje mi ciotka Franciszka. — W Gody także nie.

— A kiedy ma?

51 Pakość — dokuczliwość, zły uczynek

— Jak miesiąc na wietku[52] i słoneczko krwawo zachodziło na odwieczerz, dytko wtedy najsilniejsze. I pod ten czas, jak się Kurki[53] na niebie pokazują. Najpierw zwierciadło się zamąci, zblednie i dopiero patrzysz, a tam głowa i nogi niby pajęcze, ale ze słomy. To jest dytko.Nie wiadomo dlaczego, od słów ciotki Franciszki zrobiło się strasznie. Ta głowa na słomkowych, pajęczych nogach. Brrr... dziękuję za takie widoki! Przez wiatr przedarło się dalekie, jękliwe wycie.

— W imię ojca i syna. Wilki!

— Pod owczarnię ani chybi podchodzą.

Jak na komendę w dziedzińcu rozszczekały się psy. Nigdy w życiu nie słyszałam takiego zachłystującego ujadania, chociaż w naszym bloku też jest kilka psów, które lubią sobie poszczekać z całego serca.

Potem siedziałyśmy w milczeniu i słuchałyśmy tego, co działo się w rozjęczanej wiatrem ciemności.

— Kiernoza[54] zarżnęły — raportował wąsaty włodarz obsypany śniegiem. Jego ogromne wąsy sterczały złowieszczo spod lisiej kapuzy[55]. — I precz dziurą w poszyciu zbieżały.

— Panno Święta, znowu nieszczęście — zajęczała ciotka Franciszka boleściwie — taki stadnik!

Już więcej nie było mowy o tym, co można zobaczyć w zwierciadle, wrzeciona obracały się w milczeniu, płakał wiatr. Dorota dukała żywot świętej Korduli. Przed rozejściem się na spoczynek tutejsza matka powiedziała pozornie bez nacisku:

— Tylko jutro ochędożnie, jejmościanki, bo jako mniemam, familia się zjedzie pod wieczór.

W lodowatej alkowie wsunęłam się między wilgotnawą i zimną pierzynę a wilgotnawe i zimne prześcieradło i, wystawiwszy spod betów głowę, spytałam:

— Dorotko, prawdziwie tego wronego konia widziałaś?

— Jako ciebie teraz widzę.

---

52 Wietek — księżyc tuż przed nowiem albo tuż po nowiu; także: nów.

53 Kurki, Kwoczki — Plejady; otwarta gromada gwiazd w gwiazdozbiorze Byka.

54 Kiernoz — knur.

55 Kapuza — czapka futrzana zakrywająca uszy.

— Dytka tam gdzie nie było?

— Jakbym ono baczyła, precz bym stamtąd szła. Toż niebezpieczne jest.

— A może być, że onego nie widno, a ono w rzeczy jest?

— Ciotunia powiadali, że może.

— Rety...

— Już byście przed nocą złego nie wywoływały. Głupki, kurze łby — skarciła nas obie Klara. — Trajkoczą, Boże odpuść, a co z owego trajkotu, ani myślą.

Szkoda, że — zamiast chemii na przykład — nie uczono mnie dytkologii, o ile nauka o dytkach tak się nazywa. Wtedy nie musiałabym prowadzić tego mozolnego śledztwa.

Ono ma pajęcze nogi. Ono może być nawet wtedy, kiedy go nie ma. Ono chichocze. Ono ma wyłącznie głowę, jeżeli nie liczyć tych nóg. Ono...

— ...Zawitaj, Panno czysta... — wykonuje z uczuciem Klara przyrzucona szarym tołubem, z ust podczas tego pienia ulatuje jej gęsty obłok pary, grzechoczą polana, hoża Kasia rozpala na kominku jak każdego ranka.

Przez serduszka drewnianych okiennic widać niebo mgliste i ciemne niby w najgłuchszą noc. Musi być bardzo wcześnie.

— Małgoś, Dorota! Wstawajcie!

W kuchni huczy rozpalony piec, od gęstych korzennych woni wierci w nosie, bulgoczą ogromne sagany. Dziewki w czeladnej wypełniają polecenia panny Franciszki.

— Trzy mendle jaj świeżutkich, sześć funtów masła, kwartę parzonych migdałów, sześć garści rodzynek, kwartę mąki — mówi głośno ciotka Franciszka. — Soli — aby na koniec noża, miodu trzy kwaterki, gałki muszkatowej zmielonej, szczyptę cynamonu...

Dziewczyna szybko okręca sito, mąka sypie się na płótno rozłożone na stole, obok druga coś pracowicie uciera w ogromnej misie drewnianym tłuczkiem. Na ławie inne oskubują z piór kaczki i kurczęta.

— Jest wołowa macherzyna[56]? — pyta ciotka Franciszka dramatycznym głosem, mogłoby się wydawać, że od tej macherzy-

56 Macherzyna — pęcherz.

ny zależą losy świata.
— Już niech waćpani głowy sobie nie turbuje. Jest.
— Zające dwa?
— Ano, jeszcze z wieczora przynieśli.
— Kuraków dziesięć?
— Są.
— Gęś karmna?
— Jest.
— Jagnię?
— Jest.
— Wołowa ćwiartka?
— Jest, jest. Już się warzy.

Mnie wręczają ogromniasty moździerz i tłuczek, mam rozbijać korzenie, jakiś cynamon, imbir, pieprz, panna Franciszka surowo pilnuje, żeby ani jedna drobinka się nie zmarnowała. To na wagę złota płacone, trzeba uważać.

Więc uważam. One oparzają migdały, przebierają rodzynki, topią miód (bardzo ładnie pachnie taki topiony miód), a wreszcie z zamczystego sepetu[57] panna Franciszka wydobywa przybrudzony stożek czegoś nieokreślonego. To coś łupią uważnie na kawałki, myślę, że szlifierz diamentów stosuje podobne ostrożności, zeby nie uronić ani okruszyny.

— Jeszcze na Gody starczy i do Wielkiejnocy takoż, a później trzeba będzie nową głowę kupić — wzdycha tutejsza matka ogarniając płótnem żółtoszare okruchy. — I znowu takie wielkie pieniądze trzeba wyłożyć. Ano, bez cukru ani rusz, kiedy gość godny w dom. Tylko ekspensa[58] i ekspensa, końca nie widać. Tupiąc obmarzniętymi butami parobcy wnoszą ceber ryb; z mięsnymi, sosistymi woniami miesza się zapach śluzu i mulistego szlamu.

— Co to jest? — tutejsza matka pochyla się nad cebrem. — Istne pośmiewisko! Karaski, karpie i jeno kilka łokciowych szczuczek[59]. Żeby chociaż jedna główna szczuka była!

— Upraszamy łaski pani, głównej my nie znaszli — tłumaczą

57 Sepet — kufer; skrzynia z szufladkami zamykana na drzwiczki.
58 Ekspens — wydatek.
59 Szczuczka — szczupaczek.

się parobcy przytupując zmarzniętymi nogami, mają fioletowe od mrozu twarze i sine ręce. – Jeno takie ciągnęli.

— Z łuczywem trza było na lód – gniewa się panna Franciszka. – Z łuczywem!

– My niewinni.

Widać, że chętnie postaliby jeszcze w smakowitych woniach, w cieple buchającym od kotliny, chociaż popatrzyli na te wszystkie przysmaki rozłożone na stołach, ale rozkaz panny Franciszki wygania ich za drzwi.

Około południa sytuacja jest jako tako opanowana, pieczenie skwierczą tłuszczem, groch dochodzi, ciasta tylko na łopatę i w piec, ryby zastygają w zawiesistych galaretach. Teraz najważniejsze. Klara, Dorota i ja dostajemy polecenie, żeby się uważnie przyglądać.

Tutejsza matka ujmuje końcami palców po szczypcie zmielonych korzeni, kawałeczki cukru, doprawia sosy i rosoły, próbuje drewnianą chochlą gęstości i smaku.

– Klaruniu, a przyłóż no jeszcze miętowych liści – poleca najstarszej córce. – Kolor się nie wydał w owej zielonej juszce. Konsystencji jest dobrej, jeno farby nie takiej jak potrzeba. Za to jucha wiśniowa ponad wszelkie pochwały.

Spotniała, zmęczona kręcę się między stołami a spiżarnią, poganiana rozkazami tutejszej matki i panny Franciszki.

Jeszcze trochę, a upadnę prosto w dzieżę, gdzie wzdyma się zólte ciasto na placki.

Na pokojach komenderuje hoża Kasia. (Czemu myślę: „na pokojach", nasza polonistka zawsze robiła awantury, jeżeli ktos powiedział: „na klasie" albo „na ogrodzie". Pewno by się wściekała za te „napokoje", gdyby mogła mnie usłyszeć). Podłoga lśni od wosku (stąpasz po lśniących deszczułkach jak po lodzie, ostrożnie, uważnie, inaczej – bęc! – i już leżysz), długachny stół okryty jest sztywnym, odstającym obrusem z białym haftem. Na stole – ogromna ilość naczyń, misek, miseczek, konewek, pucharków, czareczek, kielichów, brak tylko widelców, noży i łyżek.

Biorę jakąś miseczkę z nakrytego stołu i obracam w palcach. Nigdy nie byłam specjalnie mocna z chemii, ale to jest chyba

ołów, taki sam, z jakiego robiło się kiedyś żołnierzy-zabawki i którym obciąża się wędki. A tamto jest miedziane, coś podobnego widziałam w Desie na Nowym Świecie. A to chyba srebrne. E, też mam o czym myśleć!

— Małgoś!

Wracam do czeladnej i do kuchni, przynoszę, odnoszę, dosypuję, odsypuję, przykrywam, nakrywam, mieszam. Rany gorzkie z pierożkami, zhysiować można od tej roboty. Kto to wszystko zje?!

Mało brakowało, a byłabym znowu naraziła się na gniew tutejszej matki, bo już miałam ochotę powiedzieć, co myślę o tej całej robocie. Ale na szczęście w pewnej chwili usłyszałam:

— Panny, do alkowy! Czas o ornamencie pomyśleć, żeby przystojnie się prezentować spektatorom.

Moje rozdrażnienie podsuwa mi niezwykłą tutaj zachciankę.

— Obmyć bym się żądała po tym trudzie.

My się wprawdzie myjemy rankami, ale co to za mycie! Hoża Kasia przynosi wielką metalową miednicę, gdzie na dnie telepie się kilka łyżek lodowatej wody. Z wody tej korzystamy kolejno, po starszeństwie, najpierw Klara, potem Dorota, na końcu ja. Klara zanurza w wodzie końce palców i gotowe. Dorota nabiera wody w stulone dłonie i ochlapuje sobie twarz, ja robię tak samo jak ona, tej wody jest bardzo mało i jest zbyt zimna, żeby można się zdobyć na bohaterstwo umycia szyi i uszu.

Moja prośba wprawia tutejszą matkę w ogromne zdziwienie.

— Kąpieli niedługo jejmościanka zażądasz — zaczyna pouczenia. — Jeszcze gdzie do Godów... — I nagle wyraża zgodę: — A wiejcie tam jejmościance Małgosi grzanego, kiedy jej taki mus.

Nie odważywszy się na ściągnięcie przepoconego tołuba, ochlapuję szyję, uszy i twarz. Przydałoby się mydło, ale oni tutaj mydła nie używają, a na te ich kostki z popiołu i glinki kicham, one się tylko mażą i nic więcej.

Tym razem nawet tutejsza matka zachodzi do nas, żeby pomóc w ubieraniu. Już teraz wiem, że ten spodni gorset nazywa się sznurówka albo kształciczek, że moja paradna suknia jest tabinowa[60], że na uszach mam zawieszone

60 Tabin — gatunek tkaniny jedwabnej; rodzaj złocistej mory.

trzęsienie, a te kloce u pantofli noszą nazwę absatzów albo zeli. Dzisiaj nie ufryzujemy włosów, familia przyjeżdża, więc mamy się prezentować w dziewiczym stanie, z kosami jak należy, tak przynajmniej postanowiła tutejsza matka.

Z warkoczem nawet Klara wygląda zupełnie ładnie. Gdyby tylko zechciała przestać się krzywić jak po wypiciu octu siedmiu złodziei. Mamy założyć czółka. Moje jest aksamitne, haftowane drobniutkimi perełkami, nawet fajnie wygląda.

— Siedźcie i czekajcie — poleca tutejsza matka. — Jakby przyjechali, jeno ze mną wychodźcie witać. Żeby mi żadna na sienie nie wyskakiwała jak jaki bisurman, z nieprzystojnym wrzaskiem. — Tu spojrzenie w moją stronę. — Do jejmościanki Małgorzaty to mówią, nie do kogo drugiego.

Siedzimy i czekamy, łojówka pryska i kopci, chwilami przysypiam. Nie ma co gadać, zmachałam się jak nigdy w życiu, teraz najchętniej wlazłabym pod pierzynę i cześć, bawcie się beze mnie.

— Żeby już przyjechali — ziewa Dorota zasłaniając usta dłonią. Też jest zmęczona, to widać.

Nikt nie przyjeżdża, na dziedzińcu psy naszczekują sennie, powieki same opadają na oczy.

— Pójdę i popatrzę.

Oczywiście Klara mówi coś o nieposł”3zenstwie, ale nie zwracam na nią uwagi. Klara nie jest groźna. Gderze, marudzi i labidzi trochę dla zasady, a trochę z nudów, niech jej będzie. W naszej klasie jest taka jedna Kamila, która tak samo wszystkich poucza i także nikt nie zwraca na jej słowa najmniejszej uwagi.

Narzucam na pafadną suknię barani tołubek i wyślizguję się z domu. Spadł śnieg, mrozek szczypie w policzki, po niebie sunie pyzaty księżyc, wypolerowany niczym owe metalowe półmichy na odświętnym stole.

— Cholernie ładnie — szepczę sama do siebie i zaraz poprawiam się. — Nader wdzięczny a ucieszny prospekt[61].

Mam ochotę roześmiać się. To zabawne, że nauczyłam się mówić tutejszym językiem, dopiero będzie draka, kiedy zasunę tak w szkole!

61 Prospekt — widok.

Jestem już na drodze. Idę pewnie, mróz ściął błotnistą topiel, śniegu ledwo, ledwo, jakby kto posypał ziemię cukrem, fioletowawe cienie ślizgają się po bieli. Robi mi się lekko – mimo zmęczenia – i wesoło.

– *Malgośka, mówią mi, on niewart jednej łzy…*

Podśpiewuję sobie piosenkę Maryli Rodowicz, może za chwilę zobaczę karetę z gośćmi, a może… Chętnie bym sobie pogadała z tym dytkiem. Jak to panna Franciszka mówiła: „kiedy miesiąc na wietku"… Co to znaczy: na wietku? Czy dzisiaj jest na wietku, czy jakoś inaczej?

Nagle serce wlazło mi do gardła, przez białe, uśpione pola coś pędzi prosto na mnie.

Wilk!

Zaczęłam biec potykając się i ślizgając na klocowatych obcasach, plącząc się w długiej spódnicy. Do domu jest blisko, chyba zdążę, one boją się światła. Nie, nie zdążę. Już jest tuż, tuż. Ze strachu głos zamarł mi w gardle. Na podwórzu rozszczekały się psy ochryple i wściekle.

To, co mnie ścigało, wcale nie jest wilkiem. Stoi przede mną pies i macha ogonem, jakby chciał powiedzieć: „To ja, czego się boisz"?

– Poszedł precz! – Ktoś odgania psa, jego głos wydaje ml się znajomy. – Takeś, waćpanna, bieżała jako sarna strwożona, anim za waćpanną nadążyć nie mógł. Wybacz, waćpanna, żem ją na przelęknienie naraził, z serca rad bym krwi utoczyć, żeby winę zmazać.

Zobaczyłam Joachimka i nawet nie zdziwiłam się wcale.

– Przechodziłem mimo, a pies pobieżał, tom myślał, że za zającem albo liszką[62], a tu własnym oczom nie wierzę – waćpanna nocką samotnie peregrynujesz[63]. Wolno mi wiedzieć, dokąd dróżka wiedzie?

– Strasznie się zmęczyłam i wyszłam trochę się przewietrzyć – odpowiedziałam. – Przestraszyłam się twojego psa. Myślałam, że to wilk.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i jakby z przestrachem,

62 Liszka – samica lisa; lis

63 Peregrynować – wędrować.

widocznie znowu coś powiedziałam nie tak, ale byłam poza domem i wydawało mi się, że Joachimek jest podobny do Jacka, więc mówiłam do niego, jakbym mówiła do normalnego kolegi.

– Jakiej rasy jest twój pies? – zapytałam, żeby przerwać niezręczne milczenie.

– Polskiej.

– Aha.

Przeszliśmy kilka kroków, on nic nie mówił i ja też nic, księżyc wolniutko płynął nad naszymi głowami.

– Baczysz, waćpanna, jaki miesiąc?

– Tak. Wyjątkowo jasno świeci.

– Powiadają, że na nim siedzi wilk, a drudzy powiadają, że pan Twardowski.

Roześmiałam się.

– Nie. Jakbyłam w przedszkolu, także myślałam, że na Księżycu mieszka pan Twardowski. Ale teraz chyba nawet przedszkolaki w to nie wierzą, bo przecież są fotografie powierzchni Księżyca, no i kosmonauci...

W Joachimku grzdyknęło, oczy mu omal nie wylazły z orbit.

– O czym, waćpanna, rozprawiasz?!

– O lądowaniu pojazdu kosmicznego na powierzchni Księżyca. Ach, przepraszam, ty przecież nic o tym nie możesz wiedzieć, ale to prawda. Wiesz, że na Księżycu można skoczyć bez trudu ze dwadzieścia metrów w dal?

Joachimek zrobił się najpierw bardzo blady, potem bardzo czerwony, oddychał głośno, a ja mówiłam dalej:

– Tam w ogóle nic specjalnie ciekawego nie ma, tylko taki piasek, skały i kratery. A na niebie nad Księżycem świeci Ziemia...

– W imię Ojca i Syna – przeżegnał się z rozmachem. – Zamilcz, waćpanna, na miłosierdzie Boże! Zamilcz, proszę.

Wydawał się szczerze przerażony i zmartwiony.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– Za takie słowa kaźń ogniowa, bez ochyby. – Przytrzymał mnie za ramię. – Pomódl się, waćpanna, może cię mroczki odejdą.

— To przecież prawda.

Nagle Joachimek ukląkł przede mną.

— Ja waćpannę miłuję i zapomnieć o niej nie mogę. Klimkiem w oczy rzucałem[64], jam tu wcale nie przypadkiem szedł, jeno z umysłu. — Rozłożył szeroko ręce. — Masz, waćpanna, we mnie sługę najpokorniejszego i dlatego upraszam i zaklinam, byś waćpanna milczała.

— Dobrze. To było tylko dla draki.

— Dla draki? — nie zrozumiał.

— No, krotochwila — przetłumaczyłam. — Teraz wiesz? Ty, zdaje się, chcesz ze mną chodzić, prawda? — Ponieważ znowu nie zrozumiał, wyjaśniłam: — Przecież mówiłeś, że mnie miłujesz.

Ciągle jeszcze klęczał na śniegu.

— Mnie się podoba Jacek, ale z tobą także mogę chodzić — brnęłam dalej w tłumaczeniach. — Strasznie mi się nudzi, wiesz? Nic — tylko robota i robota od rana do nocy, a za byle co bicie. Nawet pogadać nie ma z kim. — Może mi się wydawało, ale usłyszałam gdzieś koło lewego ucha cieniuteńki chichot. — Ja nawet nie wiem, jaki król teraz panuje!

— Jan, trzeci tego imienia.

(Jan Trzeci Tego Imienia? A któż to, u licha, taki? Zaraz, którzy królowie mieli na imię Jan? Jan Bez Ziemi, nie, nie to, i Jan Bez Trwogi także nie to. Później się zastanowię, teraz mam ważniejsze sprawy na głowie.)

Joachimek wstał, otrzepał kolana ze śniegu.

— Jaki mi respons[65] dasz, waćpanna?

— Respons? — teraz ja nie zrozumiałam.

— Mam li myśleć o tobie? Bo dziwnie jakoś gadałaś, żem nie pojął.

To było powiedziane śmiertelnie poważnie, tak poważnie, że straciłam ochotę, do śmiechu. On się we mnie naprawdę zakochał. Jak... jak Azja w Basi! Jak w filmach! Jak w książce! No, chyba dziewczyny pękną z zazdrości, kiedy im o tym opowiem. Jolka buja, że jeden z technikum pisze do niej wiersze, a to ona

64 Klimkiem rzucać — zmyślać wykrętnie, tumanić.

65 Respons — odpowiedź.

sama te wiersze przepisuje z „Antologii poezji miłosnej", wszystkie koleżanki o tym wiedzą. A ten Joachimek napisałby wiersz, jakbym mu kazała!

— Mnie wiadomo, że waćpanna w świetne idziesz związki, ja, com ubogi, jeno w sercu waćpanny jedyną instancję mieć mogę, tedy przed ten trybunał prośby moje zanoszę. Rzeknij, waćpanna, po sercu ci jeszcze jestem?

— Po sercu, po sercu — powiedziałam szybko, niech on sobie idzie, ten cały Joachimek, bo ktoś wyjdzie na ganek i znowu będzie awantura.

— Ręki mi, waćpanna, nie podasz?

Niby czemu nie? Ale on mnie pocałował w rękę, słowo honoru, pocałował!

Dobiegając do ganku, usłyszałam w wielkiej, wieczornej ciszy koński tętent. To znaczy, że rzeczywiście umyślnie przyjechał tutaj i czatował na rozmowę ze mną. Ho, ho! Małgosia bohaterką love story, kto by pomyślał! To fajny chłopak. Szkoda, że nie mogę go pokazać dziewczynom z mojej klasy.

Klara i Dorota podrzemywały w alkierzu. Usiadłam przy nich, buzia w ciup, rączki w małdrzyk, podług wyrażenia panny Franciszki, i zastygłam równie nieruchoma jak one, ale wcale nie było mi do snu. Mam swojego chłopaka! Joachimek jest ładniejszy niż Olbrychski i Perepeczko razem wzięci, Klara i Dorota pękną z zazdrości, kiedy się dowiedzą, że jeszcze ktoś się we mnie zakochał. Z panem Stanisławem koniec, wolę Joachimka. Zaczyna mi się tutaj podobać. Nawet nie wiedziałam, że we mnie można się naprawdę zakochać, dopiero tutaj się okazało, że można, i to jeszcze jak!

Zdjęła mnie nagła ciekawość, jak wyglądam w dniu, kiedy można się we mnie zakochać.

Pochylam się nad matową taflą zwierciadła. Strasznie się sobie na początku nie podobałam jako ta tutejsza Małgosia. Ale kiedy się tak zastanowić, ona wcale nie jest brzydka. Ona — to znaczy ja. Mam zęby równiutkie i białe jak twarożek, ciemne wąskie brwi, bujne włosy i dołeczki w policzkach. I cerę mam ładną, ładniejszą chyba niż przedtem, gładziutką, bez śladu piegów. Klawo wyglądam w tym wąskim staniku i bufiastej spód-

nicy, wysokie obcasy dodają mi wzrostu. W ogóle zaczynam się sobie podobać jako tutejsza Małgosia. Gdybym jeszcze mogła w tym stroju pokazać się w szkole...

Środek zwierciadła zmętniał i zmatowiał, wydawało mi się, że dostrzegam w nim jakby niejasny zarys głowy. W tej samej chwili usłyszałam:

— Oj, Małgoś, Małgoś. Do jejmościanki gadać, to jakby grochem o ścianę rzucać. Znowu do zwierciadła?

Odskakuję jak oparzona.

— Już nie przyjadą — wzdycha tutejsza matka. — Spora noc. Nic to, jutro czekać będziemy.

Chyba pierwszy raz, od momentu kiedy trafiłam tutaj, kładę się z bijącym radośnie sercem. Ogromnie jestem ciekawa, co przyniesie mi jutrzejszy dzień. W powietrzu lekko pachnie ciastem, ten zapach kojarzy mi się ze świętami, z czymś wesołym i przyjemnym. Joachimek pocałował mnie w prawą rękę, o tutaj. Może i ja jestem odrobinę zakochana? Jest mi wesoło i dobrze. Nawet skrzywiona Klara, która ze stękaniem mości się pod pierzyną, wydaje mi się sympatyczna.

— Jakbym konia słyszała, wtedy co Małgoś na drogę poszła — odzywa się półgębkiem. — Psy takoż szczekały.

— Nie baczyłam — odpowiadam. — Przy samym ganku stałam i niczego nie baczyłam.

Klarze to wystarcza, naciąga róg pierzyny na głowę i zapada w sen. Ciekawe, co się śni takiej Klarze? Pewno wesele, bo ona ciągle o tym myśli. Biedna Klara...

Do południa nikt nie przyjechał. Koty wyżarły z największego półmicha ryby, placki obeschły, panna Franciszka łamała ręce: tyle pracy, taki ekspens, i wszystko na nic.

I właśnie gdy tutejsza matka poleciła nam zdjąć paradne przyodziewki, wbiegł parobek i krzyknął przerażonym głosem:

— Ady jadą!

Wyległyśmy na ganek, przodem tutejsza matka, za jej rozłożystym czepcem my trzy, Klara, Dorota i ja, Małgosia. Przypadałyśmy do ziemi w niskich dygach, kiedy krewniacy postękując gramolili się z kolasy.

— Witam siostrunię dobrodziejkę.

— W niskie progi proszę brata dobrodzieja, w niskie progi. Panie Stanisławie dobrodzieju, chatka niska, ale serca gorące. Szczerze prosimy.

— Siostrunia, tfu, na psa urok, jak malowanie wygląda Nie będzie to jakiej po nieboszczyku konsolacji[66]?

— Brat dobrodziej sobie dworujesz z sieroty.

— Jeszcze i dziatki być by mogły, gdyby się waćpani jaki przyjaciel dozgonny trafił.

— Gdzie mi tam o przyjacielu myśleć, panie Stanisławie, dobrodzieju osobliwszy. Trzydzieści zim z okładem na karku. O córkach teraz jeno myślę.

Gości było dwóch, tędzy, rumiani, wąsaci, w ciężkich futrach i kołpakach ozdobionych błyszczącymi zapinkami,. Ten wyższy, Kalasanty, był bratem tutejszej matki, ten niższy, Stanisław, jej szwagrem.

Wreszcie rozsiedli się za stołem, pod długim rzędem surowo popatrujących portretów. Z kuchni wyjechały pierwsze półmichy studzienin[67] i omszały gąsiorek.

— Pijcie, waćpanowie, węgrzyn pono wystały.

— A siostrunia dobrodziejka?

— Ja nie piję i moje sieroty takoż nie. Nie białogłowy to rzecz winem się raczyć.

— Panny, widzę, jak łanie. Która z nich ta sukcesorka[68]?

— Małgorzata — tu odwróciła się do mnie. — Zaprezentuj się, jejmościanka.

Dygnęłam zerwawszy się z miejsca.

— Będziesz, siostrunia, chyba kijem konkurentów od jejmościanki oganiała. Liczko udatne, śmieszka, co z dołeczków widno, długo ta klaczka miejsca w stajni nie zagrzeje.

— Nadto łaskaw dobrodziej na dziewkę. Ona i tak wiele o sobie rozumie.

Ze zdumieniem zobaczyłam, że imponujący goście sięgnęli za cholewy safianowych butów i wyciągnęli łyżki, którymi zaatakowali podane mięsiwa.

---

66 Konsolacja — pociecha.

67 Studzienina — galareta.

68 Sukcesorka — spadkobierczyni.

Wprost wierzyć się nie chce, ile oni mogli zjeść. Jeden po drugim opróżnione półmiski znikały ze stołu, w jedzeniu dzielnie sekundowały gościom tutejsza matka i panna Franciszka, która dopiero po studzieninach przemknęła się chyłkiem z kuchni i jak trusia przycupnęła na rożku długachnego stołu. Klara i Dorota łamały obyczajnie chleb na małe kawałeczki, maczały w sosach i pojadały po troszku, bez apetytu i powściągliwie.

— Wiadomo już waszmościom, dobrodziejom moim osobliwym, że Małgosi konkurent się trafia nie byle jaki. Ród senatorski, 'parantela świetna i niebiedny.

— Słyszeliśmy.

— Wielki to zaszczyt w koligację z taką familią iść, jeno o zrękowinach postanowienia być nie może, jeśli Małgosia posagowych wiosek a sum nie dostanie, o których ojciec dobrodziej postanowił.

— Toć wie siostrunia, że one sumy u nas są bezpieczne.

— Anibym śmiała inaczej myśleć, dobrodzieje wy moi, jeno że pan Stanisław przed zrękowinami kontraktu życzy. Bez kontraktu, powiada, zrękowin nie odprawi.

Oblicza gości poczerwieniały.

— Stary krętacz to jest! — pięść wuja Kalasantego rymnęła w stół. — Jeno mu o wiano chodzi, nie o Małgosię. Znają go.

— Sam byś brat dobrodziej nie inaczej poczynał — łagodziła wzburzenie tutejsza matka. — Wiadoma to rzecz, że człek stateczny i rządny o wszystkim myśli, na azardy żadne nie puszczając się. Ja mu w tym nie zganię.

Przez dłuższą chwilę goście popijali i jedli w złowieszczym milczeniu.

— A nie życzył ów Stanisław zapisu na siebie owego wiana?

— Jakem żywa, nie życzył.

— Widno podumał, że my rzecz w lot przepatrzymy. Coś się tak, siostrunia dobrodziejka, za tym Stanisławem uparła? Innych nie ma?

— Bratu dobrodziejowi łatwo dworować z sierot, my na uboczy żyjąc, ludzi nie widujemy. Palec Boży w tym upatruję, że pan Stanisław oczy na mój dom obrócił.

— Pokaż, siostrunia, swoją gładyszkę w świecie, stu takich się

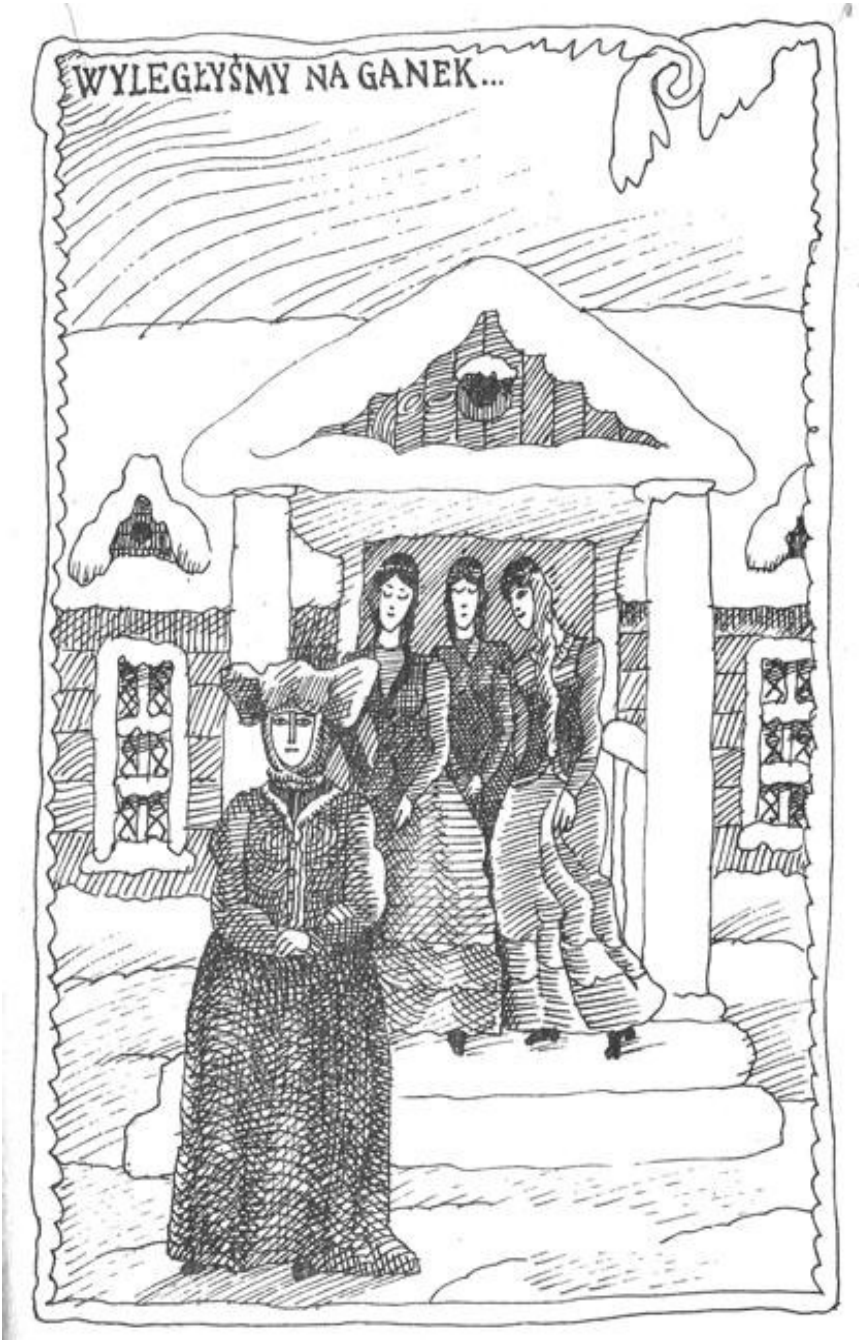
WYLEGŁYŚMY NA GANEK...

zbiegnie.

— W świecie, w świecie... — powtórzyła nader kwaśno tutejsza matka. — My w biedzie żyjemy, a w świecie bywając wielkich pieniędzy potrzeba. Skąd je brać?

— Stół aż się ugina, węgrzyn przedni i siostrunia o biedzie rozprawiasz?

— Znowu brat dworować ze mnie raczy. Jeść, chwała Bogu, mamy co, ale o gotowy grosz trudno. Tyle, co się zboża nieco przeda, jesienią gąsek, zimą drzewa. Jakby pieniądz był, nie siałyby rutki moje sierotki biedne... — pociągnęła nosem — Klara, Dorotka...

Teraz obie siostry zerwały się z miejsca, przypadając do ziemi w dygach.

— Hm — mruknął wuj Kalasanty. — Bywa, że i wiana za pannę nie żądają, amorami się kontentując. Teraz jeden oficer cudzoziemskiego regimentu pannę respektową wojewodziny w jednej koszuli wziął, tak się rozamorował.

— Może w świecie tak i bywa — ucięła ostro tutejsza matka — ałeć nie w naszej głuszy.

— Tedy ruszaj, siostrunia, w świat z pannami. Może szczęście znajdą.

— Brat znów dworuje.

— Skoro siostrunia dobre rady dworowaniem raczy mianować...

Przez chwilę wszyscy milczeli.

— Piesków jakoś u siostruni nie widzę?

— A po co? Ani ja, ani córki zwierza z psami dojeżdżać nie będziemy. Koni trzymam kilka przez pamięć nieboszczyka mego, który w koniach nadzwyczaj się kochał. Ale i je przedać myślę, ubogiej sierocie nic po nich.

Wuj Kalasanty się wyraźnie ożywił.

— Może i ja bym którego kupił, żeby siostrze w niedoli ulżyć. Z dobrej krwi są?

— Ten jabłkowity dobrej krwi jest, bachmat. Już mi go targowali, ale nie przedam byle komu. Piękny koń.

— Biały — albo dobry cały, albo całkiem pies — oświadczył sentencjonalnie wuj Kalasanty. — Jutro go opatrzymy.

Potem zaczęła się straszliwie nudna rozmowa o jakichś krewnych, z wyliczeniem, kto umarł, kto się urodził, komu się dobrze powodzi, a komu źle. To trwało bardzo długo, tak że ustawione na stole świece dopaliły się prawie do końca, ciotka Franciszka obsadziła nowe i równy blask płomyków zalał ciepłym światłem biały obrus i resztki potraw na półmichach.

— Cnoty nie dostaje — wieszczył ponuro szwagier o imieniu Stanisław. — Mało było sznurówek, tańców i asambli[69], teraz jeszcze niewiasty muchy poczęły lepić na obliczach, a wstęgi na sobie wieszać, że w niejednej ławie[70] mniej ich bywa niż na białogłowskiej personie. Zginie Rzeczpospolita przez te mody a wydwarzania, zginie, ja wam to mówię!

— Z góry pono przykład idzie — wtrąciła tutejsza matka, która najwyraźniej rozkoszowała się tą rozmową, nawet zarumieniła, się i odmłodniała.

— Waćpani dobrodzika o jej miłości królowej Marii Kazimierze mówisz?

— O niej samej.

(Zaraz, zaraz, która królowa nazywała się Maria Kazimiera? Jakbym kiedyś coś słyszała o takiej. Nie, nie pamiętam).

— Poprzednia królowa, o imości Eleonorze prawię, tucznej [71] była substancji i umysłu niemocnego. Pono jak jej wręczali oficerowie suplikę[72], bo od roku żołdu im nie płacono, rzekła jeno: „bene, bene” [73]. Ale tak to dobra pani była, obyczajna, słowa nie można złego powiedzieć.

— O tej paskudnie powiadają.

— Pewnie, że paskudnie.

— Król, jak mówią, kroku bez niej nie zrobi.

— Jakbyś, siostrunia, przy tym była.

— I taka piękna? Bo gadają, że wspaniałej urody.

— Z wejrzenia to przyjemna jest, ale charakteru całkiem piekielnego. Swoich Francuzów nad wszystko hołubi, a na

69 Asambl — bal, raut.
70 Ława — kram, stoisko targowe.
71 Tuczny — tłusty.
72 Suplika — prośba.
73 Bene (łac.) — dobrze.

Polaków fuka.

— Samiście, waćpanowie, hetmana na tron promowali. Szedł huk po całej Polszczę: „Piasta! Piasta!", a widzę, że z onego Piasta jeszcze mniej ukontentowania niż z cudzego pana.

— Już to siostrunia de publicis[74] rozprawia jak statysta[75] jaki. Do podziwienia. Hetman prawy żołnierz, a czas wojenny. Wielki respekt mają sułtańscy przed jego imieniem.

— Spokój przecie teraz.

— At, taki i spokój — wuj Kalasanty dolał wina i jednym haustem wychylił cały puchar. — Kamieniec, Buczacz, Podhajce, Trembowla i drugie twierdze raz po raz Turka albo i zagony tatarskie odpierają. Ale tak, na psa urok, spokój. Król wywczasu zażywa z królową.

Musiałam mieć mocno niemądry wyraz twarzy, kiedy usiłowałam przypasować usłyszane informacje do swojej ubożuchnej historycznej wiedzy. Turcy, sułtan, Kamieniec Podolski (chyba ten sam, w którym wysadził się w powietrze pan Łomnicki, to znaczy pan Michał Wołodyjowski), król, królowa. Och! Ale ze mnie gapa. Oczywiście Jan Trzeci Tego Imienia to Jan Sobieski, a Maria Kazimiera to królowa Marysieńka. Byliśmy na wycieczce w Wilanowie. Wszystko się zgadza, bitwa pod Wiedniem, oswojona wydra, którą ktoś podarował królowi. Nawet sporo wiem o tym królu. W serialu grał go pan Dmochowski, Mariusz Dmochowski. Pycha! Już wiem coś ważnego.

— Co to się Małgosia tak kręci, jakby Małgosię kto szydłem w słabiznę ekscytował? — syczy ciotka Franciszka karcąc mnie jednocześnie piorunowym wejrzeniem. — Za grosz obyczajności!

A mnie wprost roznosi moje odkrycie, mam ochotę wtrącić się do rozmowy, mogę. im powiedzieć, co się stanie dalej.

Jeżeli jeszcze nie było bitwy pod Wiedniem, to wytrzeszczą oczy, kiedy im oświadczę, że taka bitwa będzie i że król zwycięży.

---

74 De publicis (łac.) — o sprawach powszechnych, państwowych.

75 Statysta — mąż stanu, polityk.

A za tego króla Jana
co to po łbach bił pogana,
przyszły posły cudzoziemce,
ratuj, królu, giną Niemce...

Tego nauczyła mnie ta babcia ze wsi, ale dalej ani w ząb. A może lepiej nic nie mówić? Chlapnę i znowu będzie awantura.

— Tedy do terminów przystąpmy — odzywa się niegłośno, ale znacząco tutejsza matka. — Pan Stanisław żąda kontrakt zaraz po Godach spisywać.

Oblicza wuja i szwagra robią się purpurowe nie tylko od wina, ale także z oburzenia.

— Siostrunia dobrodziejka nam nie dowierzasz?

— Czegóż larum[76] czynić, gore jeszcze nie wołają!

— Prędko jeno pchły się łapie. Tu konsylium potrzebne.

— Panną poczekać może, a i kawaler w kawalerskim stanie kopę lat bez mała przeżył, tak i przeżyje jeszcze trochę.

Przekrzykują się, walą pięścią w stół, młócą zaciśniętymi kułakami w piersi, bożą się i przysięgają, tutejsza matka słucha tego spokojnie.

— Pannom czas na spoczynek. — To znaczy, że mamy odejść i zostawić ich samych. — Dobrej nocy jejmościankom.

— Dobrej nocy, pani matko, dobrej nocy panom dobrodziejom — odpowiadamy składnym chórem i dygamy nader wymyślnie.

Rozczesując włosy Klara mówi przez zęby:

— Kto skacze, ten i płacze. Już Małgosia splendory przed sobą widziała i ot, ma Małgosia splendory.

— O czym ty gadasz?

— Albo oni grosza z dziadusiowego legatu nie zapłacą, albo już tych talarów całkiem nie ma, bo je stracili. Jakże, wuj dobrodziej służby trzyma a służby. Jakubek w dalekie kraje wojażował, do stołu u wujaszka co dzień ze stu ludzi siada, wiadome sprawy. Poszuka ten twój Stanisław majętniejszej, poszuka, jak Bóg na niebie!

— No, to co? Jak nie ten, to inny — odpowiadam myśląc o Jo-

76 Larum — alarm, zgiełk, hałas.

achimku.—Jeszcze sama temu Stanisławowi grochowy wianek[77] do kolaski przyczepię, wolna droga. Ja o pieniądze nie stoję.

— Bez wiana i ty na koszu usiądziesz.

— Akurat!

— Myślisz, że na twoje piękne oczy kawalerowie w konkury uderzają?

— A jak tak, to co? — pytam wspominając klęczącego na zmarzniętej ziemi Joachimka. „Ja cię miłuję i zapomnieć nie mogę". Głupia Klara! Jeszcze się mocno zdziwi, i to już niedługo.

— Ano, obaczymy. — Klara zwija warkocz pod nocnym czepkiem i z westchnieniem mości wśród piernatów. — Nadtoś pewna swojego, siostrzyczko.

Rankiem pod ganek przyprowadzają jabłkowitego konia. Rzuca głowę, przestępuje toczonymi kopytami, parska niespokojnie.

— Jakby łęgawy[78] — odzywa się wuj Kalasanty obejrzawszy dokładnie rumaka.

— Łęgawy?! — oburza się tutejsza matka. — Brat dobrodziej chyba oczu nie ma!

— No, no — łagodzi z boku szwagier. — Sielny[79] źrebiec, dobrej krwi, jeno waćpani dobrodziejka cenisz go tak, jakby ze szczerego złota był.

Bez trudu można się zorientować, że pomiędzy gośćmi a tutejszą matką zaszło coś nieprzyjemnego, odzywają się do siebie półgębkiem, opryskliwie, śladu nie zostało z wczorajszej serdeczności. Nikt nie zatrzymuje wuja Kalasantego i szwagra Stanisława, kiedy oświadczają, że chcieliby przed obiadem odjechać. Jeszcze toczą się targi o konia, tutejsza matka nie chce ustąpić ani grosza z podanej ceny, wuj się irytuje, chce najwyraźniej kupić, ale możliwie jak najtaniej. Atmosfera zagęszcza się, mrocznieje.

Stałyśmy szeregiem przed tutejszą matką, wujem Kalasantym

77 Grochowy wianek dać — dać odkosza, nie zgodzić się na małżeństwo.

78 Łęgawy — krzywy, wygięty ku dołowi; tu: wada budowy końskiej.

79 Sielny — silny.

i szwagrem Stanisławem.

— Tak więc po Godach siostra do mnie zjedziesz. — (Już teraz siostra, a nie siostrunia dobrodziejka!). — Wtedy postanowimy, co i jak z tym wianem.

— Dziękujemy wujaszkowi dobrodziejowi — odpowiedziałyśmy chórem.

— Siostra je na poganki, dziczki chowasz w takiej głuszy. Panna, jak koń, świata potrzebuje, gdy się zastoi — przepadło. Już tam moje błaźnice, Anusia i Marynka, ucieszą się z krewniaczek i tuszę, że pannom siostrzenicom gładkich kawalerów i wszelakiej zabawy nie zabraknie.

Po ich odjeździe tutejsza matka — rozdziana z robronu i paradnego czepca — powiedziała ze złością:

— Judasze przedajni. Zawsze do krzywdy byli pierwsi. Ale ja swojego nie daruję pókim żywa. Obaczą!

A potem zaczęły się przygotowania do Godów, znów praca od rana do nocy, ciężka, ogłupiająca i nieskończona. Byłam gotowa uważać wieczorne hafty za miłe wytchnienie, ostatecznie od tego tylko bolały oczy.

Teraz jednak chciałam tutaj zostać. Nie tylko ze względu na Joachimka, z którym „schodziłam się sekretnie", mówiąc językiem tego domu, a co oznaczało, że spotykaliśmy się za gumnem, za strzyżonym szpalerem, w gęstniejącym mroku wieczora. On mówił kilka słów, ja kilka słów i co prędzej rozchodziliśmy się w dwie różne strony świata. To było zabawne, takie sekrety przed wszystkimi. Byłam bardzo dumna z tego, że umiem się ustrzec przed okiem tutejszej matki, panny Franciszki i skwaszonej Klary. Ale nie Joachimek był powodem, dla którego przestałam myśleć o ucieczce. Miałam wielką ochotę na bale, kuligi i inne przyjemności, które czekały, nas u wuja Kalasantego. Co właściwie szkodzi, jeśli obejrzę dużo ciekawych rzeczy, potańczę, pojeżdżę sobie sankami, zawrócę w głowie jeszcze kilku chłopakom i dopiero wtedy zastanowię się, jak wrócić do mamy, do szkoły i do zwyczajnego życia? Oni tutaj powtarzają, że co się odwlecze, to nie uciecze.

O zaprosinach wuja Kalasantego rozprawia się coraz częściej, tutejsza matka kwaśno, z gniewem, Klara szyderczo, Dorota z

ożywieniem i nadzieją.

Gadając o tym zaproszeniu,, pracujemy i pracujemy, solimy, wędzimy, marynujemy, przysmażamy, zaczyniamy. Wełnę sprzedaje się przed Godami, trzeba ją prać, za brudną mniej płacą, ziołami przesypać, inaczej molik się zalęgnie i pożre wszystko. We włosach, w uszach, w nosie mam pełno wełnianego pyłu, kicham wełną, kaszlę wełną, wyczesuję przygarście wełny z warkocza.

Oni trzymają bydło po prostu w lesie, tylko woły stoją w oborze i kilka krów, reszta chodzi sobie po dąbrowie bez żadnej opieki, sama sobie wyszukuje pożywienie, objada korę z drzew wygrzebuje spod śniegu zrudziałą trawę. Tak samo hodują tutaj świnie. Mało wiem o hodowli zwierząt domowych, ale te metody wydają mi się najmniej dziwne.

— Wilcy krów nie porywają?

— A nie. Może czasami cielątko jakie ucapią, i tyle.

— Świń takoż nie ruszą, one w stadzie od wilka bezpieczne, wilk się ich lęka, nie one wilka — objaśnia ciotka Franciszka. — Cóż to, Małgosia dopiero się na świat narodziła, że o najprostszych sprawach nie wie?

Te tutejsze krowy i świnie wyglądają zupełnie inaczej niż na fotografiach w podręczniku zoologii. Krowiny nieduziutkie, myszate albo bure, obrastające na zimę mechatą sierścią, świnie wysokonogie jak charty, chude i napastliwe, czarnę albo łaciate.

W czeladnej poddają komisyjnym oględzinom kość piersiową gęsi, rzeczoznawcą jest panna Franciszka, do pomocy poproszono włodarza i kucharkę, obracają tę kość tak i siak, ustawiają od światła i do światła, obłamują po kawałeczku.

— Do Godów ziąb potrzyma bez śniegu prawie, dopieroż po świętym Sylwestrze śniegu. przywali, ale cieplej będzie — ogłasza wreszcie panna Franciszka. — I wnet się zima złamie, jeszcze przed Grzegorzem ani chybi, wiatry srogie powieją i powodzi tylko patrzeć.Okazuje się, że telewizyjny pan Wicherek miałby godną zastępczynię w pannie Franciszce, a dyżurny synoptyk zapłakałby z rozpaczy, słysząc, z jaką pewnością ustala prognozę pogody na najbliższe kilka miesięcy. Zuch

panna Franciszka!

Kiedy wreszcie uporałyśmy się z wełną (kupili ją, po długich targach, gadatliwi kupcy w ogromnych lisich czapach), kiedy zasoliłyśmy i zamarynowałyśmy całe góry mięsa, kiedy szynki, boczki i kiełbasy nabrały brunatnych złocistości w jałowcowym dymie, kiedy przewietrzyłyśmy w mroźnym powietrzu całe stosy przyodziewy, gdy w skrzynie i kufry wetknięto całe snopy bagna od moli, przepościłyśmy o chlebie i wodzie wszystkie środy i piątki – wtedy nadeszły Gody, czyli Gwiazdka.

To było okropnie denerwujące chodzić pośród całych gór jedzenia i obywać się skórką od chleba, chudym serkiem i kilkoma łykami wody. Jajka i mleko były surowo zabronione. Modliłyśmy się rano i wieczorem, nie było mowy o odmawianiu pacierzy na leżąco, zmarznięte do szpiku kości klęczałyśmy i klęczałyśmy na zimnych deskach, modliłyśmy się sumiennie i głośno. W sali w kącie stanął gruby snop żyta, na stół nakładziono z pół wozu siana, podczas wieczerzy tutejsza matka chlipała patrząc na puste miejsce u szczytu stołu, nakryte, a jakże, z miską, pucharkiem i wyszczerbioną rogową łyżką. Coś tąpało i łupało w belkach domu, za oknem cicho padał śnieg. Nie byłam zachwycona taką Wigilią, bez choinki, bez prezentów, bez świeczek i kolorowych bombek.

Na pasterce w kościele Joachimek wlepiał we mnie całkiem zbaraniałe oczy. Teraz byłam mądrzejsza, przepłynęłam obok niego z taką obojętnością, jakby był pieńkiem drzewa, nawet tutejsza matka nic nie mogła zarzucić mojemu zachowaniu.

Pobrzękiwały janczary[80], spod kopyt małe grudki śniegu uderzały w policzki, sanie mknęły białymi polami. Strasznie fajnie było jechać pędem przez sypiący śnieg, grudniową nocą.

– Bogu chwała, ustatkowała się Małgosia, do rozumu przyszła – pochwaliła mnie tutejsza matka. – Żeby jeszcze owo wiano wypłacili, już bym i na kilka mszy dała za sprawy z panem Stanisławem szczęśliwe zakończenie.

Zachichotałam w podniesiony kołnierz, jaki tam pan Stanisław, jakie wiano! To wszystko jest na niby, a ja się teraz bardzo dobrze bawię i Joachimek się we mnie kocha, i będę na

80 Janczary – dzwoneczki przy uprzęży.

prawdziwym balu, i... Nawet nie myślałam przez te pierwsze dni, że tutaj może być tak ciekawie.

Odwiedził nas ojciec Sułpicjusz. Podczas tej wizyty zdarzyła się zabawna rzecz. Odpowiedziałam bardzo składnie na kilka pytań, a ojciec Sułpicjusz kazał mi odmówić „Wierzę" po łacinie, podobno umiałam to expedite jeszcze jako mała dziewczynka.

– Ze wszystkim przepomniałam, ojcze wielebny.

– Oj, szpetnie, szpetnie, Małgorzatko. Przecie jeszcze trochę łaciny pojmujesz?

– Nic a nic, ojcze wielebny.

— Jako?

— Nic.

– Sam ciebie uczyłem. I Dorotkę takoż. Dorota nie przepomniała?

– Nie. Wszystko pamiętam. (Ładna historia! To paskudne dytko zapomniało także i o mojej łacinie, wyszłam na nieuka, a przecież naprawdę jestem tysiąc razy mądrzejsza od nich. Już ja sobie pogadam z dytkiem przy najbliższej okazji!)

Przez cały czas przypuszczałam, że wuj Kalasanty mieszka gdzieś na końcu świata. Tak się mówiło o tym wyjeździe, jakbyśmy się wybierały co najmniej do Australii albo do Patagonii, potem się okazało, że to jeden dzień drogi sanną, bo jakby błoto i deszcze, to nie wiadomo, czyby się w dwa zajechało, a tak to jeden, rano wyjedziemy i pod wieczór będziemy na miejscu.

Panna Franciszka popłakując pakowała łuby[81] i kufry, wymoszczono słomą olbrzymie sanie, poobwiązywałyśmy baszłykami[82] głowy, otuliłyśmy się podróżnymi tołubami i już można było jechać. Bagaże i hoża Kasia podążały z tyłu na nie malowanych sankach zaprzęgniętych w dwa chuderlawe mierzyny[83], my jechałyśmy czwórką, tutejsza matka przykazała,

81 Łub – pudło, kosz z kory drzewa, szczególnie lipy.

82 Baszłyk – rodzaj ciepłego kaptura o długich patkach do zawiązywania naokoło szyi.

83 Mierzyn, mierzynek – koń niewielkiego wzrostu, używany zwykle jako zwierzę pociągowe.

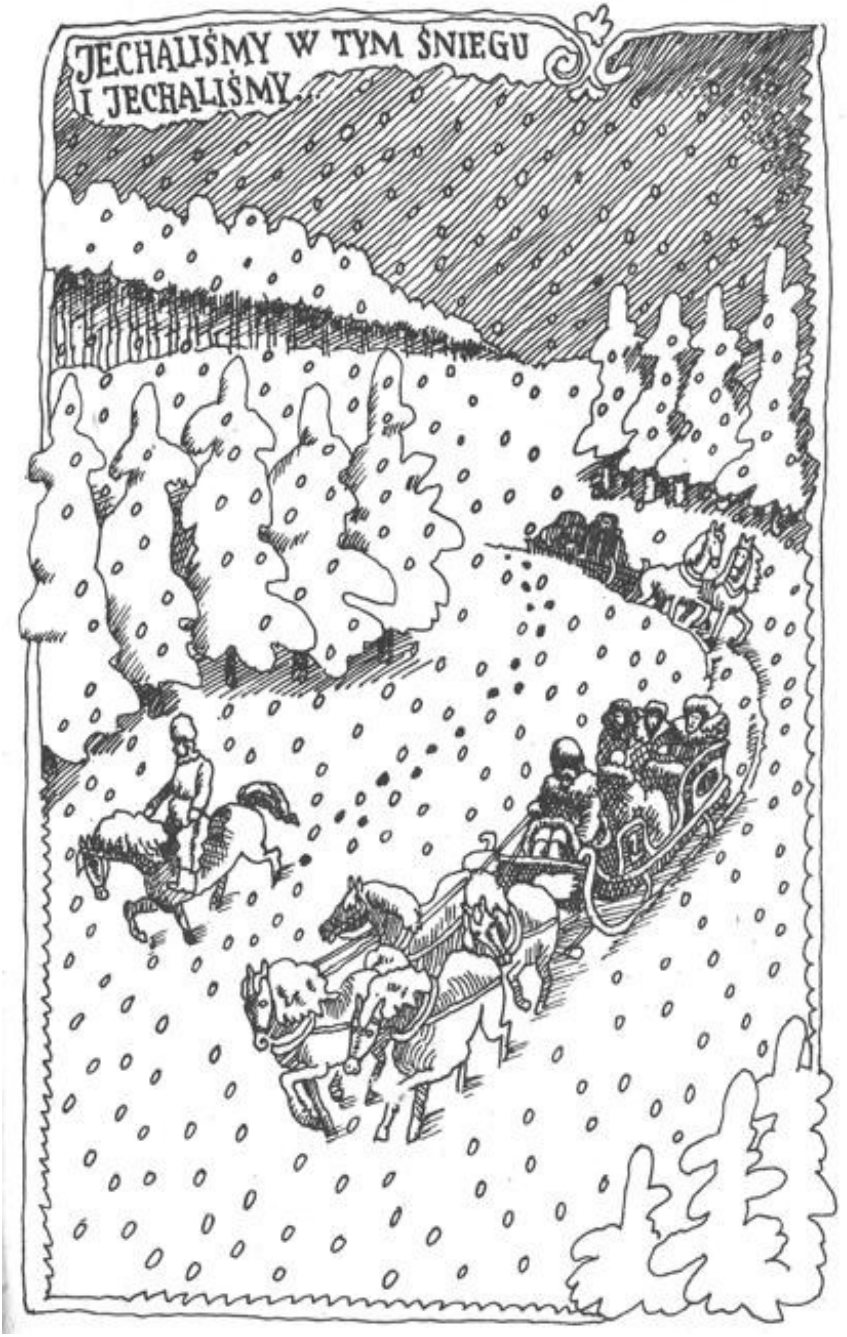
JECHALIŚMY W TYM ŚNIEGU
I JECHALIŚMY...

żeby jeden parobek jechał za nami konno dla parady, na tę okazję odziano go w dębiony[84] kożuszek i czapkę z siwego baranka.

Poprzedniego dnia zeszłam się z Joachimkiem za sernicą[85].

— Wyjeżdżamy — powiedziałam.

— Długi czas nie ujrzę waćpanny?

— Nie wiem.

— Waćpanna nielitościwie sobie ze mną poczynasz. Prawdę powiadają, że do pana stolnika jedziecie?

Aha, to wuj Kalasanty jest stolnikiem, nic o tym nie wiedziałam.

— Prawda.

— Wspomnisz tam o mnie, Małgoś? To jest, chciałem powiedzieć, wspomnisz tam o mnie, waćpanna?

— Mhm — odpowiedziałam tajemniczo.

— A jakbym...

— Jakbyś co?

— Nic, nic. Ktoś idzie...

Odskoczyliśmy od siebie, on nurknął za płot, a ja powędrowałam przeprowadzać wnikliwe studia nad stopniem obciekania serów. I to było wszystko. A teraz siedzę w saniach, konie parskają, woźnica szeroko rozstawiając łokcie pokrzykuje, Klarze świeci się nos, tutejsza matka wygląda tak, jakby wyruszała na wyprawę wojenną, a nie w zwykłą gościnę.

Po paru minutach jazdy zmarzłam na kość. Nie miałam złudzeń, mój nos był na pewno tak samo fioletowy jak nosy Klary i Doroty.

Zmęczone konie przeszły z biegu w stęp. Mogłam się do woli rozglądać po okolicy. Najbardziej uderzała pustka. Ani chaty, ani dymku, ani śladu człowieka, ziemia spała pod śniegiem, w lesie obsypywał się szron z gałęzi. Kiedy wjechaliśmy w las, po prostu nie mogliśmy z niego wyjechać, drzewa, drzewa i drzewa, bez końca. Czasem drogę przebiegło stado saren, czasem po zaspach przekicał zając, konie płoszyły się, rzucały łbami, gdy coś szeleściło w chaszczach. Wilki? Dziki?

84 Dębiony — wyprawiony, garbowany.

85 Sernica — pomieszczenie do przechowywania i suszenia serów.

Niedźwiedzie?

Czasami mijaliśmy ludzką siedzibę, jakieś nędzne, byle jak zbite z sosnowych bali chaty, poobtykane mchem i obłożone az do dachu kupami zeschłych liści i gałęziami świerka. Raz przemknęliśmy przez wieś, szarą i zasypaną. Nie do wiary, ale widziałam bosego dzieciaka, w samej koszuli, jak przebiegał przez podwórze.

Napotkani ludzie kłaniali się do ziemi, nikt nie zwracał uwagi na te pokłony, widocznie tak było trzeba, tylko ja się uśmiechałam do nich. Potem — kiedy zmrożona twarz skurczyła mi się w głupim grymasie — już nie. Koło południa zatrzymaliśmy się przed dosyć obszernym budynkiem, parobek zlazł z konia i, przytupując zmarzniętymi nogami, wniósł do środka jakiś dywanik i kilka poduszek.

Okazało się, że te poduszki zostały położone ną ławach, a dywanikiem okryto stół z ledwo heblowanych desek. Budynek był najwyraźniej karczmą, ale jakoś dziwnie biedną i brudną. W tej samej izbie, gdzie mieli zasiadać goście, na słomie stał zatroskany cielaczek, pod nogami plątało się kilka kur i całe stado zasmarkanych dzieci, po ścianach godnie przechodziły wypasione karaluchy. Ale było przynajmniej ciepło, po jakimś czasie poczułam, że odtajała mi zmarznięta twarz i krew napłynęła do zgrabiałych rąk. Dostałyśmy jajecznicę i po szklance grzanego piwa. Nie mam pojęcia, czy woźnica i parobek też coś dostali, ale chyba nie.

Po popasie jechałyśmy dalej przez monotonny, zimowy, pusty krajobraz. Minęły nas dźwięczące janczarami sanie, mignęło pióro przypięte do czapki błyszczącym kamieniem, za saniami kłusowało kilku konnych z szablami u boku. To były nadzwyczajne sanie, z końcami płóz rzeźbionymi w łabędzie głowy — chyba złocone, czy ja wiem? — a konie były przykryte czerwonymi siatkami podobnymi do rybackich sieci. Przy tym zaprzęgu nasze rozłożyste sanie wyglądały jak ubogi krewny, najgorsza była słoma sterczącą wiechciami ze wszystkich boków.

Zmierzch zapadł szybko, dmuchnęło wiatrem i zaczął popadywać gęsty śnieg. Jechaliśmy w tym śniegu i jechaliśmy, aż woź-

nica odwrócił się ku tutejszej matce i wychrypiał:

– Chyba z traktu zjechaliśmy, miłościwa pani. Coś mi się widzi, że w koło się kręcimy.

Najpierw tutejsza matka zaczęła wymyślać, potem ucichła. Drętwiałyśmy w saniach zasypywane przez śnieg.

– Dufam, że koniska dym zaczują i nas gdzie do ludzi wywiozą – dudnił z kozła woźnica, w formie pocieszenia. – Jeno przez śnieg im trudno.

Byłam bliska płaczu, marzłam straszliwie mimo tołuba, wyobrażałam sobie stado wilków, które bezszelestnie skrada się za nami, szczerząc zęby.

To wcale nie było takie miłe, jak mi się wydawało jeszcze dzisiaj rano, dziękuję za takie przyjemności i za takie podróże. Żeby nie mogli zbudować kilku porządnych szos, takich z drogowskazami, albo jakoś oznakować trakt, chociażby słupkami pomalowanymi na czerwono...

Konie kręciły się, kręciły, ustawały i nagle jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ruszyły przed siebie.

– Stajnię zaczuły – ucieszył się woźnica, którego padający śnieg przemienił w ogromnego bałwana.

No i rzeczywiście poczuły... Wróciliśmy do tej samej brudnej karczmy.

To była najgorsza noc w moim życiu, dym z paleniska snuł się po całej izbie, cielę beczało, karaluchy urządzały sobie stateczne przechadzki po moich policzkach. Nie było nawet dywanika i poduszek, sanki, którymi podróżowały hoża Kasia i łuby, gdzieś się rozwiały w śniegowej zadymce. Żadna przyjemność spać na gołej ławie lekko przyrzuconej słomą. Co ja mówię: spać – nie zmrużyłam oka ani na moment.

W jakim ci ludzie z karczmy żyli brudzie i nędzy, tego się nie da opowiedzieć. Nawet sobie nie wyobrażałam, że to aż tak wyglądało. Zawsze myślałam, że w podręczniku od historii przesadzili z tym wyzyskiem ludu, ale rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę.

Około południa dowiedziałam się, że dojeżdżamy. Zostawiliśmy za sobą zapyziałe miasteczko i sporym kłusem

podążaliśmy wyślizganym traktem. Z drzew niechętnie podrywały się wrony.

Oho, ho! Nasz dworek mógł się tylko skurczyć ze wstydu przy siedzibie wuja Kalasantego. Wuj Kalasanty mieszkał co się zowie po pańsku, kolumny, oficyny, piętro, szeroki podjazd, do którego prowadziła wysadzana drzewami aleja.

Wylazłyśmy z sań i szarpiąc na sobie końce chust, którymi okręciłyśmy tołuby, aby było cieplej, pospieszyłyśmy do środka. Nikt nie wyszedł na ganek, żeby nas przywitać, dopiero za drzwiami stanęłyśmy oko w oko z wystrojoną damą, dwiema pannami i uśmiechniętym od ucha do ucha chłopakiem.

— Jako podróż zeszła?

— Nie najgorzej — odpowiedziała kwaśno tutejsza matka. — Nie najgorzej, bratowo dobrodziejko.

Panny uchwyciły końcami palców wspaniałe spódnice i dygnęły. Wystarczyło na nie popatrzeć, aby zrozumieć, że. coś jest nie w porządku. Albo my byłyśmy ubrane nie tak jak potrzeba, albo one. Kiedy na obozie rozdarłam dżinsy i kierowniczka pożyczyła mi swoją przedpotopową suknię, dziewczyny uśmiechały się na mój widok tak samo, jak te dwie tutaj, patrząc na nas.

— Anula, Marynka, zaprowadźcie cioteczne do panieńskich pokoi — zadysponowała dama. — Niech się ogarną z drogi.

W pokoju, do którego nas wprowadzono, stal prawdziwy piec$_S$ na każdym kaflu namy, owane było coś innego, pod piecem, na łubach i kufrze, spala snem sprawiedliwego hoża Kasia, która — jak się okazało — dotarła tutaj jeszcze wczoraj wieczorem.

Wystrojone krewniaczki asystowały nam w milczeniu, aż wreszcie jedna z nich raczyła powiedzieć:

— Wieczorem kilka osób się zjedzie i tańce będą. Już kapela zamówiona. Tedy prosimy.

Po ich wyjściu Klara oświadczyła podejrzanie zakatarzonym głosem:

— Ja na żadne tańce nie idę.

— Coś ty?

— Jeszcze za mało wam pośmiechu? Idźcie, idźcie, nie zatrzymuję. Baczyłyście, jakie teraz są mody? Rękawy przecinane,

a stanik wstęgami sznurowany i trzewiczki jedwabne bez zapiętka. Macie takie stroje? Wujeczne siostry widno koafer czesze, sama tak włosów nie ułożysz. Macie koafera? One po francusku rozprawiają. Będą do was kawalerowie w tańcu po francusku gadać – jeno się zbłaźnicie. Idźcie, nie zatrzymuję.

Spojrzałam na Dorotę, Dorota spojrzała na mnie. Suknie, koafer, francuski, niedobrze. Ale nie taki straszny diabeł, jak go malują. Idziemy.

Przyniesiono nam obiad do pokoju, przegryzłyśmy co nieco, gdzieś z wnętrza domu dobiegało strojenie instrumentów, na podjeździe zadzwoniły janczary.

Niestety, Klara miała rację. Wyglądałyśmy jak ostatnie idiotki w swoich bombiastych sukniach woniejących bagnem od moli. Nasze trzewiki tupały gromko po wzorzystej posadzce. Nie wiem dlaczego, myślałam przez cały czas o tym, że od tego solenia mięs mamy posiekane i czerwone ręce. Zaciskałam te nieszczęsne ręce w kułaki, maszerując od drzwi pod ścianę. Tak, lepiej było nie pojawiać się pod pająkiem rozjarzonym woskowymi świecami.

Pani matka chwiała skrzydłami czepca wśród innych starszych kobiet (patrzcie, nazwałam ją panią matką, ale wśród obcych wydała mi się – ni z tego, ni z owego – bliska i zupełnie miła), też wyglądała dziwnie i biednie. No nic, skoro już tu jestem, mogę zrobić dobrą minę, stać mnie.

Anusia i Maryna prowadziły się wpół, wśród śmieszków, ze swoimi przyjaciółkami. Z kogo się śmiały? Ze mnie? No, to jeszcze zobaczą! Na białe szyje spływały ufryzowane pasma włosów, z głębokich dekoltów wyzierały krągłe ramiona, brokatowe spódnice szeleściły cichutko nad jedwabnymi trzewiczkami ozdobionymi sprzączką. My byłyśmy zakute w swoje suknie pod brodę, okropnie grube w tych bombiastych spódnicach, nie mówiąc już o wełnistej masie loczków, które hoża Kasia przypiekła nam żelazkami.

Zagrała orkiestra, taka trochę wiejska, z basetlą i z piszczałkami, ciekawe, jak się tańczy to, co grają? A tam, poradzę sobie. Chodziłam przez dwa łata na rytmikę, tańczyłam w zespole w świetlicy, najpierw za chłopca, a później już normalnie, za

dziewczynę. Muszę tylko popatrzyć, a zatańczę wcale nie gorzej niż inni. Tylko... tylko, że nikt mnie nie poprosi, bo wyglądam jak brzydkie kaczątko, sierotka Marysia i coś jeszcze w tym sensie.

A ja, idiotka, cieszyłam się na tańce, kawalerów, kuligi i diabli jeszcze wiedzą co! Tam, przed zmatowiałym zwierciadłem, wyglądałam wspaniale, tutaj okazało się, że to, co wydawało się ładne i bogate, naprawdę jest biedne, stare, trochę śmieszne, a trochę smutne.

Jedna z kuzynek, chyba ta, która ma na imię Anusia, podeszła do nas prowadząc za sobą jakąś roześmianą pięknotkę.

— Ma chérie, voici mes cousines[86] — zaszczebiotała.

— Enchantée de faire votre conaissance. Parlez vous franęais, mademois elle?[87]

— Pauvres petites, elles ne comprennent rien du tout[88].

Psiakrew, ja ani be, ani me po francusku, a nie byłoby źle, gdybym mogła im odszczebiotać niedbale, że francuski trochę wychodzi z mody i należałoby wziąć się za rosyjski i angielski. Pewno by z baraniały na amen. Dytko, czy nie mogłobyś trochę mi pomóc?

Niestety, nie spływa na mnie znajomość francuskiego, odymam się więc w swoich robronach i udaję, że nic mnie to wszystko nie obchodzi. A tymczasem na wzorzystym pawimencie[89] wirują już pierwsze pary, to znaczy wcale nie wirują, bo kawaler trzyma pannę za koniuszki palców i tańcują zwróceni ku sobie bokiem, ale tak mi się powiedziało. Kawalerowie w bogatych kontuszach, rozcięte rękawy ukazują błyszczący złotogłów, dwóch tylko jest odzianych inaczej, chyba z cudzoziemska, aksamitne kaftany z koronkowymi kołnierzami i szeroką szarfą. Ten taniec trochę przypomina ćwiczenia gimnastyczne z układów obowiązkowych, stąpa się wolno, dokładnie, jednocześnie partnerzy obracają się

86 Ma chérie... (fr.) — Moja droga, oto moje kuzynki.

87 EncHantće de faire... (fr.) — Jestem zachwycona z powodu zawarcia znajomośici. Czy mówi pani po francusku?

88 Pauvres petites... (fr.) — Biedne małe, one nic nie rozumieją.

89 Pawiment — podłoga, posadzka.

twarzami ku sobie, jednocześnie robią półobrót, jednocześnie się cofają. Nic trudnego. Ja też to potrafię.

Ale ja i Dorota możemy tylko przypatrywać się ze swojego schronienia za czepcem pani matki. To jest niesprawiedliwe. Zdaje się, że doświadczam na sobie tego, co nasza historyczka nazywała „rozwarstwianiem klasy szlacheckiej". Mam ochotę tańczyć i jestem dużo ładniejsza od tych wykrygowanych strojniś. O, chociażby tamta, przy drzwiach, ma paskudnie wystające zęby, a ta druga, którą akurat zaprasza do tańca kawaler, jest gruba i przysadzista jak pieniek. Dorota jest także ładniejsza. Czy ci chłopcy tutaj są ślepi, czy co?

Muzyka gra, pary tańcują, nikt nas nie dostrzega. Coraz bardziej chce mi się tańczyć.

— Siedź przystojnie — prosi cicho pani matka. — Oczami nie strzelaj, przyglądaj się, owo to takoż uciecha.

I kiedy zaczęłam myśleć o tym, żeby niepostrzeżenie uciec i wypłakać gdzieś w kącie swój zawód — skłonił mi się jeden z tych po cudzoziemsku odzianych kawalerów.Podałam mu końce palców i wypłynęłam na środek. No, teraz zobaczycie.

Był to skoczny, szybki taniec, w którym ja niby uciekałam, a on niby mnie gonił. Wcale nietrudny, tylko przy każdym podskoku posadzka odgrzmiewała pod moimi obcasami, łup, łup, łup jakby ktoś rąbał drzewo.

— Waćpanna tańcujesz niby sama Terpsychora.

Nie miałam pojęcia, kim jest czy była ta Terpsychora, ale zrozumiałam, że to komplement.

— Waćpan też nader kształtownie...

— Waćpanna nadto łaskawa. Możnali wiedzieć, z jakiego Olimpu w te progi zstąpiłaś?

— Waćpan mojej prostoty nie wyśmiewaj.

— Nawet bym i nie śmiał tak czynić. Rzekła mi panna Anusia, żeś waćpanna krewną gospodarza i już prawie pana Stanisława narzeczona. Mogę związków tak fortunnych winszować?

Wiedziałam, że powinnam się zarumienić, zachichotać i spuścić oczy, ale wcale tak nie zrobiłam. Spojrzałam prosto w twarz swojego kawalera i powiedziałam:

— Waćpan te związki za fortunne uważasz?

Jakby się zdziwił, ale nic nie mówił.

— Jeszcze to na wodzie pisane, wiatr dmuchnie i wszystko popłynie — powiedziałam podskakując z hukiem obcasów. — Tedy nie mówmy o tym więcej.

Po tańcu wróciłam pod ścianę. Dorota patrzyła na mnie z zazdrością, tutejsza matka chyba z aprobatą — widocznie tym razem wszystko było jak należy. Zauważyłam, że mój tancerz rozprawia żywo z jedną z kuzynek. Spojrzała w moją stronę. Wypytywał o mnie? No, nieźle, wcale nieźle, ale to dopiero początek. Zobaczymy, co będzie dalej.

A dalej było jak w bajce. Tańczyłam zapominając o szpetnej sukni i tupiących obcasach, śmiałam się, mówiłam jakieś głupstwa, mrugałam rzęsami — podczas gdy Dorota siała rutkę pod ścianą. Kawaler prawił mi komplementy, wystrojone dziewczyny zawistnie szeptały po kątach.

— Gdybym jako Parys sąd miał czynić, waćpanna byś niechybnie złote jabłko dostała.

— Oczy waćpanny jako dwie pochodnie płonące pożogę wzniecają.

— Waćpanna tańcujesz tak foremnie, jakbyś na królewskim dworze tańcować się uczyła.

Wiedziałam, że nieźle tańczę, ale żeby aż tak...

W przerwie między tańcami panny skupiły się w kącie, śmiały i rozprawiały głośno, kawalerowie zaczęli się posuwać w tamtą stronę. Potem brzęknęły struny, a kuzynka Marianna zawołała z podejrzaną słodyczą w naszą stronę:

— Pozwólcie do nas, jejmościanki. Anusia będzie śpiewać.

Palce Anusi błądziły po strunach leżącego na jej kolanach instrumentu podobnego trochę do gitary. Po kunsztownej przygrywce zanuciła wątłym sopranikiem:

Miesiąc roztoczył promień różany,
u mnie opuszcza mój ukochany.
Zostań na godzinę, powiedz mi przyczyną,
czemu odchodzisz biedn dziewczynę?
Blisko północy, już słychać dzwony,
mnie rękę daje mój ulubiony.

Potrwaj, proszą, mało, jeszcze nie świtało,
pójdziesz, gdzieć będzie się podobało...

„Irena Santor to ty nie jesteś" – myślałam sobie, słuchając tego pomiaukiwania. Kawaler z zabójczym wąsikiem (ten sam. który obtańcowywał przez cały czas Anusię), z kosztowną bronią przy boku, zapytał, gdy przebrzmiały ostatnie słowa:

– Zezwolisz, waćpanna?

Z ukłonem przejął instrument i zaśpiewał wcale składnie:

– Haniebnie zranion dla twojej gładkości,
ach, żałosny umieram od rany miłości.
Nikt mego bólu ukoić nie może,
aż mnie śliczna twarz twoja swą łaską wspomoże.

Potem znów zabrzdąkał w struny i nagle rozkwilił się na zupełnie inną nutę, słodką i trochę podobną do kołysanki:

– Kryją się gwiazdy, nocne ćmy zachodzą,
które ze sobą świt rumiany wodzą,
księżyc skrył światłości swoje.
Dobranoc, serce moje.

– Ach, ach – szeptały panny rumieniąc się i zerkając ku kawalerowi z wąsikiem. – Ach, ach, jak pan Prot pięknie nuty wywodzi, aż po sercu miodem kapie.

A tu pan Prot raźniej uderzył w struny i dziarsko wywiódł na taneczną modłę:

– Trudna rada, Zosieńko moja,
zniewoliła mnie śliczna twarz twoja,
służkę pokornego, tobie życzliwego
Już cię proszę, weź mnie za swojego...

– Zaśpiewaj, waćpan, jeszcze co niebądź – proszono go ze wszystkich stron, ale on, kłaniając się, oddał ową gitarę czy mandolinę z powrotem Anusi.

— Jeno śpiew panny Anny dla mnie cenę ma. Jakbym anioła śpiewającego słyszał. W godniejsze ręce oddaję.

Niby namyślając się, kogo poprosić o śpiewanie, Anusia rozejrzała się dookoła i nagle zwróciła się do mnie: — A kuzynka Małgosia nie ucieszy nas swoim śpiewem? Takie talenta udatne, bo to i tanecznica zawołana, i pewno śpiewaczka syreny swoim pieniem przewyższająca. Radzi usłyszymy.

— Ja... — zająknęłam się w panice.

Co mogłabym im zaśpiewać? „Małgośka, mówią mi", „Na sianeczku, sianie", „Patataj"? W ogóle ze śpiewaniem u mnie nie za bardzo. W naszej klasie niektórzy mają istnego fioła na punkcie różnych zespołów czy piosenkarzy, ja jakoś nie. Co zaś do występów wokalnych, nigdy nie miałam pretensji do tego rodzaju kariery. Ta Anusia jest złośliwa i głupia, pewno teraz myśli, że zrobiła mnie w łaciatego kucyka, zaraz powie do tych swoich przyjaciółek (po francusku oczywiście), że wylazła ze mnie parafiańszczyzna czy jak to tam się nazywa. No i dobrze. A śpiewać nie będę, ani mi się śni.

— Małgosia na nas niełaskawa?

— Boję się urazić uszy tak zacnej kompanii — oświadczyłam czerwieniąc się nie z „kontuzji", jakby ktoś mógł przypuszczać, tylko ze złości. Strasznie nie lubię, kiedy mnie robią na szmaty.

— Ja chętnie siostrzyczkę wyręczę — Dorota uśmiechnęła się przepraszająco i sięgnęła po instrument.

— W niedzielę rano słoneczko wschodzi,
śliczna panienka w pole wychodzi„
miłego wyglądając,
z radością go czekając,
rada by go ujrzała.

Już dobrze znaczne moje ścieżeczki,
gdzie udeptały moje nóżeczki,
po trawce, po rosistej,
po górze rozłożystej,
skąd płyną piękne zdroje...

Nawet nie przypuszczałam, że Dorota tak dobrze śpiewa. Ona, ona chyba mogłaby śpiewać w prawdziwym zespole albo w telewizji. Piosenka jak piosenka, niebrzydka, ale głos Doroty to było coś! Te wystrojone gęsi jeszcze się podśmiewały przy pierwszych akordach, później zamilkły i słuchały, niemądrze rozdziawiwszy usta. Zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

Nikt już nie śpiewał po Dorocie, zresztą wrócili grajkowie i zadudlili na swoich piszczałkach, zahuczeli bębnem, zabeczeli basetlą i znowu zaczęły się tańce.

Gdy tylko zagrała kapela, rzucił się ku mnie ów przystrojony z cudzoziemska kawaler i znowu tańcowałam przytupując gromko obcasami i przydeptując od czasu do czasu obrąbek długachnej sukni. W pewnej chwili ułowiłam strzęp półgłośnej rozmowy:

— Powiadają, że za nią nie mniej jak sto tysięcy czerwonych złotych weźmie.

— Nie bajki to?

— Ale! Starego wróbla nie weźmiesz na plewy.

— Już deklarował?

— Mówią, że już.

— Czemu swojego nie pilnuje? Jeszcze jaki młody wiano mu sprzed nosa zdmuchnie.

Tak plotkowały kobiety usadzone długim rzędem pod ścianą. Odhołubcowaliśmy od tych szeptów i uważnych spojrzeń. One wszystkie, nie wyłączając tutejszej matki, miały taki wyraz oczu jak ryś czający się na zdobycz. To wcale nie'było przyjemne, głupio czuć się bezustannie obserwowaną. Ale im nic innego nie zostawało poza tym patrzeniem, bo nie tańczyły w ogóle i chyba się po prostu strasznie nudziły.

— Waćpannie mruczno czy to jeno z utrudzenia?

— W drodze zbłądziwszy, byle jakim noclegiem musiałyśmy się kontentować — uśmiechnęłam się do kawalera i dodałam: — W południe tu zjechałyśmy i nie było kiedy wywczasu zażyć, bo do grzecznej kompanii zaraz proszono.

— Już w strapieniu byłem, że waćpannę swoją personą znudziłem, boś pewno waćpanna do cale wyższego poloru wzwyczajona.

– Waćpan nadtoś skromny.

No, i ten zakochał się ani chybi we mnie, wystarczyło popatrzyć, jakie rzucał mi zabójcze spojrzenia w tańcu. Ściskał także mocno moje palce i od czasu do czasu wzdychał bardzo wymownie. A Jacek nigdy nie mógł zrozumieć, że chcę się z nim umówić! Stanowczo tutaj wszyscy zakochują się łatwiej i szybciej niż w naszej szkole.

– Waćpanna wszystkimi pięcioma ,,p" jesteś ozdobiona.

– Jakimi ,,p"? – zdziwiłam się, nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

– Nie wiadomo waćpannie, że prawdziwą płci białej ozdobą jest pięć „p", jaka to: pulchra, pia, pudica, prudens et pecuniata[90]?

Chyba tylko dytko wiedziało, co to może znaczyć. Wprawdzie jest takie imię Pulcheria, sama je widziałam w kalendarzu, ale wcale nie byłam od tego mądrzejsza. Zamrugałam rzęsami, uśmiechnęłam się najsłodziej, jak potrafiłam, i w porządku, kawaler westchnął niby miech kowalski i jeszcze wymowniej ścisnął moje palce, kiedy następna figura tańca nakazała mi podać mu dłoń.

Tutaj tańczyło się parami, ale panna musiała być odsunięta od tancerza na całą długość wyciągniętej ręki. W większości tańców panna odchodziła i wracała, dziewczyny ustawiały się szeregiem naprzeciwko kawalerów i ci kłaniali się w takt muzyki, poddzierając szablą lub szpadą poły żupanów i kaftanów, potem tancerka płynęła ku tancerzowi, okrążała go i teraz składali sobie wzajemny ukłon, wreszcie podawali sobie ręce i znów tańcowali wspólnie kilka taktów. To nie było zbyt trudne, trzeba tylko uważać, co robią inni, i można doskonale dać sobie radę; tym bardziej że wiele z tych figur widziałam w różnych filmach historycznych.

Od tamtej awantury z chłostą i po spotkaniu z dytkiem (jeśli dytko mi się nie przyśniło) dałam sobie samej słowo, że będę robiła to, co wszyscy tutaj, i jak dotąd udawało mi się doskonale. Właściwie zaczęłam się zupełnie dobrze czuć, zakochał się we mnie Joachimek, tańczyłam na balu, czekało mnie wiele

90 Pulchra... (łac.) – piękna, pobożna, skromna, obyczajna i posażna.

przygód i przyjemności, i w ogóle. Gdyby nie ta robota w domu u tutejszej matki (ale i na to znalazłam sposób, robiłam wrażenie kogoś ogromnie zajętego, a tak naprawdę pracowałam najmniej i najwolniej, jak tylko mogłam, kiedy tutejsza matka czy panna Franciszka nie stały mi nad głową, bo jeśli stały, przepadło, trzeba było przyłożyć się do pracy), no i gdyby nie ta okropna suknia i toporne chodaki... Zaraz, zaraz. Przecież ja jestem bogata, o ile dobrze zrozumiałam opowiadanie Doroty o nerwowym dziadku i złamanej psiej łapie. One są biedne, tutejsza matka, Klara i Dorota, ale ja nie. Więc kupię sobie taką suknię, jak będę chciała, i do tej sukni jedwabne pantofelki z błyszczącą klamrą, podobne do tych, które noszą kuzynki, Anusia i Marianna. I wtedy wszyscy zobaczą, że mam ich w nosie.

— Waćpanna myślami daleko gonisz, boć nie słyszysz cale, o czym prawię. Wolno wiedzieć, czyj konterfekt w myślach raczysz, waćpanna, oglądać?

— Waćpan mnie konfundujesz, sierotę ubogą.

— Nie jesteś chyba, waćpanna, srogością podobna Dianie, która na poczciwego Akteona z umysłu psy szczuła? Za to jeno, że — jej gładkością olśniony — w sercu miłowanie poczuł.

— Nie pojmuję, o czym waćpan rozprawiasz.

Naprawdę nie rozumiałam, oni tutaj mieli w głowie całą „Mitologię" Parandowskiego, kiedyś to przeglądałam, ale zaraz odłożyłam, strasznie dużo było tych bogów, w piątej klasie pani nam dyktowała coś o Zeusie i o górze Olimp, tylko zupełnie zapomniałam co. Diana Dianą, Akteon Akteonem, za to pojęłam coś innego. Ten kawaler w czarnym aksamicie i koronkach oświadczył mi się ze swoimi uczuciami. No, więc najpierw Joachimek, potem on, dziewczyny w naszej klasie popękają z zazdrości, kiedy im opowiem, jak to było, a przecież to nie koniec, tylko początek. I Jacek też pęknie z zazdrości, i będzie żałował, że się ze mną nie umówił. On najwyżej potrafił pociągnąć dziewczynę za włosy, nie wspominając już o tym, że kiedy jest zabawa, to zostawia koleżankę na samym środku sali i ucieka pod drzwi do chłopaków. Jakby go postawić przy Joachimku albo przy moim tancerzu, toby wyglądał jak

smarkacz.

Zziajana, spocona wracałam z Dorotą i z tutejszą matką do naszego przegrzanego pokoju, spod betów wytknęła opuchniętą twarz Klara. Płakała?

— I jako przy taneczku a grzecznej kompanii wam było? — spytała schrypniętym głosem. — Wiele triumfowałyście?

— Ja wcale w taniec nie chodziłam, ale Małgoś tańcowała do siódmego potu. — Rozluźniwszy tasiemki Dorota wydostawała się z robronu. — Ja jeno śpiewałam.

— Jeszcze ciebie nie słyszeli — syknęła Klara i odwróciła się plecami na znak, że rozmowa skończona.

— Trzeba było z nami a panią matką iść, nie muchy w nosie okazywać. — Dziwne, biedna Dorota przesiedziała cały czas pod ścianą, a była rozradowana. — Ty, Klaruniu, chyba melankoliczka jesteś, nie co inne.

— Wolęć melankoliczką niż błaźnicą — odcięła się Klara nie zmieniając pozycji.

— Jejmościanki, jeno bez nieprzystojnych połajanek — zgromiła córki tutejsza matka. — Spać!

Jeszcze przez chwilę leżałam wsłuchana w cykającego gdzieś między belkami świerszcza. Właściwie szkoda, że w naszych blokach nie ma świerszczy. Przez serduszka okiennic wpadał zimny promień księżyca i kładł się skośną smugą na przeciwległej ścianie, w piecu delikatnie szumiało i trzaskało.

W uszach dzwoniła mi jeszcze muzyka, widziałam uśmiech mojego tancerza i czujne spojrzenia matron spod ściany. Miałam chyba największe powodzenie na tym balu, nawet nadęta, nastroszona wstążkami kuzynka Anusia nie tańczyła tyle, co ja. One, te wszystkie wystrojone panny, zazdrościły mi, wystarczyło spojrzeć na ich twarze. Ale to dopiero początek. Pozawracam w głowie kawalerom, wytańczę się za wszystkie czasy, zobaczę, co będzie dalej z Joachimkiem. A jakby tak mój tancerz i Joachimek pojedynkowali się o mnie? Zaraz... czy są już pojedynki? Bo pamiętam, że Puszkin zginął w pojedynku, ale Puszkin żył dużo później i w Rosji. Aha, pan Michał pojedynkował się z Bohunem...

WAĆPANNA MYŚLAMI DALEKO GONISZ...
WAĆPAN MNIE KONFUNDUJESZ, SIEROTĘ UBOGĄ...

O pannę? Dowiem się, jak z tym...

Z myślą o pojedynku przymykam oczy, zasypiam w świerszczowej piosence.

— Zlituj się nade mną, zlituj się nad sierotami — słyszę poprzez sen. Nie jest pewna, czy słyszę to rzeczywiście, czy tylko to śnię. Z trudem rozlepiam powieki.

W bladym księżycowym świetle klęczy tutejsza matka, rogaty czepiec pochyla się coraz niżej ku podłodze. Pewna, że śpimy głęboko, modli się półgłosem:

— Ciężki los panieński, ciężkie ubóstwo, a oneć dobre są córki i fortunniejszej doli warte, więc jeśli je za moją płochość i niedostatek karzesz, tedy mnie samą karaj, a od nich swój gniew odejmij. — W głosie tutejszej matki było tyle prośby i taki smutek, że przez moment poczułam się wzruszona. — Jam przeciwko rodzicielskiej woli oponowała, jam za sercem szła, nie za posłuszeństwem przyrodzonym, ale one niczemu niewinne...

Jej głos szemrał i szemrał w ciepłym półmroku, aż znów poczułam senność. Co mnie właściwie obchodzą żale tutejszej matki? Obróciłam się na drugi bok i wróciłam do swojego snu pełnego muzyki, tupania obcasów i szelestu sukien po wzorzystych posadzkach. Ale znowu przebudził mnie czyjś szept.

— O nas się nie frasujcie — mówiła cichutko Klara siedząc na łożu tutejszej matki i pochylając się ku niej. — Jam swojej doli nie krzywa, chcecie — do klasztoru pójdę, a chcecie, pani matko, przy was ostanę, jako będzie wasza wola. Czasem z rankoru, z kolery, ciężka jestem, czasem, bywa, Dorotce albo i Małgosi w czym zajrzę[91], ale i to mi wiadomo, że lata moje już przeszły...

— Mnie przez to najbardziej serce boli, że dumam, jako wy całe odium[92] na mnie składacie i racja wasza jest, bom przez płochość was schedy pozbawiła.

— Nigdy nie śmiałabym nawet takim myśleniem głowy psować, pani matko.

---

91 Zajrzeć — zazdrościć.

92 Odium (łac.) — nienawiść.

– Dobre dziecko z ciebie – westchnęło w mroku. – Może i próżno serce gryzę a oczy wypłakuję. Jeno, żeby Małgorzatka...

Nastawiłam uszu, to było znacznie ciekawsze.

– Będzie, co ma być – wtrąciła w milczenie Klara. – Ona może i doczeka fortunnej odmiany, chociaż...

Nie dokończyła, ale domyśliłam się, że chciała powiedzieć coś nieżyczliwego na mój temat. Klara nie bardzo mnie lubiła, o nie, i ja jej także nie lubiłam.

– O Małgosinej chorości myślisz, Klaruniu?

– Ano.

– Baczysz, że ona już od rzeczy nie gada? Mówił Mikołaj, nim precz poszedł, że to słabość przemijająca, która panienkom się trafia, tak i za Bożym przyzwoleniem słabość minęła, i Małgosia cale inny, stateczniejszy umysł okazywać poczyna. Ja i na mszę w jej intencji dawałam, by wreszcie sprawy z panem Stanisławem szczęśliwego doczekać końca.

– Dobrej nocy, pani matko.

– Dobrej nocy, Klaruniu. Poczciwe masz serce i współczujące.

Chyba się pocałowały, potem Klara bosymi stopami przebiegła do swojego posłania, skrzypnęły deski. Znowu mogłam wrócić do moich snów.

Śniadałyśmy w specjalnej sali jadalnej, żadnego tam pojadania na rogu stołu w czeladnej, jak bywało u tutejszej matki, żadnych znoszonych kiecek i jubek podszywanych barankiem, tutaj jadło się śniadanie nieprzyzwoicie późno i zasiadało do niego w kompletnej, paradnej odzieży. U szczytu stołu prezydiowała wujenka w kornecie[93] ozdobionym wstążkami, mówiła sznurując usta, tak cedząc słowa, że miało się po prostu ochotę powiedzieć jej, aby się trochę pośpieszyła. Wujenka miała na imię Zofia i jak nietrudno było zauważyć, poświęcała wiele trudu na wbijanie nam do głowy, że jesteśmy tylko ubogimi krewnymi, które powinny znać swoje miejsce. Nam, to znaczy – tutejszej matce, Klarze, Dorocie i wreszcie mnie, Małgosi. Po jej prawicy zasiadał kuzyn Jakub, który niedawno powrócił z zagranicznego wojażu, raczej milczący, poskubujący z namysłem górną wargę, gdzie powinny były

93Kornet – czepiec.

rosnąć wąsy, ale tymczasem nie rosło nic. Obok kuzyna Jakuba siadywał jego preceptor[94], zażywny i mowny ksiądz, który jadł za dwóch, a rozprawiał za siebie oraz za małomównego wychbwanka. Poniżej sadzano tutejszą matkę (była bądź co bądź rodzoną siostrą wuja Kalasantego), potem porządkiem: kuzynki, Anusia i Marianna, a wreszcie my wśród rezydentów i przypadkowych gości pośledniego znaczenia. To się nazywało siedzieć na szarym końcu. Zasadniczo obowiązywało milczenie, co nie dotyczyło wujenki Zofii i gadatliwego wychowawcy Jakuba. Wuj Kalasanty, nie wiem dlaczego, nigdy nie pojawiał się na śniadaniach, ale to nie ma znaczenia.

— Imaginuj sobie, waćpani dobrodziejka, że na tej insuli[95] wielce starożytny jest kościół, w którym syn waćpani dobrodziejki i ja niegodnymi usty całowaliśmy sztuczkę ciała samego świętego Jakuba apostoła — mówił księżulo, dokładając sobie szynki. — Chociaż z drogi nam było, zboczyliśmy, by o błogosławieństwo patrona prosić.

— Wielkie, jak mniemam, pożytki dla duszy z takiego wojażu wynikają, a i umysł cale polerowniejszy się staje z cudzych krajów znajomości — cedziła powoli wujenka. — Cała młodzież z pierwszych domów wojażuje, przeto i dla Jakuba wydało się pożytecznym...

— Jegomość pan Jakub wielce sobie ceni rodziców dobrodziejów starania około jego edukacji — zapewnił preceptor w imieniu milczącego kuzyna.

— Jeszcze by nie cenił! Kiedym spisane ekspensa zoczyła, co je ojciec dobrodziej przysyłał, ledwom własnym oczom uwierzyła. Za stłuczony talerzyk maluśki groszy dwanaście, toż to rozbój!

— Tak waćpani dobrodziejka powiada, a ja przydam, że dla godności familii pana Jakuba mniej płacić nie uchodziło, boby nas za lada jakich podróżnych brali, co to nad każdym groszem się trzęsą.

— Toż i ja pojmuję.

Tak mniej więcej rozmawiało się przy tych śniadaniach. O ile

94 Preceptor — nauczycie], wychowawca.

95 Insula (łac.) — wyspa.

dobrze zrozumiałam, kuzyn Jakub był we Włoszech i w Niemczech. Wujenka wzdychając pytała:

— A białogłowy?

— Kto sukienkę duchowną nosi, temu w onej materii wypowiadać się niesporo. Nie baczyłem.

— Ja przecie o mody pytam. Nie baczył ojciec, czy czepce noszą takie jak nasze?

— Czepce baczyłem. Niższe jakby i wstęgi jeno z tyłu się znachodzą. A wenecjańskie białogłowy oblicza maską zasłaniają, kiedy im mus między pospólstwo iść. Nie poznasz — młoda czy stara, szpetna czy piękna, wszystko maszkara kryje, jeno oczy widać. I przez te zakrycia nader zuchwale sobie poczynają, bywa, ze dama do obcego kawalera zagada, bo przecież nikt nie wie, kto ona. W Neapolu znowu bardziej na hiszpańską modłę się noszą i lico malują na biało i rumiano. A, przepomniałem! W Wenecji mieście każda dama ma swojego galanta, który jej służy i pieska za białogłową nosi, bo tam się w pieskach maluśkich bardzo kochają i każdej mus takiego mieć. Bardzo są pocieszne owe psiny, całe we wstążki ubrane. I w pierwszych domach rano się czekoladę pija, co już waćpani dobrodziejce mojej mówiłem, napój z zamorskich Indii przywieziony, albo i kaffę, która rozum bystrzejszym czyni. Owych próbowaliśmy, pan Jakub i ja, nic osobliwszego w nich nie znajdując.

— Czekolada jest dobra — odezwał się pierwszy (i jak się później okazało, ostatni) raz małomówny kuzyn Jakub.

— Skąd by owej czekolady albo i kaffy dostać? — zamyśliła się wujenka. — Skoro w pierwszych domach podają...

— Może w Warszawie kupcy trzymają. — Trzecią porcję szynki preceptor suto posmarował chrzanem i zaczął z apetytem spożywać.

My milczałyśmy jak trusie. Po śniadaniu wracałyśmy do siebie. Tutejsza matka wzdychając szykowała się do decydującej rozmowy z wujem Kalasantym, ale równie łatwo można spotkać w alkierzu białego jelenia, jak dopaść wuja Kalasantego. W każdym razie tutejszej matce nie udawało się to zupełnie. Wuj albo wyjechał, albo spał, albo był bardzo zajęty, pisał list, rozmawiał z kimś ważnym, nie miał zupełnie

czasu dla siostry. To nie znaczyło wcale, że nie widywali się codziennie, ale wuj machał lekceważąco ręką. – Pogadamy, pogadamy, nie pali się, pani siostro.

Tutejsza matka czekała na to pogadanie po każdym śniadaniu. Zasiadała wyprostowana i godna, z rękami złożonymi na podołku, i wpatrywała się w drzwi, zza których powinien był się ukazać wysłannik wuja Kalasantego.

My, ja i, Dorota, zajmowałyśmy się zgoła czymś innym. Z pomocą hożej Kasi szczękałyśmy nożycami i migałyśmy igłą. Nasze przedpotopowe suknie trochę się umodniły w wyniku tych starań. Tu się coś odpruło, ówdzie przyszyło, zafastrygowało, zawinęło i jakoś szło. Klara wykrzywiała się boleściwie, patrząc na nasze poczynania, tutejsza matka nie mówiła nic.

Pamiętam, jakie duże wydawały mi się pokoje w dworku tutejszej matki, jakie ciężkie i bogate meble, teraz uśmiechałam się tylko z politowaniem. Naprawdę były to niezdarne, kulfoniaste meblasy sklecone byle jak przez domorosłego stolarza. A te wszystkie portrety w obłażących ramach, te bohomazy! Pokoje – chociaż obszerne w porównaniu z naszą warszawską kawalerką – ani się umywały do przestronnych sal w dworze wuja Kalasantego. Tutaj podobało mi się o wiele bardziej, także choćby dlatego, że nikt nie zaganiał do roboty, kuzynki, Anusia i Marynka, spędzały czas na muzykowaniu albo przy gotowalni, rozmyślały o kawalerach, paplały po francusku i nawet czytały, wprawdzie wyłącznie po francusku, ale czytały.

Szkoda, że nie zjawiłam się od razu tutaj. Jeżeli dytko musiało mnie gdzieś przenieść, to mogło zaraz na dwór wuja Kalasantego.

Bo ja się tu rzeczywiście doskonale bawiłam. Codziennie albo były tańce i goście, albo sadowiliśmy się w saniach i przy pochodniach zajeżdżaliśmy do sąsiadów. Ze śpiewem, trzaskaniem batów przemykaliśmy przez ośnieżone pola i milczące lasy, ustrojeni z węgierska pachołkowie galopowali z boku, podnosząc wysoko pochodnie, iskry z syczeniem gasły w mroźnym powietrzu, parskały wypoczęte konie. Klara wymawiała się od wyjazdów i schodzenia na tańce. Nie i nie. Zostawiałyśmy ją w przegrzanym alkierzu, niech sobie siedzi,

jej wola.

Mój kawaler, pan Władysław, szeptał mi w tańcu coraz gorętsze wyznania. Ale tańcowałam także z innymi, sam pan Prot raczył mnie poprowadzić do gonionego.

Najbardziej podobał mi się taki taniec, gdy gaszono świece w pająkach, a każda tancerka dostawała zapaloną świeczkę, to naprawdę było bardzo piękne i dziewczyny ładnie wyglądały, kiedy ich twarze oświetlał wątły płomyczek.

Jeżeli jakiegoś dnia nie tańczyłyśmy i nie wyjeżdżałyśmy, wieczorem zbierało się kilka osób i bawiliśmy się w różne gry, śpiewaliśmy, rozwiązywaliśmy zagadki. W tych zagadkach byłam dobra, znałam je wszystkie. Pod jakim drzewem siedzi zając w deszcz? Nie je, nie pije, a chodzi i bije — co to jest? Jak zrobić koło, z którego nigdy nie wyjdziesz? Przyjechali młodzi, starzy i zabrali gospodarzy, a mieszkanie oknem uciekło — co to jest? Niech waćpanna nago stanie...

Ta ostatnia zagadka wcale nie była taka, jak kto mógł sobie pomyśleć. To bardzo stary kawał. Trzeba napisać kredą na podłodze „go" i stanąć na tym napisie. Ja to znałam z jakiegoś harcerskiego ogniska i, rzecz jasna, nie dałam się nabrać.

Ale nigdy nie bawiliśmy się sami, zawsze pod ścianą, w milczeniu, siedziała wujenka, moja tutejsza matka albo matki przyjaciółek Anusi i Marianny. Nie do pomyślenia było, żeby którakolwiek z dziewcząt próbowała rozmawiać z chłopakiem na osobności, to było możliwe jedynie podczas tańca. Dudliła kapela, tupały obcasy, nie można było usłyszeć, co szepnął w tańcu kawaler pannie i co panna odpowiedziała kawalerowi. Na próżno strażniczki pod ścianami nadstawiały uszu.

W Dorocie chyba zabujał się małomówny kuzynek Jakub. Siadał naprzeciwko niej i wbijał w biedną Dorotę baranie spojrzenie, policzki mojej tutejszej siostry czerwieniały jak buraki ćwikłowe, spuszczała oczy i przestawała się śmiać.

— Patrzy i patrzy jak cielę na malowane wrota — denerwowała się wieczorami. — Słowa nie powie, jeno się gapi.

Kuzynek Jakub, prawdę powiedziawszy, nie odznaczał się zbyt lotną inteligencją, ale był bogaty i przyjaciółki Anusi i Marianny wzdychały śledząc jego spojrzenia. Nie miałyby nic

przeciwko temu, żeby się tak gapił na nie.

Nie wiem, co naprawdę myślała o kuzynku Jakubie Dorota, ale tutejsza matka, odkrywszy rzecz, była wprost przerażona.

— Jejmościanka Dorota Jakubkowi ma z oczu schodzić i na żadne konfidencje nie pozwalać. Ja przez jejmościanki Doroty amory wcale nie myślę z familią zrywać, a bez tego by się nie obyło, bo już narzeczona dla Jakubka wybrana i wszystko postanowione. Już się dosyć nacierpiałam, żeby nowej biedy szukać.

— Nijakich amorów nie ma — tłumaczyła się prawie tak samo przerażona Dorota. — Słowam do niego nie rzekła.

— Tedy chorą udaj — rozkazała tutejsza matka tonem nie znoszącym sprzeciwu. — I do kompanii nie chodź, nawet kiedy by prosili.

Ale i wujenka Zofia zorientowała się w Jakubkowych amorach i kawaler został gdzieś wyprawiony, razem ze swoim rozmownym nauczycielem. Podobno do Warszawy. Do Warszawy! Gdybym mogła się dowiedzieć, jak pojechać do Warszawy... No i co? Pojechałabym w tej samej chwili?

Eee, wcale nie. Teraz wcale nie. Ostatecznie, co było w Warszawie? Szkoła, lekcje angielskiego, przyjaźń z Jolką, telewizja, raz na dwa tygodnie kino, adapter z płytami, Jacek, takie sobie najzwyczajniejsze rzeczy. Tutaj to co innego. Tutaj są prawdziwe bale, nie żadne potańcówki w szkole, prawdziwe kuligi, a nie zjeżdżanie na sankach z górki w Lasku Bielańskim, są kawalerowie, a nie chłopcy z klasy, i są komplementy, takie jak w książkach albo w filmach, i ja w tej swojej tabinowej sukni przypominam trochę panią de Monsoreau. Już się przyzwyczaiłam do niektórych rzeczy. Ostatecznie oni żyją i jakoś im nie przeszkadza to czy tamto. Niech się zresztą dytko martwi, co będzie ze zdanj.em do szkoły średniej i ze świadectwem. Nie zjawiłam się tutaj ze swojej własnej woli i naprawdę nie można ode mnie wymagać, żebym się martwiła od rana do nocy.

No, i nie martwiłam się wcale. Suszyłam zęby do zwierciadła (podług wyrażenia Klary), uśmiechałam się do kawalerów, cieszyłam się, widząc skwaśniałe miny wujecznych sióstr,

tańczyłam do siódmego potu (tak, dwa razy podczas tańców musiałam wracać do naszego alkierza, by z pomocą hożej Kasi zmieniać koszulę, a tutaj to uchodziło za dowód wielkiego powodzenia!), coraz bardziej podobał mi się rosły piękniś, pan Władysław, i po trochu zapominałam o Joachimku. Dziwne, ale moja tutejsza matka jakoś nie zauważyła zbyt zażyłej konfidencji z panem Władysławem, może zresztą to czatowanie na rozmowę z wujem Kalasantym przyćmiło bystrość jej wzroku. W ogóle poza domem tutejsza matka zrobiła się jakby lękliwa, niepewna siebie i spłoszona. Korzystałam więc z jej niepewności, ile wlezie. Zawsze umiałam się tak urządzić, żeby spotkać się z panem Władysławem na osobności, a to w ciemnawym korytarzu przylegającym do tanecznej sali, a to w obszernej sieni, a to w kącie za rozłożystym piecem.

Ktoś może pomyśleć, że się zakochałam naprawdę i dlatego... Ale to nie było wcale tak. Bardzo mi się podobało to, co mi mówił, to, że porównywał mnie do starożytnych bogiń, i to, że całował mnie po rękach i klękał przede mną. A poza tym byłam bardzo ciekawa, co będzie dalej, bo przecież coś musiało się wydarzyć. We wszystkich filmach, które widziałam, coś się zdarzało. Porwanie? Pojedynek? Zazdrosny rywal? Jakaś intryga?

— Waćpanna Małgorzata dworuje sobie ze mnie. Uśmiech miodowy na liczku anielskim, a serce w waćpannie twarde jako skała.

— O czym, waćpan, prawisz — udawałam, że nic nie rozumiem.

— O tym, że mi waćpanna jednym nawet słowem nie wspomniała, czy strzała chłopięcia małego także i jej serce zraniła?

— Konfundujesz mnie waćpan.

— Rzeknij mi choć słowo.

— Ja... — trochę się spłoszyłam tym żądaniem.

Co ja mam właściwie powiedzieć? Prawdę? Że jestem tutaj tymczasowo i postanowiłam spędzić ten czas jak najprzyjemniej? Jeszcze dwa, trzy tygodnie temu powiedziałabym prawdę, ale teraz?

Teraz mogłam mu powiedzieć, że wcale mi się nie śpieszy do

zamęścia ani z nim, ani z nikim innym, zebrać fałdy spódnicy, dygnąć i pójść sobie, ale w ten sposób odstręczyłabym kawalera i znowu musiałabym siedzieć w kącie balowej sali, za czepcem tutejszej matki. Anusia zaś i Marianna mogłyby się uśmiechać drwiąco: „proszę, proszę, kawaler zostawił jejmościankę na lodzie, ma na co zasłużyła, ta zadzierająca nosa kuzynka Małgorzata, która całkiem swego chudopacholskiego stanu nie pojmuje". A figa!

— Waćpan tak nagle — wykręciłam się — że od impetyczności waćpanowej cale myśli zebrać nie mogę, tedy później responsu ode mnie czekać potrzeba.

Mijały dni gwarnego karnawału lub — jak kto woli — mięsopustu.

— Nieraz się uśmieję, kiedy dziewkom z pospólstwa kłodę pod kościołem włóczyć każą — powiedziała Anusia pozornie bez żadnego związku, ale spod oka popatrując na Dorotę.

— Bywa, że i przed urodzonymi garnek z żurem tłuką albo zdradą się podkradłszy maszkarę czy jaką kukłę z tyłu przypinają[96]. — Dorota też nie mówiła bezpośrednio do Anusi, tylko w przestrzeń.

— Może w stronie kuzynki tak się dzieje.

— Pewno nie tylko.

— A kuzynce się trafiło?

Na policzki Doroty wybił się rumieniec.

— Nie.

— Tedy życzę, by się nie trafiło. Nieprzystojna to rzecz, kiedy panna zbyt długo w wianeczku chodzi, chyba że się do klasztoru ofiarowała.

Nawet miałam ochotę pomóc Dorocie i powiedzieć Anusi coś do słuchu, ale niezbyt dobrze rozumiałam, o czym mowa.

— Niektóre osoby zjadą i czekają, głowę molestując godniejszym... — ciągnęła dalej Anusia.

Rumieniec Doroty stawał się coraz ciemniejszy, nawet jej szyja w wycięciu sukni także poczerwieniała.

— Suponuję, że Anusia mnie na cel swoich pocisków wystawia

96 Istniejące aż do XIX w. zwyczaje ośmieszania dziewcząt, które nie zaręczyły się w karnawale.

— odezwała się Dorota bardzo cicho i niewyraźnie, jakby mówienie sprawiało jej dużą trudność. — Anusia w swoim jest domu i łatwo jej dyshonor mi czynić, bom tu jeno gościem, a jak widać, me czekanym…

Ton Doroty był tego rodzaju, że Anusia trochę się przeraziła.

— Kuzynka trefnowanie[97] zaraz do serca przypuszcza, a jam nie z umysłu tak rzekła, jeno dla śmiechu.

Potem już nie było więcej mowy o tym, kto zjechał i siedzi, a kto jest tą godniejszą personą, wszystko potoczyło się swoim torem.

Wuj Kalasanty trzymał mnóstwo psów. Niektóre z tych psów przebywały na pokojach, przesypiając długie godziny przed nagrzanym, pomrukującym piecem, inne (tych było najwięcej) przebywały w specjalnym budynku, w psiarni, gdzie je karmiono, czesano, pojono i codziennie wyprowadzano na spacer. Nie raz i nie dwa budziło mnie wczesnym świtem szczekanie, to jezdni szczwacze[98] wyprowadzali psy, gończe szły pokornie za koniem. Kiedy którykolwiek z psów starał się odłączyć, dostawał bezlitosne cięgi batem, składającym się z krótkiej plecionej rękojeści i kilku rzemieni… Te psy szczekały jakby chórami, jedne cienko, inne grubo, można by przypuszczać, że ktoś specjalnie układał takie psie orkiestry.

— Jutro, komu wola, całą kompanią zapraszam na łowy. — Wuj Kalasanty wyjątkowo zjawił się podczas śniadania.

— A my? — Anusia i Marianna wionęły ze swoich miejsc i przypadły do wuja. — A my, ojcze dobrodzieju?

— Łowy nie dziewczyńska sprawa — burknął wuj, ale nie musiały zbyt długo prosić, a zgodził się. — Tylko żeby mi żadnych pisków i śmiechów nie wyprawiać. Mores ma być.

— Panie bracie, dobrodzieju mój osobliwszy — porwała się ku niemu tutejsza matka. — Widząc, że brat dobrodziej wolniejszy, o rozmowę prosić bym chciała.

— A siostra ciągle swoje! I na rozmowę czas przyjdzie. Dzisiejszego dnia sprawy de publicis mnie zaprzątają, alem już siostrze rzekł, że pierwszy wolny mój czas jej będzie poświęcony.

97 Trefnowanie — żartowanie.

98 Szczwacz — człowiek biorący udział w nagonce podczas polowania.

— My braty kamieniem u szyi wisimy, a tam na azard gospodarstwo puszczone, oka mojego brak...

— Niech sobie siostra nie krzywduje, bo i pewno, że nam gościa miłego, żal stradać. — Tu wuj Kalasanty spojrzał na nas i dodał: — Ot, jutro jejmościanki łowów pokosztują, a gdybyś i siostra, młodsze lata wspomniawszy, ten zaszczyt mi uczyniła...

— Ani mowy. — Tutejsza matka rozłożyła szeroko ramiona w proteście. — Klarunia coś mi niemocna, przy niej ostanę.

Kiedy już byłyśmy same w pokoju dla nas przeznaczonym, tutejsza matka powiedziała:

— Choć wuj sam wam zaszczyt uczynił, do kompanii ze sobą prósząc, ja chciałabym, byście się przystojnie wymówiły i doma ostały ze mną i z Klarą. — Tu westchnęła i dodała: — Gorzka mi ta gościna nad pojęcie, bo jeno obietnicą a pięknym słówkiem karmią, czekając, aż precz odjadę, niczego nie wskórawszy.

Ponieważ nie odpowiedziałyśmy, rzekła jeszcze:

— Poniektóry duma, że jak dziewka w pląsach się wyskacze, na podjezdku pogoni, kuligiem przejedzie, owo już i łaska, owo już ukontentowanie. My tu nie dla zabaw i swawoli przyjechałyśmy, jeno przypomnieć o swoim prawie.

Ale ja jej mogłam nie słuchać. Po pierwsze dlatego, że tutaj nic nie mogła mi zrobić, najwyżej zacząć jojczenia i wymówki. Po drugie, nic mnie nie wzruszały jej sprawy. A po trzecie, miałam ogromną ochotę na tę nową, nie znaną mi jeszcze przyjemność.

— Ja myślę, że wujowi niewdzięczności okazywać nie należy — powiedziałam, jak tylko potrafiłam najsłodziej.

Nic nie rzekła, odwróciła się tylko i odeszła. Zrobiło mi się trochę łyso, ale nie za bardzo, dosyć się wycierpiałam od tutejszej matki, teraz jej pokażę, że i ja mam swoje zdanie. Na początku robiłam błąd za błędem dlatego, że nie rozumiałam, gdzie jestem i na czym to wszystko polega, ale teraz nie dam sobie dmuchać w kaszę. Będzie tak, jak ja chcę, i już.

—Małgoś...

—No?

—Ja nie pojadę. Szpetnie pani matce nieposłuszeństwo okazować.

— Nijakiego nieposłuszeństwa nie ma, boć nie zakazała, a jeno prosiła. — Phi, już wiedziałam, jak trzeba z nimi rozmawiać, po wierzchu grzecznie, ładnie, milutko, żeby się nie domyśliły, u w środku... w środku tylko ja wiedziałam, co się kryło. — Wujowi przecie do oczu nie powiem, że pani matka niekontenta. Mnie się widzi, trzeba nam na te łowy jechać?

— Może — zafrasowała się Dorota, nie była zupełnie pewna, czy mam rację, więc spytała: — A jako będzie, kiedy panią matkę obrazimy?

— E, nie obrazimy.

— Małgoś...

— No?

— Czasem tak gadasz, jakbyś całkiem obca była.

— Imaginujesz, Dorotko.

Nie mam pojęcia, jak by się skończyła ta historia, może wreszcie nie pojechałabym, gdyby nie pojawienie się wujenki Zofii. Cedząc swoim zwyczajem słowa i przekrzywiając na bok głowę, oświadczyła:

— Pozwólcie, jejmościanki, bym wam co z sepetów wybrała, bo pewnikiem ochędóstwa do konnej jazdy w domu ostały, u nas tego dobra pełno, tak i poszukać jeno wam trzeba.

Na niechętny gest tutejszej matki wujenka wycedziła jeszcze wolniej niż zazwyczaj:

— Bratowa dobrodziejka dziewkom nie zakazuj, bo i w najpierwszych domach panny na łowy jeżdżą i w kawalkadach na włoski manier postrojone się ukazują. Jest i u nas kawalkator, któren podjezdki pod panieńskie siodło objeżdża, te jak baranki spokojne i wstęgą je można prowadzić.

— Moje dziewki nie z najpierwszego domu się prowadzą, jeno z pośledniejszego, o czym bratowa dobrodziejka raczysz wiedzieć sama, i żadnych im kawalkad a kurbetów[99] nie potrzeba — odpowiedziała wyraźnie i głośno tutejsza matka. Siedziała na wysoko napiętrzonych pościelach swojego łoża i patrzyła gniewnie na wujenkę Zofię. — Nam łaska niepotrzebna, jeno to, co nasze. .

Usta wujenki wykrzywiły się ni to w grymasie, ni to w uśmie-

99 Kurbety — harce, skoki.

chu.

— Bratowa wie dobrze, że jej sprawa wymaga czasu.

— Toż czekam.

— Humory okazując.

— To i skrzywić się nie wolno, kiedy od czekania nogi całkiem ścierpły?

— Bratowej i pana mężowe to sprawy, nie moje. Jam jeno pannom chciała przyodziewy darować. Więc jako będzie?

— Dziękujemy wujence dobrodziejce — zapiszczałam przysiadając w dygu.

Byłam z siebie bardzo dumna, teraz tutejsza matka nie może mi powiedzieć złego słowa, wyszło na moje!

Następnego ranka z bijącym sercem dosiadłam przeznaczonego dla mnie konia. Przyjrzałam się dobrze innym, uhum, jak najgłębiej usiąść na siodle, mocno oprzeć stopy na takiej specjalnej deszczułce, zgiąć.jedno kolano i można ruszać. Chyba ten koń będzie wiedział, co ma robić. Ostatecznie, jeżeli ten... jak się nazywa?... kawalkator uczy takiego konia, to koń sam powinien wiedzieć, co trzeba.

Miałam czapeczkę z rudego lisa, żupanik lamowany lisami, grubą wełnianą spódnicę i rękawice z pięcioma palcami, z ciemnej skóry. Niech się schowa Magda Zawadzka! Konia także dostałam przypadkiem pod kolor, złotego kasztana, z pięknie wyczesaną grzywą i ogonem.

Zagrały jakieś trąbki czy rożki, zaszczekały psy, zaparskały konie, z wysokich drzew przed wujowym dworem zerwały się niespiesznie wrony i odleciały pokrakując z oburzeniem.

Jednak Dorota nie pojechała. Miała ochotę i nie pojechała, może się zlękła, a może nie chciała zadzierać z tutejszą matką? W porządku, nie będę się zastanawiała nad humorami Doroty, tym bardziej że widzę pana Władysława, który na karym koniu uwija się na przedzie wśród psiego szczekania.

— Wio! — szarpię wodze, koń rusza.

To jest rzeczywiście inteligentny koń, inne konie stępa i on stępa, inne szybciej, to i on szybciej, ja muszę tylko uważać, żeby się nie zsunąć na ziemię. To nie jest wcale łatwe, ale jakoś mi się udaje, tylko dlaczego każda część ciała trzęsie się

oddzielnie? Ręce sobie, nogi podrygują sobie, głowa podskakuje wcale nie w takt, zęby szczękają o siebie zupełnie od rzeczy. Trudno, tak się widocznie jeździ konno. Aktorom w kinie i w telewizyjnych serialach szło trochę lepiej, ale przecież wiadomo, że w kinie robią różne triki albo podstawiają kaskadera. Grunt, że nie spadam.

— Rysią!

Ruszamy ostro, psy biegnące za pierwszymi końmi podnoszą dziwną wrzawę, trochę jak pisk, trochę jak wycie, trochę jak szczekanie.

— Huzia! Bierz!

Na białym śniegu kluczy widoczny wyraźnie lis, pędzimy z kopyta, ja także, chociaż wcale tego nie chcę. Wodze wypadają mi z ręki, wczepiam się dziesięcioma palcami w łęk siodła. Wiatr szumi wokół uszu. Grudki lodowatego śniegu uderzają w policzki. Nie widzę nic, pochłonięta tylko jedną myślą — nie Spaść, utrzymać się. Koń wyciąga się pode mną i jakby rozpłaszcza, sadzi ogromnymi susami naprzód. Gwizd wiatru i psie ujadanie zlewają się w jeden glos.

— Stój! Stój! — wrzeszczę rozpaczliwie, nie tyle już siedzę, ile pół wiszę na siodle, palcami Czepiam się końskiej grzywy, jeszcze moment, a zsunę się pod galopujące kopyta. — Stój!

Ale koniowi ani się śni słuchać moich krzyków, chrapiąc pędzi za innymi końmi, rży cienko i przenikliwie. Nie utrzymam się. Spadnę.

Kiedy już, już mam puścić zbawczą grzywę i runąć na śnieg, ktoś zajeżdża z boku i chwyta mego konia za uzdę. Świat wraca na swoje miejsce, jakoś podciągam się na siodło, trzęsą mi się dłonie w skórzanych rękawicach z odwijanym mankietem.

— Czemu waćpanna, koniowi wodze puszczając, zbytkować mu pozwalasz wedle jego woli?

— Nigdy nie jechałam konno. To znaczy raz, ale zaraz spadłam — ze zdumieniem słyszę swój głos, no tak, jestem daleko od domu, zdenerwowałam się i znowu... Ale tym razem poprawiam się błyskawicznie: — Jam nie amazonka, bom jeno na dziedzińcu konia zażywała. Wodze mi się wymknęły.

— Tedy uważaj, waćpanna. Łokcie, ot tak, do boków przy-

warte, a wodze w obu garściach dzierż, bo jedną nie wydolisz mocno zedrzeć, jakby potrzeba była. I naddawaj się, waćpanna, do końskiego kroku, inaczej na nic się strzęsiesz. Postura ma być prosta, ale swobodna, ot tak...

Po radach pana Władysława wszystko stało się jakieś łatwiejsze. Pokłusowaliśmy, bok w bok, ku psom i jezdnym znikającym w lesie w pogoni za lisem.

— Prawda to jest, że pan Stanisław za dwie niedziele zjedzie do pana stolnika intercyzę[100] spisywać?

Co to znowu jest ta intercyza?

— Nie wiem — odpowiedziałam na wszelki wypadek.

— Gadają, że na waćpannę klucz[101] mogilski idzie i jeszcze gotowizna. To mi panna Anusia mówiła.

— Nie wiem.

— Ja jeno dlatego pytam, żem w waćpannie rozmiłowany, tedy niedziwno, iż to, co się miłej persony tyczy, i we mnie samym najwyższy budzi interes. Kiedy ci nielubo o tym gadać, rzeknij, a słowa więcej nie powiem!

— A to czemu? Pytaj, waćpan, ile ochota.

— Po sercu ci pan Stanisław?

Aha, tu cię wiedli, jak mawiają tutejsza matka i panna Franciszka. Mam ochotę roześmiać się głośno. To strasznie śmieszne, że kawaler kluczy tak i siak.

— Panno Małgorzato!

— Słucham waćpana!

— Rzeknij choć słowo.

— Toć mnie rozprawiać o tych materiach nie przystoi.

Nagle dzieje się coś dziwnego, pan Władysław chwyta wodze mojego konia, zatrzymuje.

— Ja z siebie kpinkować nie pozwolę. Jeszcze waćpanna mnie nie znasz, ale ja nie z tych, których na piękne słówka łapią jak ptaszęta na lep. U mnie tak: wóz albo przewóz. Nim pan Stanisław pierścień da, waćpanna ze mną ślub weźmiesz. Jeśli nie, już ja temu panu Stanisławowi za skórę zalezę i o waćpannie

100 Intercyza — umowa przedślubna, ustalająca sprawy majątkowe przyszłych małżonków.

101 Klucz — majątek ziemski złożony z pewnej liczby wsi, folwarków.

szpetnie rozpowiem. Boś sama za mną spoglądała, co wszyscy spostrzegali, a jakem z uczciwym afektem się deklarował, tedy... pr,stój... Bo waćpanna majętnego wybiera. Tego nie będzie, pókim ja żyw!

Był tak blisko mnie, że oddech jego konia parzył mi twarz.

Chwycił mnie mocno za ramię.

— Tańcować, cukrowanych słówek szukać to dobrze, ale fortuna grzeczna czeka i parantela świetna! Waćpanna mniemasz, ze płazem jej lekkość puszczę! Jakże! Ze mną kpin nie ma, ja swoje rzekłem.

Początkowo strasznie się przelękłam, potem już nie, bo właściwie, czym on mi może grozić? Ja go się wcale nie boję. Mogę mu powiedzieć, że to mnie nie bawi i że wolę (co mi szkodzi skłamać?) pana Stanisława.

Nie mówię tego, bo jestem ciekawa, co wymyślił pan Władysław. On się ładnie gniewa, brwi zbiegają mu się na czole, oczy błyszczą, wargi wznoszą się nieco ku górze, odsłaniając białe zęby. Jest podobny do Olbrychskiego, który grał Azję, szkoda, że nie odzywa się gdzieś daleko to przeciągłe wilcze wycie, jak na filmie.

— Mów, waćpanna!

Gdyby to był Joachimek albo nawet Jacek z naszej klasy, tobym po prostu powiedziała: „daj mi spokój, odczep się", i byłby spokój. Zaraz, a gdyby tak zrobić, jak Krzysia w „Panu Wołodyjowskim"? Co mnie to kosztuje, mogę spróbować.

— Waćpan gniewny, a ja... — Zrobiłam minę aniołka i szepnęłam opuszczając powieki: — A ja waćpana...

Zapadła wielka cisza, podzwaniały tylko lekko ozdoby uprzęży, gdzieś daleko, zgranymi chórami, naszczekiwały goniące psy.

— Waćpanna mnie miłujesz?

W porządku, on to powiedział, nie ja. Zobaczymy, co teraz będzie.

W filmie w tym miejscu zawsze się całują, ale pan Władysław mnie wcale nie pocałował.

— Tedy mam słowo waćpanny — odezwał się niegłośno, później, już zwyczajnie, dodał: — Trzeba nam ze wszystkimi, bo

gadać poczną.

Uderzył mego wierzchowca rękawicą po karku.

— Ruszaj!

Właściwie nie bardzo wiem, co było dalej, chyba psy doszły tego lisa i rozszarpały. Byli tam też ludzie w kożuchach wywróconych wełną do góry albo w jakichś parcianych okryjbiedach, ci ludzie szli szeregiem przez białe pola, pohukując i terkocząc kołatkami. To właśnie ci ludzie wyganiali przed jezdnych zające, lisy i inne zwierzęta. Mieli złe, zdziczałe oczy, a może mi się tak tylko wydawało.

Wreszcie, kiedy nie czułam już kości od balansowania na chwiejnym końskim grzbiecie, kiedy przemarzłam do końca, kiedy zdrętwiały mi palce i stopy, kiedy dwa razy zaryłam głową w śnieg (koń zatrzymał się nie opodal i patrzył na mnie z wyraźną pogardą), kiedy zostały zadławione następne zające, lisy i nawet jeden dzik — polowanie było skończone.

Ufff, miałam na całe życie dosyć konnej jazdy. Nie tyle zsiadłam, ile spełzłam z siodła, i na uginających się nogach powędrowałam do gościnnych pokoi. Cały czas miałam wrażenie, że dalej jadę konno, to okropne wrażenie nie opuszczało mnie nawet wtedy, kiedy ciężko klapnęłam na łóżko.

— Małgoś!

— Słucham, pani matko.

— Jutro będę rozmawiała z wujem. A ot, pisanie od pana Stanisława umyślny przyniósł. Na Marcina nijakim sposobem zjechać nie mógł, bo na karbunkuł[102] chorzał kilka niedziel i ledwo śmierci uszedł.

— Mhm — odmruknęłam bez żadnego zainteresowania.

— Drugie pismo pan Stanisław do brata skierował, tedy tuszę, iż sprawa teraz szybko się potoczy. Pan brat mnie może zwodzić, ze Stanisławem zaś cale inna parada, tu sianem nie uda się wykręcić. Od dzisiaj żadnego wyskakiwania w taneczku, żadnego strzelania oczami do kawalerów, powaga ma być i statek, żeby ludzie czego Stanisławowi nie nagadali. Baczysz, Małgoś?

— Baczę, pani matko.

102 Karbunkuł — ropne zapalenie; rodzaj czyraka

JESZCZE WAĆPANNA
MNIE NIE ZNAŚZ, ALEM
JA NIE Z TYCH, KTÓRYCH
NA PIĘKNE SŁÓWKA ŁAPIĄ
JAK PTASZĘTA
NA LEP.

Coś tam jeszcze mówiła, wyraźnie podniecona i ucieszona, z kąta jak dwie duże, smutne sowy patrzyły Dorota i Klara. Ile razy mówiło się o panu Stanisławie, smutniały i stroszyły się. Dla tutejszej matki i dla nich pan Stanisław znaczy to samo, co wygranie miliona w toto-lotka albo znalezienie w piwnicy tajnej skrytki z tajemniczym skarbem. Dla mnie ten cały pan Stanisław nie znaczył nic. Jak to dobrze, że nabrałam pana Władysława, będzie pycha zabawa, kiedy przyjedzie ten staruszek ze skrzywioną szyją. Ale dla świętego spokoju udaję, że też się cieszę z przyjazdu pana Stanisława. Niech im będzie.

— Dorota, rzeknij mi coś — szepczę w ciemności.

Boli mnie nawet dotyk prześcieradła, jazda konna najwyraźniej nie jest moim hobby.

— Co?

— Kawalerowie mogą się pojedynkować o pannę?

— Małgoś, coś ty?!

— Nic, z ciekawości jeno pytam.

— Pewno, że mogą.

— Jako to czynią?

— Nie wiesz? Kawalerowie o byle co do szabel się porywają, już niejeden gardło dał, a co uszu, wąsów obcięto, nie prze- . liczysz. Powiadają, że ten twój tancerz, pan Władysław, jest sławny rębacz. Przez to i wojewody zaufany, na sejmikach głosy kaptuje. Nie gadał ci to?

— Nie.

— Wujenka by mu dom najchętniej wymówiła, ale się pana wojewodę obrazić boi, boć Władysław zawsze pańskiego ucha bliski. To zuchwały człek. Ty, Małgoś, od niego jak najdalej.

— Tyle mojej z nim konfidencji, co w tańcu — skłamałam.

— Tak i pani matka powiada, żebyś się teraz wytańczyła, nim pod małżeński czepiec pójdziesz. Mnie też pytała, czy nie baczyłam jakiego twego przyjacielstwa z Władysławem...

— I coś rzekła?

— Że nie baczyłam.

W porządku. Żeby już jak najprędzej zaczęło się to najciekawsze. Śpię tej nocy bardzo źle, rzucam się po pościeli, pojękuję, nie da się ukryć — od jazdy konnej jestem obita jak przej-

rzałe jabłko. Ale nie żałuję. Szkoda, że nie ma tutaj Joachimka, wtedydopiero byłaby najprawdziwsza draka. Moje przygody wcale nie będą gorsze od przygód bohaterek z seriali, dziewczyny z klasy się wściekną, kiedy powiem, ol tak, od niechcenia, że się o mnie pojedynkowali. Pewno mi wcale nie uwierzą, ale i tak popękają z zazdrości, już ja je znam.

We śnie słyszę przy uchu cieniusieńki chichot.

– To ty? – pytam.

– Oczywiście, że ja. Małgosiu, chcę ci coś nadzwyczaj interesującego zaproponować.

– Mam wracać?

– Tak. Jestem przekonany, że marzysz o tym od dawna. Zwierzyłaś mi się z tego w czasie naszej rozmowy. Zastanowiłem się i jestem skłonny pomóc ci teraz.

Rozejrzałam się po ciemnym alkierzu, posłuchałam sennych oddechów tutejszej matki, Doroty i Klary, cichutkiego mruczenia pieca, dotknęłam dłonią nabitej poduszki. Nie, ja chyba nie śnię. To dytko jest gdzieś tutaj naprawdę.

– Na co czekasz, Małgosiu?

– Nie mogłobyś przyjść za jakiś tydzień, dytko?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie życzysz sobie wracać? Tak ci się tutaj podoba, że masz ochotę zostać?

– Nie, ale...

– Już ci kiedyś powiedziałem, że jestem inteligentne dytko. W porządku. Mogłabyś mieć pretensję, że wybrałem akurat najbardziej zanudzoną epokę, siedemnasty wiek, bo to i Sienkiewicz, i Łoziński, mam na myśli tego Łozińskiego od „Prawem i lewem", ale i mnóstwo innych. O ile wiem, pan Józef Hen przerobił całego Łozińskiego na serial radiowo-telewizyjny, pan Konic nakręcił „Czarne chmury" także umiejscowione w siedemnastym wieku. I tak dalej, i tak dalej...

Tu dytko zachichotało urągliwie i dodało:

– Chcesz poczytać listy króla Jana? Wiedzieć, co Bogusław Radziwiłł pisywał do narzeczonej? Poznać domowe kłopoty hetmana Chodkiewicza, dowiedzieć się, jak imć pan Beauplan reagował na tarty ze słoniną groch podawany na deser? Co myślał imć Oger o polskich karczmach? Albo jak uczony pan

O'Connor widzi stan zdrowotny i higieniczny miast Rzeczypospolitej u schyłku wieku? Tak, Małgosiu, mamy aż za dużo materiałów, to wszystko jest zbyt dobrze znane i za dosłowne, żeby mogło być interesujące, przynajmniej dla mnie. Ja, widzisz, wolę czasy mniej jednoznaczne, bardziej dyskusyjne, ale...

Coś takiego nasza pani od polskiego nazywa, zdaje się, dygresją-

— No, to po coś mnie tutaj wpakowało, dytko?

— Tak trzeba było. No i przez lenistwo, Małgosiu, właściwie przez lenistwo. Całą robotę załatwił za mnie pan Henryk Sienkiewicz, dla którego jestem z pełną estymą. Wiedziałem, że będziesz się tutaj czuła swojsko, ty wprawdzie nie masz pojęcia o historii, ale oglądasz przynajmniej seriale telewizyjne.

Dziwne jest to dytko i gada całkiem od rzeczy, nawet nie bardzo wiadomo o czym.

— To wszystko twoja wina — przerwałam dytku całkiem niegrzecznie. — Możesz się nie tłumaczyć.

— No, niezupełnie moja wina. Ale skończmy z rozważaniami o charakterze ogólnym. Wstań wreszcie, mam tej nocy także inne sprawy do załatwienia, nie mniej ważne niż twoja. Rusz się, Małgosiu!

Już wysunęłam stopę spod pierzyny. Zobaczę mamę! Zobaczę mamę, przytulę się do niej!

Nagle przypomniałam sobie zmarszczone brwi pana Władysława, zmartwioną twarz Joachimka, korowód dziewcząt z zapalonymi świeczkami, brzękadła przy uzdach, gdy kulig pędzi białym bezdrożem, spadek, o którym tyle się mówi, a który jest przeznaczony dla mnie — i wsunęłam stopę z powrotem pod piernat. Drugi raz już mi się takie wspaniałe wakacje nie zdarzą. A mama... Dytko przecież powiedziało, że wszystko z mamą w porządku. Nie, nie i nie! A w każdym razie nie dzisiaj.

I jutro także nie. Powiedzmy, za trzy tygodnie.

— Nie chcesz?

— Przyjdź za trzy tygodnie, dytko.

Mogłabym prawie przysięgać, że na ścianie zobaczyłam

niejasny zarys głowy na pajęczych nogach, ta głowa . podskakiwała i zacierała pajęcze łapko-nóżki.

Ślicznie, Małgosiu. Tylko tak dalej!

Głupie dytko!

Głupia Małgośka! Ja nie przyjdę za trzy tygodnie. Może w ogóle nie przyjdę, wiesz? W regulaminie służbowym dytek. w paragrafie dwudziestym czwartym i dalszych są przewidziane lakie sytuacje.

Znowu jakieś głupie zagadki. Aby pokazać że mnie to wcale nie interesuje, ziewnęłam od ucha do ucha.

— Bardzo mi się chce spać, dytko.

— Tak?

— Tak.

— Dobrej nocy, Małgosiu. I jeszcze prośba na pożegnanie. Nie wołaj mnie, nie tłucz luster, nie płacz i miej pretensje wyłącznie do siebie, jakby co.

— Nie martw się o mnie, dytko. Ja teraz wszystko wiem: Na początku robiłam głupstwa, ale teraz mam to z głowy. Cześć: -

Leżałam jeszcze dłuższą chwilę w ciemności, zastanawiając się, czy ono sobie poszło, czy tylko się przytaiło i bzeka, co teraz zrobię. Uznałam wreszcie, że najrozsądniej będzie zasnąć, niech sobie siedzi i czeka, skoro mu to sprawia przyjemność.

— Jejmościanki, już spory dzień. Wstawać!

Po śniadaniu, podczas którego mowa jest o koniach, rzędach, siodłach, zaprzęgach („Poszóstny był zaprzęg, konie w szor[103]! ze złotem, kity ze strusich piór, na czerwono barwionych, kareta zaś lustrzana na francuską modę z figlikami przy drzwiczkach"), tutejsza matka wreszcie dostępuje łaski stanięcia przed obliczem brata dobrodzieja, czyli wuja Kalasantego. Dostajemy polecenie udania się do alkierza i nieopuszczania go przęd końcem ich rozumowy.

Zaraz po wejściu Klara rymnęła na klęczki i zaczęto się modlić, Dorota po krótkim zastanowieniu poszła w jej ślady, ja nie; chociaż mnie przede wszystkim wypadało się pomodlić na intencję szczęśliwego zakończenia tej, historii. Byłam

103 Szor — rodzaj uprzęży.

zdenerwøwaina i podniecona — rozmową z panem Władysławem, propozycją dytka, odrzuceniem możliwości powrotu. Teraz już nie byłam taka ua sto procent pewna, czy dobrze postąpiłam. A tam, też mam sobie czym zawracać głowę, dytko jest głupie, a ja dam sobie radę i bez niego.

Długo, bardzo długo tutejsza matka konferowała z wujem Kalasantym, wreszcie uchyliły się drzwi i służący wuja oznajmił:

— Jaśnie panny mają się pokwapić do pana stolnika.

Ustawione rządkiem, przypadłyśmy kolejno w dygu do ziemi i czekałyśmy, aż tutejsza matka lub sam wuj Kalasanty powiedzą nam, po co zostałyśmy wezwane.

— Wolą nieboszczyka rodzica mego jejmościanka Małgorzata ustanowiona jest generalną dziedziczką majętności, która by innym trybem na córkę rzeczonego rodzica i jej wszystkie dziatki przypadała. Do zamęścia rzeczonej jejmościanki Małgorzaty mnie gotowizna i dobra w opiekuństwo były dane i teraz pono czas przyszedł, by się z opiekuństwa wyliczyć.

Zerknęłam na twarz tutejszej matki, zapuchniętą od płaczu. Widocznie rozmowa z wujem Kalasantym nie należała do tych najłatwiejszych.

— Testament nieboszczyka rodzica mego jest święty i podług jego woli scheda rozporządzoną zostanie. Co zaś do sum należnych z mogilańskiego klucza, tom już rzecz z siostrą dobrodziejką omówił, bowiem pierwsza u mnie krewniacza zgoda i dobro pospolite, któremu uchybić wara.

W tym momencie tutejsza matka chciała coś powiedzieć, ale nie powiedziała nic. Wuj Kalasanty wygłosił jeszcze kilka bardzo okrągłych zdań, nim stało się jasne, że powinnyśmy podziękować za doznane dobrodziejstwo. To głównie ja miałam rozpłynąć się w dziękczynieniach, a tutejsze siostry i tutejsza matka miały mi w tym sekundować.

Więc przypadłam do ziemi w niskim reweransie, za moimi plecami matka syknęła: — Pod nogi wuja podejmij, pod nogi! — ale uznałam, że to już przesada. Całowanie w rękę, w' ramię, ściskanie pod kolana były tutaj jak najbardziej w modzie, ale nie zamierzałam się stosować do tego zwyczaju. Zresztą wuj Kalasanty też jakoś się nie kwapił do krewniaczych uścisków,

odstąpił ku oknu i odwrócił bokiem, jakby na znak, że podziękowania skończone i możemy wyjść.

Dopiero w naszym alkierzu tutejsza matka wybuchnęła złością i łzami:

Żeby sierotę ukrzywdzić bez nijakiego sromu, żeby ochłap jeno rzucić, kiedy się wszystko należy! Alboż ja nie wiem, na na co Małgosina gotowizna poszła? Na farfury[104] złocone, na kornety i roby bratowej dobrodziejki i jejmościanek, na Jakubkowe wojaże, tokaje wystałe i marcepany. Brat dobrodziej powiada, że i ichunku zdać nie może, ale mam ufność w nim pokładać, a ja swoje wiem. Tatarzyn, człek obcy tego by nie uczynił, co brat rodzony uczynił! Teraz niby wsie oddaje, ale przecie mają być sumy za te lata, przez które je trzymał, a rzekniesz coś o tym, ln wi namarszczy, nasroży się i jak nie wrzaśnie: „Siostra mi nie ufasz? Siostra mniemasz, żem cudze brał?!" A brał, brał, niech mu nasza krzywda kością w gardle stanie, Judaszowi!

Z potoku wymowy tutejszej matki można się było zorientować, że wuj Kalasanty niezbyt rzetelnie wywiązał się z obowiązków opiekuńczych. Czegoś tam nie miał zamiaru wypłacić, z czegoś innego się nie wyliczył, coś nakręcił — jednym słowem, dramat w porządnej rodzinie. Wreszcie spłakana i zachrypnięta tutejsza matka zakonkludowała:

— Jak tylko pan Stanisław zjedzie, ja mu wszystko powierzę. Przyjdzie rzecz przed trybunał postawić, jeno niech to się już Stanisława głową dzieje, kiedy do naszej familii wchodzi. Jam białogłowa, mdła[105] z przyrodzenia, w kodeksach a pozwach rozeznania nie posiadająca. W materii onej męskiego trzeba rozumu i wielkiej chytrości.

To przekazanie mi przez wuja dziadowego zapisu (mnie przez dziada, chociaż ja wcale nie jestem ja, a ten dziadek wcale nie był moim dziadkiem, można pęknąć ze śmiechu, jak się o tym pomyśli) coś jednak zmieniło. Nadęta wujenka zrobiła się nagle bardzo łaskawa, do tego stopnia łaskawa, że raczyła mnie do-

104 Farfura — fajans; naczynie fajansowe lub porcelanowe sprowadzone ze Wschodu.

105 Mdły — słaby, wątły.

strzec i przemówić kilka słów. Także Anusia i Marianna stały się nagle zupełnie miłe. Uznały, że jestem godna zaszczytu przestąpienia progu ich gotowalni, gdzie mogłam podziwiać weneckie zwierciadło, pudełeczko z aksamitnymi muszkami, naczynko z błanszem dodającym twarzy śnieżnej białości, szkatułki z koronkami i wstęgami, a także flakonik z larendogrą, czyli po prostu lawendową wodą kolońską. Najbardziej mi się podobały perfumowane rękawiczki-z cieniuteńkiej skórki, był to prezent z Italii od Jakubka, takie rękawiczki wyrabiano podobno wyłącznie w Mantui. Ale koronki także były niczego. Wujowe córki miały też spore puzderko z klejnotami: trzęsienia, kanaki[106], czółka, manele[107], sprzączki, klamry, wszystko złote i hojnie wysadzane drogimi kamieniami. Teraz już coś niecoś wiedziałam: rubiny są czerwone, ametysty fioletowe, szmaragdy zielonkawe, diamenty – chociaż bezbarwne – łamią światło wielobarwną tęczą, opale mlecznie białe z odcieniem różowym, turkusiki błękitne, ale było mnóstwo innych, o których nie miałam pojęcia. Rozpoznawałam jeszcze długie sznury pereł (perły uważano za szczególnie odpowiednie dla młodych panien). Takie duże perły szły na kanaki i czółka, a drobnymi wyszywano kołnierze, mankiety i wzory na sukniach, haftowano nimi wierzchy rękawiczek i obrzeża chustek obszytych jeszcze na dodatek złotą koronką. Oczywiście nikt w taką chustkę nawet nie usiłował wycierać nosa, po prostu trzymało się ją w dwóch palcach, prawdziwą chustkę do nosa chowało się w rękawie i używało w największej tajemnicy, na uboczu, jak najdalej od oczu spektatorów.

Polubiłam Anusię i Mariannę, spodobały mi się bardziej niż moje tutejsze siostry. Klawo gadało się z nimi o tańcach, o modach, kawalerach, chichotałyśmy, plotkowałyśmy. Miałam więc nie tylko kawalerów, ale i przyjaciółki.

Teraz ja też kupię taką szkatułkę z klejnotami, koronki, naczynko z blanszem i aksamitne muszki. E, po co mi to wszystko? Chociaż miło by było mieć coś takiego, na początek

106 Kanak – naszyjnik.

107 Manela – bransoleta.

mogłabym sobie sprawić srebrną, brokatelową[108] suknię z przedłużonym stanem, wygorsowaną, z namarszczonymi bufami rękawów, ze spódnicą rozszywaną pasami morelowego aksamitu haftowanego srebrem. W czymś takim na pewno wyglądałabym sto razy llepiej od Anusi, nie wspominając już o Mariannie.

Waćpanna pomnisz, o czym gadałem? — pan Władysław krzepko ucapił mnie za łokieć, ani mowy, żeby się wyrwać. — Tedy rzecz postanowiona, w oznaczony dzień waćpanna ze mną pojadziesz, by się sakramentem związać, a za powrotem rzucimy się do nóg pana stolnika i matki dobrodziejki. Waćpanna pojmuje?

Co miałam nie pojmować? Pojmowałam, a jakże.

— Kiedym rzecz rozważył, wyszło, że nie ma co matce waćpanny i wujowi próśb przedkładać, jeno ich przed faktem *matrimonium*[109] stawić, tedy przeciwiać się nie mogą, przecie sakramentu nie unieważnią, skoro waćpanna swoje lata masz i samaś dała przyzwoleństwo.

Od tamtej rozmowy na łowach pan Władysław po prostu zaczął mną komenderować: ma być tak i tak, skończyły się komplementy i całowanie rąk, widocznie uznał, że się w nim zakochałam na amen, czyli jak się tutaj mówi: „rozamorowawszy się, świata za lubą personą nie widziałam". Trochę mi się chciało śmiać, on mnie właściwie mało obchodził, a trochę się bałam, bo czasami robił takie wrażenie, jakby miał nierówno pod sufitem; ale przede wszystkim byłam ciekawa, co z tego wyniknie. Nietrudno sobie było wyobrazić tutejszą matkę lejącą rzewne ślozy, purpurowego z wściekłości wuja Kalasantego, jezdnych z pochodniami kłusujących przez noc w poszukiwaniu zbiegów, pana Stanisława z przekrzywioną głową miotającego się tu i tam i skrzeczącego jak wystraszona kura. Zapłacę im za te zamykania w komórce, rózgi i puszczanie krwi, za grymasy Klary i karcenia tutejszej matki!

Pan Stanisław zjechał któregoś wieczoru, kiedy zażywałyśmy

108 Brokatela — tkanina półjedwabna lub bawełniana z atłasowym wzorem na adamaszkowym tle; odmiana brokatu.

109 Matrimonium (łac.) — małżeństwo.

już wypoczynku.

Okazało się, że właściwie ja jestem teraz najmniej ważna, ostatecznie, rzecz była postanowiona i ułożona. Nikt nie pytał mnie, czy to mi się podoba, czy nie podoba. Zwróciłam uwagę, że naokoło tego staruszka z krzywą szyją wszyscy skakali, jakby był co najmniej Czesławem Niemenem albo kimś takim. Wujenka Zofia własną ręką nakładała mu płaty różowej szynki, kuzynki wgapiały się w staruszka maślanymi oczami, a wuj Kalasanty pod łokieć poprowadził drogiego gościa ku swoim pokojom. W obecności pana Stanisława tutejsza matka oclkwitła i nabrała pewności siebie. Nie czekając nawet, ża ją zaproszą, podążyła w ślad za wujem Kalasantym i panem Stanisławem, a wyraz jej twarzy jasno obwieszczał, że co było, to było, ale dopiero teraz zobaczycie!

Ledwo te zacne persony zdążyły opuścić salę po śniadaniu, poczułam, że ktoś mi wsuwa do ręki zwinięty bilecik. Za moim krzesłem stał wyprostowany pachołek, nieruchomy jak słup. Czyżby to on podał mi owo tajne pisanie? Wcale na to nie wyglądał.

Z ostrożności rozwinęłam kartę dopiero w miejscu zwanym ,,locus secretus" lub retyrada (w bogatym dworze wuja Kalasantego znajdowało się i takie pomieszczenie, zresztą przeznaczone wyłącznie dla kobiet, mężczyźni – jak w dworku tutejszej matki – kontentowali się przypuszczalnie po prostu krzakami).

Waćpanno! Mamli wierzyć w serca twojego stałość? Powiadają tutaj, że jeszcze przed Popielcem z panem Stanisławem w zamęście idziesz. Sam już, nie wiem, co o tym mniemać, a z udręczenia tak dobrze jak nieżywy jestem i w boleści niezmiernej pogrążony. Jeśli waćpanna możesz, oddaj pisanie człekowi, on zaufany jest, albo jeszcze dziś wieczorem wyjdź za psiarnię, w jaworowy szpaler, tam czekać będę.

Najpierw przez dłuższą chwilę nie mogłam zrozumieć, kto pisał ten list, i gapiłam się bezmyślnie na zamaszyste ,,J" naskrobane w podpisie. I nagle zrozumiałam, że ten list napisał

Joachimek, który jest gdzieś blisko i śledzi mnie. Rany gorzkie z pierożkami! Lepiej być nie mogło. Cały czas chciałam, żeby przyjechał. Hura! Teraz dopiero zaczyna się sensacyjna historia.

Mogłam sobie pozwolić tego dnia, żeby łazić z kąta w kąt jak nieprzytomna. Nawet podejrzliwa, bystrooka Klara była pewna, że tak się przejęłam przyjazdem narzeczonego i układami przy ślubnym kontrakcie.

— A że mnie mdłości biorą — oświadczałam co pewien czas, chwytając się za czoło.

Nie zeszłam na obiad, wymówiłam się od wieczornego muzykowania, biedna Dorota przykładała mi do skroni chustę zamoczoną w occie i spaliła mi pod nosem wronie pióro.

— I jako, Małgoś? Lepiej?

— Ale tam! Nic nie lepiej — odjękiwałam zbolałym głosem, rzucając męczeńskie spojrzenie spod wpółprzymkniętych powiek.

— Gniecie i gniecie.

— Układź się, Małgoś. Sen, powiadają, najlepsze lekarstwo na głowy bolenie.

— Jak się układę, jeszcze gorzej mnie chwyta.

Widząc mnie w takim stanie, Klara usiłowała pocieszyć:

— Nie deliberuj[110], Małgoś. Już tam pani matka dopilnuje, żeby twojej krzywdy nie było.

Jakby się zastanowić, to właściwie takie pocieszenie było wielkim bohaterstwem ze strony Klary, która ciągle jeszcze uważała, że jej dzieje się wielka krzywda, a mnie los nagradza zupełnie niezasłużenie. Może nawet miała rację ze swojego punktu widzenia, w każdym razie ładnie z jej strony, że usiłowała „siostrę" podtrzymać na duchu. Bo Dorota mnie chyba rzeczywiście lubiła, jakoś zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą, to znaczy, ona zaprzyjaźniła się ze mną, bo ja nie miałam zamiaru zabiegać o niczyje względy. Ostatecznie jestem tu na tymczasem i oni wszyscy w zasadzie ani mnie ziębią, ani grzeją.

Rozmowy między wujem Kalasantym, panem Stanisławem i tutejszą matką ciągnęły się niby jakaś konferencja

110 Deliberować — roztrząsać, zastanawiać się

dyplomatyczna. Dorota nawet pobiegła pod zamknięte drzwi wujowych pokoi i po powrocie powiedziała, nie wiadomo czemu, szeptem:

— Jeszcze gadają. Wuj gniewny.

Za serduszkami okiennic zapadł zmrok, tutejsza matka ciągle nie wracała, a ja siedziałam niby na szpilkach. Już Joachimek czeka, trzeba jakoś wyjść. Podeszłam do okna. Trzymał tęgi mróz, wystarczyło spojrzeć na sztywny, zlodowaciały śnieg i na lodowe kwiaty pokrywające szybę, żeby o tym wiedzieć.

Ruszyłam do drzwi.

— Dokąd to, Małgoś?

— Powietrza mi trzeba. Na ganek wyjdę.

— Okno przecie można uchylić. — Już Dorota rzuciła się i zaczęła mocować z okiennicą. — Przymarzło ani chybi. Nie idź, Małgoś, bo cię zamróz przejmie.

— Ja jeno na chwileczkę.

Nie mogłam wziąć okrycia, to byłoby mocno podejrzane. A jeżeli wyskoczę, jak stoję, nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, że biegałam za dwór, do jaworowego szpaleru. Jak szybko pobiegnę, to nie zmarznę.

W sieniach było zupełnie pusto, skrzypnęły drzwi i już wyskoczyłam na zasypany skrzypiącym śniegiem podjazd. Nie widziałam księżyca, ale noc była gwiaździsta i zupełnie jasna.

Przebiegłam pod ścianą dworu, przecięłam dziedziniec i zagłębiłam się w mrok jaworowego szpaleru, bezlistne gałęzie zwierały się nade mną w nieprzejrzystą plątaninę, cienie na śniegu miały dziwny, błękitnawy odcień. Nie czułam zupełnie mrozu.

W psiarni zaczęły ujadać psy. Poujadały i umilkły, widocznie doszły do wniosku, że nic specjalnie ciekawego się nie dzieje.

Joachimka nie było. Zawołałam go raz i drugi półgłosem i czekałam. Nikt mi nie odpowiedział, nie zachrzęścił nawet śnieg, zupełna cisza. Jakiś głupi kawał czy co?

Nie wiem, dlaczego, ale zaczęłam się bać, serce uderzało nierówno i bardzo szybko, poczułam, że marznę od stóp do czoła, jakby ktoś dotykał mojej skóry lodowatymi rękami. Zęby zadzwoniły o siebie. Zakręciłam się i pobiegłam z powrotem.

Tym razem w sieniach drzemał pachołek, z głową opartą na ściśniętych kułakach, chyba nawet nie usłyszał skrzypnięcia drzwi i moich kroków.

Przygładziłam włosy zgrabiałymi palcami, roztarłam czerwone od mrozu policzki, obtupałam śnieg z trzewików. Godnie, powoli wróciłam do naszego alkierza.

– Lepiej ci, Małgoś?

– Niby lepiej – odpowiedziałam, ale jak na złość, nagle poczułam, że paląca obręcz ściska mi skronie.

I po raz pierwszy w życiu dostałam najprawdziwszego bólu głowy, takiego, jaki ciocia Halina zwykła nazywać migreną. Bólu głowy, od którego po prostu odechciewa się żyć, fakt.

Więc Joachimek nie przyszedł. To było bardzo dziwne. I ten list, który tak nieoczekiwanie znalazł się w mojej garści, też był bardzo dziwny. Skąd Joachimek mógłby wiedzieć, co się dzieje w wujowym dworze? Kto mu o tym powiedział? Z trudnością zbierałam myśli w obolałej głowie. To mi wszystko wyglądało na głupi kawał, tylko nie mogłam zrozumieć, komu by mogło zależeć na zrobieniu tego kawału. Takie rzeczy były w stylu Kamili z mojej klasy, ona pisała listy niby od chłopców do dziewczynek, niby się umawiała, a potem wyśmiewała przed całą szkołą. Tylko że tutaj nie ma Kamili. i nikt, zupełnie nikt nie wiedział o moich spotkaniach z Joachimkiem. Ani tutejsza matka, ani Klara, ani Dorota, ani panna Franciszka... Nikt!

Ból zaczął mi po prostu rozsadzać głowę, oczy łzawiły, szumiało w skroniach. I tak nic nie wymyślę, trudno i darmo. Już sama poprosiłam o chustkę z octem i z własnej woli wyciągnęłam się na łóżku, wkręcając obolałą głowę w piernaty. Na domiar złego kichnęłam raz i drugi, a każde kichnięcie zdawało się roznosić na strzępy moją biedną głowę.

– Małgoś, może by dekoktu zgotować?

Nie chcę dekoktu, niczego nie chcę, tylko chciałabym wiedzieć, kto napisał ten list i dlaczego? Ale właśnie tego nie mogę się dowiedzieć i nigdy się pewnie nie dowiem.

Wreszcie, już prawie nocą, wraca tutejsza matka, milcząca i blada, Klara o coś pyta, tutejsza matka odmachuje ręką: nie zawracaj głowy, daj spokój.

— Małgoś, co ci to?
— Nic. Głowa boli.
— Chciałabym z tobą kilka słów zamienić, Małgoś.
— Nijakim sposobem to być nie może, pani matko. Od bólu całkiem mi w oczach mrocznieje.
— Więc jeno ci powiem, że intercyza spisana.

Coś tam mruczę, że niby dobrze, że spisana, i tutejsza matka daje mi spokój, nie bez wtrącenia Doroty, iż od rana z bólu głowy nie mogę sobie znaleźć miejsca. Dlatego nie zostaję zapędzona do dziękczynnych modłów, które na kolanach odbywają tutejsza matka, Dorota i Klara.

Hoża Kasia przygotowuje pościel, piec mruczy jak każdego wieczora, czas na spanie.

One zaraz zasypiają, ja nie. Głowa mnie boli, czuję niejasny lęk, nie mogę pojąć, komu zależało na napisaniu tego listu. Kto poza mną wie czy domyśla się moich spotkań z Joachimkiem? Dorota? Tutejsza matka? Bzdury!

Ale ten list istniał rzeczywiście, przecież sama go czytałam, potem podarłam go, lecz doskonale pamiętam literę „J" w podpisie, mogłabym powtórzyć każde słowo. Wołałam Joachimka wśród niebieskawych cieni, na próżno go wołałam. Ja znam Joachimka, on by przyszedł, gdyby rzeczywiście napisał ten list.

Buch, buch, buch, wali w skroniach, głowa pęcznieje lepkim bólem. Niech to diabli wezmą! Wreszcie zasypiam wtulając twarz w poduszkę.

Budzę się bardzo wcześnie rano, jest chyba czwarta, może nawet i to nie, ból głowy przeminął bez śladu. Leżę w pościeii i zastanawiam się od początku nad całą historią. Komuś zależało, żeby sprawdzić, co zrobię po otrzymaniu listu Joachimka. Komu?

Właśnie w tym miejscu wyczerpuje się moja inwencja. Tego nie mogę wykombinować.

Podczas śniadania wujenka nader kwaśno rozprawia o ziołach (rwać na nowiu księżyca, suszyć jeno w cieniu, wiązać w pęczki). Spotyka mnie niebotyczny zaszczyt, tutejsza matka daje mi znak, że mam usiąść obok pana Stanisława. Jakże, przecież to mój narzeczony!

Z łokciami przywartymi do boków, opuszczając powieki, przycupnęłam przy krzywoszyim staruszku.

– Waćpanna raczy kumpi skosztować?!

Nie odpowiadam.

– Może pasztetu?

Milczę.

– Skopowiny[111]?

Pan Stanisław podsuwa kolejne półmiski, namawia do jedzenia, a ja nic. Okazuje się zresztą, że tak właśnie należy się zachowywać, tutejsza matka rozkwita w życzliwym uśmiechu, jakby chciała powiedzieć: „Bardzo dobrze, Małgoś, bardzo dobrze".

Ktoś zajeżdża przed dom, legawce obojętnie kładą się na dawnych miejscach przy kominku, najwidocznej przybył ktoś dobrze im znany. Do sali jadalnej wchodzi pan Władysław, posępny i mroczny, kłania się wujence Zofii, poddzierając szablą poły kaftana.

– Pisanie przywiozłem od pana wojewody dla małżonka waćpani dobrodziejki wielce mi miłościwej.

– Radzi widzimy – odpowiedziała wujenka takim tonem, iż nie mogło być żadnych wątpliwości, że wcale jej nie cieszy pojawienie się pana Władysława. – Pozwól, waćpan, za stół, bo właśnie śniadamy.

Ze swojego miejsca pan Władysław rzuca mi gniewne spojrzenie, czuję się tak niepewnie, że sama przysuwam sobie półmisek i wrzucam na talerz całą furę pokrajanego mięsa, tutejsza matka robi się sina z oburzenia, znowu zachowałam się zupełnie nieodpowiednio.

Mój narzeczony, czyli pan Stanisław, kamienieje nad swoim talerzem, uuu, całkiem nieklawo, zaraz po śniadaniu dostanę burę i dobrze, jeżeli na tym się skończy, coś wygląda na to, że wcale nie.

Chociaż nie mam apetytu, zaczynam jeść tę górę wędliny, rośnie mi w ustach, mam ochotę uciec od stołu.

– Powiadała ochmistrzyni – zaczyna w swój powolny sposób wujenka Zofia – że cosik biegało nocą po ścianach i śmiech

111 Skopowina – baranina.

nieprzystojny dawał się słyszeć.

Tutejsza matka z zapałem podejmuje temat, najwyraźniej chodzi jej o to. żeby odwrócić uwagę zebranych od mojego zachowania.

— Postne dni niedaleko i złe się budzić poczyna. A czy już powiadałam bratowej dobrodziejce o konterfekcie nieboszczyka stryjaszka, co tu u mnie, w świetlicy[112], z ogromnym rumorem ze ściany spadł?

Tutejsza matka nabierą tchu i ciągnie dalej:

— Pod ten czas w czeladnej siedziałam i nagle, Matko Boska, jak nie huknie! Myślałam, że kto z hakownicy[113] wypalił. Porywam się, biegnę, a konterfekt cale strzaskany. Trzy niedziele nie przeszły, jakem się dowiedziała, że stryjaszek duszę oddał.

— Słyszałam, że się w nim wątpia[114] obróciły.

— Dobrze bratowa słyszała. Krwie puszczać nie chciał, a rad siadał do stołu.

112 Świetlica — izba, komnata we dworze.

113 Hakownica — strzelba.

114 Wątpia — wnętrzności.

Rozgadują się o chorobach. Anusia, Marianna, Klara i Dorota grzecznie słuchają. Po tym pierwszym spojrzeniu pan Władysław nie poświęca mi więcej uwagi. Odsuwam od siebie talerz.

— Jutro przed świtem ruszamy — słyszę. — Czas wracać, skoro jeszcze sanna dobra. Stokrotnie wybaczenia upraszamy za turbację[115].

(To tutejsza matka mówi o naszym powrocie.)

— Zostałaby jeszcze bratowa — oświadcza bez przekonania wujenka Zofia.

— Sprawy do szczęśliwego doprowadziwszy końca, muszę o wyprawie Małgosinej pomyśleć. Wesele przecie nie za górami, na Wielkanoc ma się odprawować, jako postanowiono.

Pan Stanisław stroszy wąsy na znak, że jak postanowiono, to postanowiono.

— Sam na rychłe dopełnienie sakramentu nalegałem — odzywa się dosyć głośno. — Serce, dobrodziejki moje osobliwsze, czekania nie uznaje.

Tedy racz, waćpan, winszowanie przyjąć — z szarego końca stołu głos pana Władysława brzmi donośnie i wyraźnie. — Widzę, że waćpan, wielce mnie miłościwy, hymenowe pochodnie zapalasz i białe gołębie dajesz na ołtarz pani Wenery.

— Dobrze, waść, widzisz — odmrukuje z niecierpliwością szczęśliwy narzeczony.

— Wolno wiedzieć, która waćpanna strzałą swoją tak płochliwą zwierzynę ugodziła?

Niby jest to powiedziane żartem i uprzejmie, ale dostatecznie dobrze znam tutejsze zwyczaje, aby wiedzieć, że pan Władysław zachowuje się jak grubianin. Dlatego nikt nie odpowiada na to zuchwałe pytanie.

— Skoro bratowej mus jutro jechać... — rozpoczyna wujenka Zofia.

— Mus, mus. Tam beze mnie wszystko na zmarnowanie idzie, pańskie oko, słusznie powiadają, bydełko tuczy. I tak bratowej gościnności nadużyłyśmy haniebnie, to jeno na tłumaczenie mając, że sprawy, które nas tu przywiodły, wiele czasu i

115 Turbacja — kłopot.

zachodu strawiły.

Po skończonym posiłku pan Stanisław całuje mnie w rękę, mogłabym przysięgać, że widzę drwiący uśmiech pana Władysława.

Jesteśmy w gotowalni kuzynek, jesteśmy, to znaczy — ja i Dorota.

— Małgoś powagi musi nabrać — chichocze kuzynka Marianna, składa ręce i spuszcza oczy. — Statecznemu mężowi stateczna godzi się żona. — Przechadza się po komnatce i pokazuje, jak będę się poruszała powoli i dostojnie, mamrocząc pacierze. Śmiejemy się wszystkie. — Do której kolasy jaśnie pani rozkaże zakładać?

— Do lustrzanej — odpalam bez namysłu, perspektywa zostania żoną starego pana Stanisława wydaje mi się bardzo śmieszna, one myślą, że to wszystko jest naprawdę, a ja wiem, że na niby. — Jeno szor ma być paradny, z piórami.

Marianna błaznuje, Anusia wtrąca ze śmiechem:

— Pewnikiem cię na dwór zawiezie, Małgoś. Chyba że się okaże zazdrośnikiem prawym[116], który cię gdzie w głuszy zamknie, nie dozwalając żywego człeka zobaczyć.

Od chwili pojawienia się pana Stanisława traktują mnie nie tylko jak sobie równą, ale nawet z pewnym szacunkiem, najwidoczniej narzeczona pana Stanisława jest zupełnie kimś innym niż zwyczajna kuzynka Małgosia. I niech im będzie. W ósmej a jest także taka jedna idiotka, która' musi wiedzieć, kim są rodzice jej koleżanek, ile zarabiają, i tak dalej. Coś podobnego jest z Anusią i Marianną. Wszystko jedno.

Mimo śmiechu i wygłupiania — gdzieś w głębi serca cały czas czuję niejasny niepokój. Ten list. I przyjazd pana Władysława. Jak on powiedział? Że nie pozwoli na kpiny. Coś w tym rodzaju. On chce mnie porwać. Tylko ten list... Nie wiadomo czemu, czuję się winna wobec Joachimka. Ostatecznie sama mu powiedziałam, że możemy ze sobą chodzić. Przyjeżdżał wieczorami, zostawiał konia w chaszczach, rozmawialiśmy przez chwilę. Bał się, że o nim zapomnę, a ja powiedziałam, że nie zapomnę i żeby się nie martwił.

116 Prawy — prawdziwy.

Nie będę się przejmowała. Nie trafiłam tutaj z własnej woli, jeszcze trochę, a wrócę z powrotem. Co mnie obchodzi Joachimek, pan Władysław, narzeczony, tutejsza matka i tutejsze siostry. Wrócę do domu, a oni mogą robić, co im się podoba. Joachimek także.

Po rozważeniu tych kwestii robi mi się zupełnie wesoło. Przygarbiam się, wciskam głowę w ramiona i mówię skrzypiącym głosem:

— Jegomość do pacierzy klękniesz przed wieczerzą czy po niej? — Tak niby pytam swojego męża.

Dorota i kuzynki pękają ze śmiechu.

Ale nim wskazówki na ozdobnym zegarze, który stał na kominku w jadalnej sali (kluczyk do nakręcania tego zegara nosił przy sobie jak najcenniejszy skarb wuj Kalasanty), dopełzły do południa, przestałam się śmiać.

Na pana Władysława wpadłam w ciemnym korytarzyku, kiedy szłam do naszego alkierza.

— Ciii — syknął i zaszeptał z pośpiechem: — O pierwszym zmroku w jaworowej alei będą czekały sanie. Waćpanna siadaj i o nic nie pytaj. Ludzie dowiozą gdzie trzeba.

— Jak to? — przeraziłam się.

— Jeno bez fochów. Swoje rzekłem. Jakbyś waćpanna chciała się przeciwić, ja na waćpannę broń mam i taką, że nie trzeba lepszej.

Coś takiego było w szepcie pana Władysława, że zapomniałam o ostrożności.

— Głupie gadki. Strasz sobie swoją babcię, ale nie mnie. Figę się boję, o tyle, wiesz? Co ty mi możesz zrobić?

Nawet się nie zdziwił, że się tak do niego odezwałam.

— Co mogę zrobić? A ot! Drugie pisanie od twojego gaszka mam za pasem. Powiesz pewno, że z Joachimkiem nie znosiłaś się sekretnie? Starczy owo pisanie pokazać i fiut, tyle zobaczysz narzeczonego. — Przerwał i dodał jeszcze ciszej niż poprzednio: — Chwal Boga, że ja wyrozumiały jestem, liczyć ci gaszków nie będę, bylebyś w sanie wsiadła bez oporów. Pamiętaj! O pierwszym zmroku w jaworowym szpalerze.

Aha, więc to pan Władysław uknuł tę całą historię z listami,

żeby mieć mnie w ręku. Tylko... tylko skąd on wie o Joachimku?

— Głodne kawałki! Kto to jest ten twój Joachim?

— Nie wiesz?

— Nie — odszepnęłam z przekonaniem.

— Spytaj się swojej służebnej, to się dowiesz. Nie raz i nie dwa was widziała, jako gołąbki gruchające. Twoja Kaśka wszystko wyśpiewała, co jej wiadomo. Możeś wczoraj nocą nie biegała miłego szukać? Sam to widziałem!

— Podły jesteś! Ty pisałeś te listy!

— Jaki jestem, to jestem, a ty masz czynić podług mojej woli. W jaworowym szpalerze sanie będą, nie przyjdziesz, do końca życia łez nie przepłaczesz, to ci jeno powiem.

Zostawił mnie zupełnie osłupiałą i odszedł. Podlec! A ta Kaśka też dobra. Już ja jej...

Kaśka? Jakie to dziwne, że akurat Kaśka... Od dnia kiedy ją pocałowałam, jeszcze ochotniej przypadała rankiem z pończochami i trzewikami, z gorliwości przypalała mi włosy, spędzała wiele czasu na czyszczeniu plam z mojej paradnej, tabinowej sukni. Nie mówiła nic, ale wiedziałam, że mnie lubi, woli od Klary i Doroty, które po prostu jej nie dostrzegały. A tu patrzcie, takie coś! Fałszywa zołza. Skarżypyta...

W jaworowym szpalerze sanie... Nawet miałam ochotę, żeby mnie ktoś porwał, ale przecież nie tak. Jak mnie mają tak porywać, to się obejdzie. Szantaż jak w klasycznym kryminale. Ale z drugiej strony...

Ciągle jeszcze stałam przy ścianie i zastanawiałam się nad tym wszystkim. Jeśli się nie dam porwać, nie będzie przygody. To raz. Po drugie, pan Władysław gotów posłużyć się tym sfałszowanym listem od Joachimka. Wtedy będzie nieludzka draka. Niedobrze. Więc może lepiej...

Drzwi od naszego alkierza uchylają się, wygląda rumiana Kasia. Na mój widok cofa się do środka.

— Chodź no tu — kiwam na nią.

Kasia z dygiem podsuwa się bliżej, patrzę na nią uważnie. Jest w moim wieku, może ciut, ciut starsza, ma przestraszone oczy i ciasno spleciony warkocz.

— Jaśnie panna rozkaże?

— Coś ty panu Władysławowi naopowiadała? — szepczę ze złością. — Kto cię prosił? Dlaczego mnie szpiegowałaś?

— Nijakim sposobem nie szpiegowałam — odszeptuje Kasia, w kącikach oczu zbierają się łzy. — Z przypadku, nie z umysłu, widziałam pana Joachima z panienką.

— Akurat! I zaraz musisz językiem chlapać?

Patrzy na mnie ze zdumieniem.

— Jasny pan kazał — mówi, jakby to tłumaczyło wszystko, i jeszcze raz powtarza: — Pan mi kazał mówić.

— Nie musisz się słuchać!

Kasia zaczyna szybko mrugać rzęsami, ze zdumienia i chyba ze strachu przełyka ślinę, a ja mówię dalej:

— Nie lubisz mnie?

— Ja bym pannie Małgosi nieba przychyliła — przerywa i dodaje: — Ale pan kazał powiedzieć.

— To co z tego?

— Jak kazał, to mus.

Zupełne cielę, ja swoje i ona swoje. Nic nie rozumiem. Ona mnie także nie rozumie. Pan kazał! Wielkie mi rzeczy, że kazał! Ja bym nigdy żadnej dziewczynie tak nie zrobiła, a ta cała Kaśka...

— Idź sobie! — wrzeszczę nagle ni z tego, ni z owego na cały głos i przypadam czołem do ściany. Dajcie mi święty spokój, to wszystko nie ma sensii!

No i dobrze. Pójdę do tych sań. Ucieknę od tutejszej matki i od tej Kasi, której „pan kazał”! Mam ich wszystkich dosyć. Albo zawołam dytka. Tak, to jest najlepsze wyjście. Dytko mnie zabierze, i po kłopocie. Co prawda ono powiedziało, że już nie przyjdzie, ale na pewno tylko tak mnie straszyło.

Na. szczęście w alkierzu nie ma Klary. Nie ma nikogo. Przez chwilę mocuję się z krzesiwem leżącym przy świecy, trzask, trzask, trzask, sypią się drobne iskry, podstawiam kłaczki wełny. Kasi idzie to sprawnie, chwileczka i płomyk już się pali, mnie zaraz gaśnie.

Wreszcie wełna zaczyna się tlić, przypalam knot świecy. Dorota mówiła, że trzeba świecę postawić przy lustrze, dobrze

pamiętam, że tak właśnie mówiła.

Z przezroczystej tafli patrzy ku mnie twarz niby moja, a przecież zupełnie obca, dołeczki, loczki, długie rzęsy, odrobinkę zadarty nos. Jejmościanka Małgosia, czyli ja.

— Dytko — odzywam się niegłośno. — Dytko!

Zwierciadło błyszczy równym blaskiem w płomieniu świecy, wcale nie mętnieje, a panna Franciszka twierdziła, że powinno zmętnieć, nim się ukaże dytko.

— Ja chcę wracać do domu — na wszelki wypadek przysuwam się tak blisko, że prawie dotykam nosem lustra. — Już się zdecydowałam. Możesz przyjść i mnie przenieść.

Potem siedzę bardzo długo w bezruchu i czekam, nic się nie dzieje, świeca się pali, powierzchnia lustra błyszczy obojętnie.

— Nie wygłupiaj się, dytko — mówię do swojego odbicia. — Przecież wiem, że gdzieś tu jesteś.

Może i jest, ale nie zamierza się pojawić. A gdybym zamknęła okiennice? Ono, zdaje się, nie lubi dziennego światła. Teraz powinno przyjść, wszystko jest jak trzeba, lustro, zapalona świeca, mrok.

Czekam tak długo, aż wreszcie tracę nadzieję. Dytko nie chce mi pomóc.

To sobie i tak poradzę! Dam się porwać i przynajmniej nie będę musiała oglądać tych wszystkich ludzi. Każę panu Władysławowi, aby mnie zawiózł do Warszawy. Że też wcześniej nie wpadłam na taki pomysł! Bo jak będę w Warszawie, to...

Dmucham na świecę, odkładam krzesiwo na miejsce. Bez łaski, pojadę i tak do Warszawy.

Za oknem pada śnieg, mróz zelżał, w szarym powietrzu miękko kołują płatki. Widzę, jak przed podjazd zajeżdżają paradne sanie.

O rany! Z sań gramoli się tutejsza matka i okutana w baszłyk Klara, za nimi pan Stanisław.

— Wszędzie waćpanny szukaliśmy — mówi ten staruszek z krzywą szyją — a waćpanna przepadłaś jak ten kamień w wodzie. Tedy matkę waćpanny i siostrę na przejażdżkę prosiłem, jeno mi żal, że waćpanna nie raczyłaś...

Coś tam jeszcze mówi, nieważne, niech gada, co chce, ja i tak

nie słucham.

Jejmościanka gdzie byłaś? — chce wiedzieć tutejsza matka.

— Z Dorotką.

— A gdzie to Dorotka?

— Nie wiem. Pewnikiem u wujecznych się zasiedziała. Bo my tam byłyśmy.

Coś jemy, ktoś coś mówi, Dorota szepcze mi do ucha, nic nie rozumiem, nic nie słyszę. O pierwszym mroku w jaworowym szpalerze. W jaworowym szpalerze, w jaworowym szpalerze...

Ściemnia się szybko, bo dzień jest pochmurny, śnieg sypie bez przerwy, na ciemnych gałęziach świerka rosną puchate czapska, dmucha wiatr i kręci zawieruchą śnieżynek.

Kiedy wybiegam w ten tańczący śnieg, czuję się tak, jakby od stóp do głów owinął mnie mokry, zimny płaszcz.

Sanie czekają. Dwa konie, człowiek na koźle i jeszcze ktoś stojący obok. Bez słowa podbiegam do nich.

Oni także nic nie mówią, ten czekający przyrzuca mnie szeroką baranicą, ten na koźle wstaje i rozstawia szeroko łokcie.

— Ruszajcie, sokoliki!

Pędzimy poprzez mokry, stale sypiący śnieg, lekkie, małe sanki prawie unoszą się w powietrzu. Biel, biel i wiatr, chrapią konie.

Pierwszą rzeczą, którą powiem panu Władysławowi, będzie to, że chcę jechać do Warszawy.

Ciekawe, czy już zauważyli moje zniknięcie? Co teraz zrobią? Będą mnie gonili? A może jeszcze nic nie wiedzą? Do kuzynek zjechały się przyjaciółki, paplają po francusku i haftują na tamborkach[117], Anusia brzdąka i wyśpiewuje wątłym sopranikiem, oglądając się bezustannie na okna. Czeka na pana Prota, bo ona się kocha w panu Procie.

Między przyjaciółkami Anusi i Marianny siedzi Dorota, ona też stale ogląda się ku drzwiom, pewno się niepokoi, dlaczego mnie jeszcze nie ma. A ja nie przyjdę, już nigdy nie przyjdę. Koniec. Nie ma Małgosi.

Teraz tutejsza matka przypomni sobie rózgi, puszczanie krwi,

117 Tamborek — przedmiot ułatwiający haftowanie, składający się z dwóch obręczy, które przytrzymują napięty na nich materiał.

SANIE CZEKAJĄ

zamykanie w komórce. Może nawet płakać, proszę bardzo; pan Stanisław, jeśli ma ochotę, może się wypchać i pomalować na zielono, a Klara powiedzieć, że zawsze przypuszczała, iż ja tak zrobię. Cześć.

Gdzieś daleko, za zasłoną śniegu, pełgają jakieś światełka, wieś albo dwór, słychać tylko wiatr i tętent koni, sypie i sypie, jakby chciało czym prędzej zasłonić lekkie ślady płóz.

Wreszcie wszystko zawirowało mi w głowie niczym ten miotany wiatrem śnieg, skuliłam się i przymknęłam oczy. Długo jeszcze tej jazdy?

Długo. Tak długo, że konie zwolniły i przeszły w stęp, na próżno człowiek z kozła krzyczał i szarpał lejce, nie poderwały się do biegu.

— Kiedy wreszcie dojedziemy? — spytałam tego drugiego, który stał z tyłu sań, chyba na płozach. Tak jeździli pachołkowie z pochodniami, już to widziałam.

Nic mi nie odpowiedział.

— Długo jeszcze? — wrzasnęłam z całej siły.

— Nie.

Odmruknął to swoje „nie" takim głosem, jakby chciał powiedzieć, żebym się odczepiła. Więc już nie pytałam.

Wreszcie stanęliśmy pod jakimś zasypanym przez śniegi niewysokim murkiem. W zadymce majaczył niejasny kształt, kościół albo dzwonnica. Człowiek z tyłu — zeskoczył i zniknął w padającym śniegu. Ten drugi zlazł z kozła i okrył derkami grzbiety koni, przytupnął butami i zakaszlał basowo.

— To i, chwała Bogu, dojechaliśmy — odezwał się może do swoich koni, a może do mnie. — Ciężko w taką zawieję drogi szukać. Dobrze, że święty Mikołaj wilkom pyski zawiązał, co nas nie zaczuły.

Nieoczekiwanie z zawiei wychynął pan Władysław. Z początku myślałam, że wraca tamten człowiek, ale kiedy usłyszałam głos poznałam od razu.

— Pojedziemy dalej — odezwał się niegłośno. — Wojciech, do koni!

— Trzeba im wytchnienia, na nic zmordowane.

— Nie gadaj! Ruszamy.

Nie wsiadł do sani, ale już po chwili dogonił nas. Silnie zdzierając konia wędzidłem, pochylił się do mnie.

— Proboszcz jako zajączek lękliwy, nie i nie, żadną miarą, powiada, jego miłości usłużyć nie mogę. On się twojego wuja boi i ślubu nie da, chociaż go nie na żarty straszyłem, kiedy kieska nie pomogła. Inny dukaty weźmie, nie ma strachu.

Patrzyłam bezmyślnie na padający śnieg, na smagłą twarz pod kołpakiem, ledwo widoczną w pomroce, na końską grzywę sztywną od nabitego śniegu.

— Czemu nic nie gadasz?

— Bo nie chcę... — Raptem przypomniało mi się najważniejsze. — Jedziemy do Warszawy!

— Blekotu się najadłaś?

— Nie. Chcę do Warszawy.

— A czemu tak?

— Bo tak.

— Żadną miara być nie może.

— To ja nigdzie nie pojadę! — krzyknęłam. — Albo do Warszawy, albo nigdzie! Rozumiesz?!

— Pojedziesz, pojedziesz, turkaweczko, jeszcze jak pojedziesz. Już powrotu nie masz.

— Nie pojadę!

Puścił wodze i zaczął pokładać się ze śmiechu, prawie z tej uciechy tarzał się po kulbace.

— Jużem dawno takich krotochwil nie słyszał. A teraz bacz dobrze, co gadam, drugi raz nie powtórzę. Ja o tobie już dawno słyszałem od jejmościanki Anusi. Zrazu jak cię zoczyłem, czysta trusia, buzia w ciup, rączki w małdrzyk, ja do ciebie tak i siak, widzę, smakują ci słówka cukrowane a wzdychania, tom i wzdychał, nie zaprzeczę. Myślałem: polubisz ty mnie, a ja wuja i matkę uproszę, żeby zezwolili za mnie iść.

Ściągnął swojego wierzchowca i krzyknął ze złością:

— Stań, durniu! Zatrzymaj!

Stanie stanęły.

— Wyjdź! — wyciągnął mnie spod baranicy w padający śnieg, chwycił za ramiona, potrząsnął.

— Prędko zmiarkowałem, żeś ty szpakami karmiona. Dobrze

ze mną tańcować, dobrze do Joachima wieczorami wychodzić, dobrze za bogatego za mąż iść! Jeden do zabawy, drugi po sercu, trzeci dla zaszczytu. Tamci dwaj może i głupi, ale ja nie w ciemię bity, mnie za nos wodzić nie będziesz. I ciebie dostanę, i twoje wiano, inaczej być nie może.

Patrząc w jego zaciętą twarz i zmrużone oczy, pojęłam wszystko. Ale ze mnie idiotka! Jemu przede wszystkim chodzi o ten zapis, który mam dostać, wcale nie o mnie.

Coś o tym kiedyś czytałam. To się nazywało łowca posagowy czy jakoś podobnie. Klops totalny z ćwikłą! Teraz chyba rzeczywiście narobiłam głupstw, szkoda gadać. Chyba że...

— Ja wcale nie jestem tą Małgosią — zaczynam pośpiesznie, to jest jedyny sposób, żeby się uwolnić od tego strasznego człowieka, może się przerazi, zdziwi, ucieknie od wariatki. — Mnie się nie należy żadne wiano!

— Co gadasz?

— Nic mi się nie należy! Ja... ja pochodzę z daleka. Niedługo odejdę. Nie mam ani grosza.

— Mnie głowy nie popsowasz swoimi łgarstwami. Wiem, jak jest. To, co gadasz, śmiechu jeno warte.

— Słowo honoru, że mówię prawdę!

— Może i na umyśle słaba jesteś, ale mnie to za jedno! Ślub i tak z tobą wezmę.

Z powrotem popchnął mnie do sanek. Ruszyliśmy poprzez śnieg i zawodzenie wiatru.

Pod baranicą ściskam palce w pięści, chce mi się płakać i krzyczeć głośno. Co za wstrętne życie, ohydni ludzie. I pomyśleć, że ja sama odmówiłam powrotu, kiedy dytko... Zachciało mi się tańców, pojedynków, spotkania z Joachimkiem, i w ogóle. Teraz się natańczę za wszystkie czasy, kiedy ten Władysław przykuje mnie łańcuchem za szyję do ściany. Tak tutaj postępują z wariatami, tutejsza matka opowiadała o ciotce Tekli, pamiętam.

„Co robić? Co robić?" — pytam samą siebie i chyba pierwszy raz w życiu nie mam zielonego pojęcia. Ale dotąd nigdy nie znalazłam się w prawdziwym niebezpieczeństwie. W szkole mogli mi wpisać uwagę do dzienniczka albo zmniejszyć

stopień, mama mogła pojojczyć albo cofnąć mi kieszonkowe, nawet tutejsza matka nie dysponowała niczym więcej poza rózgą, siedzeniem w zimnej komórce i puszczaniem krwi. A teraz znalazłam się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Ten człowiek nie będzie przebierał w środkach, żeby zdobyć wymarzone pieniądze, to jedno jest pewne.

Kiedy rozmyślam o swoim, sanie powoli płyną przez śnieg, wydaje się, że między niebem a ziemią ustawiono nieprzejrzystą białą ścianę, pada, pada i pada. Śnieżynki sklejają mi rzęsy, plączą się we włosach, topnieją na policzkach.

— Konie ustają — odzywa się człowiek z kozła.

— Poganiaj, bałwanie, bo ja cię pognam harapem.

— Kiedy ustają — tłumaczy strachliwie powożący. — Całkiem ustają. Najgorzej, że trakt zgubiliśmy.

— Nie twoje zmartwienie.

— Toć szkoda konisiów.

— No, dobrze. I tak nas nie zgonią w tej zawierusze. Jak obaczysz światło, skręcaj. Przyjdzie nocować.

Wleczemy się jeszcze dosyć długo, aż wreszcie powożący wypatrzył gdzieś wątłe pełganie ognia. Skręcamy pod chruściany płot, zawalony aż po wierzch zaspami świeżego śniegu.

Na progu nędznej chałupiny staje człowiek w nie przepasanej, szarej od brudu koszuli, zarośnięty, rozczochrany, w wysoko uniesionej ręce płonie smolna drzazga, smużka dymu rozpływa się w białej zamieci.

— Wszelki duch...

Władysław zsuwa się z siodła, człowiek zgina się ku ziemi w niskim ukłonie.

— My biedni ludzie, nic nie mamy, ani siana, ani owsa, wybaczcie nam, panie, ostawcie w spokoju.

— Dosyć! Prowadź nas do izby. Każ babie w kominie mocno napalić, bo przemarzliśmy.

Cofając się, człowiek przepuścił nas do izby osnutej gryzącym dymem, pełnej zaduchu i smrodu.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Tamta karczma to był po prostu pałac w porównaniu z tą izbą. Zamiast podłogi — ubita ziemia zasypana słomą, pierzem, nie dojedzonymi

resztkami; wyrko byle jak zakryte zgrzebną płachtą i komin dymiący na całą izbę. Nie było nawet okien, nawet sprzętów, niczego, oprócz zbitej z klepek bodni[118] w jednym rogu. W drugim kuliło się stadko owiec, sześć chuderlawych owieczek, brudnych i przerażonych jak ich gospodarze.

Spod zgrzebnej płachty wynurza się pięć rozczochranych głów, to pewno dzieci tych chłopów. Kobieta poczerniała, jakby uwędzona w tym dymie, staje obronnie między wyrkiem a nami, wyraźnie się boi o swoje dzieci.

W wujowym dworze wyglądałam biednie i śmiesznie, w tej izbie robię wrażenie zbłąkanej królewny. Tabinowa, rozłożysta suknia, klejnociki we włosach, pachnąca, ufryzowana.

Robi mi się głupio i przykro. Ale to uczucie trwa tylko chwilę.

— Jajka macie? Każ babie usmażyć.

— Nie mamy. Jest jeno z wczoraj trochę żuru — szepcze kobieta. — Postnego żuru.

— Nawet usiąść gdzie nie masz — wścieka się Władysław. — W chlewie, widzę, lepsze wygody. Słoma jest?

— Słoma jest, panie.

— To duchem przynieść parę snopów. Weź tam po drodze baranicę z sanek, pani rada by spocząć.

Słoma zostaje rozsypana wprost na ubitej glinie, nakryta futrem. Siadam i milczę.

— Czyj jesteś?

— Pana podskarbiego.

Ci ludzie należą do pana podskarbiego. Ludzie należą do... Straszne to wszystko. Ludzie, którzy do kogoś należą.

Później Władysław wychodzi, wraca rozgniewany.

— Świnie w takiej kleci[119] trzymać, nie konie. Jakby pani ze mną nie było, tobym im do izby kazał, a wam do tego chlewka. Przyłóżcie chociaż do ognia.

Więc dokładają do ognia, patyki, garście igliwia, korzenie, komin dymi, zaczynam kaszleć.

— Las pana podskarbiego i drzewa rąbać nie wolno, jeno chrust zbierać — szepcze zabiedzona kobieta, jakby się

118 Bodnia — beczka z zamykanym wiekiem.

119 Kleć — lepianka, klitka.

tłumaczyła z tego dymienia. — My zwyczajni.

Siedzę i myślę. Mam już pewien plan. Zdaje się, że i tym razem dam sobie radę. Dzieci wypełzają spod lnianej płachty i gapią się na mnie, trzymając palce w buzi. Jedno, drugie, trzecie, czwarte. A gdzie piąte? Widziałam wyraźnie pięć głów.

— Czworo dzieci macie? — pytam kobiety.

— Pięcioro, jaśnie pani, pięcioro. Było siedmioro, ale dwoje łońskiego lata na krosty pomarło.

— Gdzie piąte?

— A ot — kobieta zerwała płachtę z wyrka, zobaczyłam chudziutką dziewczynkę chyba niewiele ode mnie młodszą. — Urszulka, pokaż się pani, skoro każe.

— Ja nic nie każę — przestraszyłam się. — Ja tylko tak. Ja bardzo przepraszam.

— Ano, pańska wola niczym boża wola — westchnęła kobieta, najwidoczniej nie słysząc moich przeprosin.

Przysnęłam na trochę. Kiedy się obudziłam, palenisko zasnuwało się siwym popiołem, w kącie pobekiwały sennie owce. Cała zamazana gliną ściana przy kominku była wprost oblepiona czymś czarnym i ruchliwym. O Boże, karaluchy, jakie mnóstwo karaluchów...

Spali gospodarze, spały dzieci, spał Władysław z ręką na głowni szabli. Tylko spod pieca śledziły mnie szeroko otwarte oczy chudej dziewczynki.

— Ty — skinęłam na nią. — Możesz mi coś powiedzieć?

— Mogę — mruknęła cicho i niewyraźnie.

— Wiesz, jak się idzie, do dworu pana stolnika?

— Co nie mam wiedzieć?

— Jak?

— Od płotu przez wygon, potem prosto przez las i do kościoła.

— A dalej?

— Dalej to nie wiem. Ojciec powiadali, że od kościoła się do pańskiego dworu trafi, ja nie chodziłam.

— Zaprowadzisz mnie przez las?

— Śnieg, a ja boskiem — westchnęła dziewczynka. — Całkiem bym uświerkła.

Przez moment się zastanowiłam i zdjęłam z włosów wyszywa-

ną perełkami przepaskę.

— Jakbyś poszła, tobyś dostała.

— Nijak nie pójdę. Po co ja? Albo to panienka nie ma koni?

Faktycznie, na śmierć zapomniałam o koniach. W porządku.

— Jakby cię ktoś pytał, nic nie wiesz — pogroziłam dziewczynce. — Nigdy nie rozmawiałaś ze mną. Rozumiesz?

— Tak — odszepnęła.

Zsunęłam z nóg trzewiki i cichutko posunęłam się ku drzwiom, uchyliły się same na śnieżną zawieję.

Wszystko mi sprzyjało, Władysław nie kazał rozsiodłać swojego konia, woźnica spał, chyba zakopany w słomie w naszych saniach, w każdym razie w tej kleci — rozgrodzonej na cztery strony świata — na pewno go nie było. Odwiązałam wodze i wierzchowiec posłusznie dał się wyprowadzić. Podskoczywszy na śniegu ziębiącym stopy przez pończochy, podciągnęłam się na siodło. Do diabła z tą kiecką! A tam, podwinę w pasie i jakoś usiądę. Dobrze, że biegnąc do jaworowego szpaleru złapałam w ostatniej chwili tę lisią bekieszkę[120], inaczej bym zamarzła.

Nawet nie zdążyłam szarpnąć wodzy, kiedy koń pomknął przed siebie. Jak mówiła ta Urszula? Od płotu poprzez wygon, potem przez las. Licho wie, gdzie jest ten wygon, śnieg przemienił wszystko w jedną niepokalanie białą równinę. Nic, może koń sam znajdzie drogę.

Wjeżdżam w las, okrakiem dużo pewniej siedzę w siodle, ale na wszelki wypadek trzymam się jedną ręką grzywy, skąd mogę wiedzieć, co temu koniowi strzeli do głowy? Siodło jest wysokie, wykładane miękką skórą, wygodniejsze niż te damskie cudo do siedzenia bokiem. Głową trącam zwisłe nisko gałęzie, obsypuje mnie śnieżny puch. Wierzchowiec idzie szparko naprzód, parska. Ciągle jeszcze pada śnieg, ale wiatr ustał, śnieżynki sypią się powolutku, siadają bezszelestnie na igłach sosen, na krzakach, na liniach, na końskim zadzie, na mnie.

I jeszcze raz poradziłam sobie. Tak prawdę powiedziawszy, mogłam nie wychodzić do tych sanek, mogłam przedtem nie robić słodkich oczu do Władysława, mogłam odmówić

120 Bekieszka — długi płaszcz wełniany, podbity futrem, wcięty w talii, rozcięty z tyłu.

porwania, ale stało się. W porównaniu z Władysławem tutejsza matka, Klara, Dorota i panna Franciszka to ideały. Chętnie do nich wrócę, pewno się na początku wściekną, ale mi wybaczą. W najgorszym razie coś nakręcę, że zbłądziłam albo że mnie porwano podstępem. Z podstępem to bardzo dobry pomysł.

No i klawo. Za jakieś dwa tygodnie zjawi się dytko, a przez te dwa tygodnie postaram się być wzorową jejmościanką Małgosią, córeczką, słoneczkiem, skowronkiem i czym będą chcieli. Mogę nawet udawać, że strasznie się cieszę z zaręczyn z panem Stanisławem, jeśli im na tym zależy. To tylko dwa tygodnie, czyli czternaście dni. Ciekawe, że dwa tygodnie brzmi o wiele bardziej serio niż czternaście dni! Dlaczego myślę o takich głupstwach? Trzeba się zastanowić poważnie.

A jeśli dytko się nie zjawi? Powiedziało, że nie przyjdzie, nawet groźnie to powiedziało. Co wtedy?

Wtedy – aż strach o tym myśleć – zostanę żoną tego staruszka z krzywą szyją, będę nosiła przy pasie pęk kluczy, jak tutejsza matka, i rogaty czepiec, będę jeździła poszóstnym zaprzęgiem do kościoła, będę suszyła zioła do domowej apteczki i rozmawiała ze statecznymi białogłowami, żonami przyjaciół pana Stanisława, z których każda mogłaby być co najmniej moją ciotką. I już nigdy nie wrócę do domu, nigdy nie będę z powrotem Małgosią z ósmej klasy. Nie, to niemożliwe!

Wysoki, kopny, nie przetarty śnieg zmęczył konia. Teraz posuwał się zupełnie wolno. Śnieg padał coraz słabiej, aż wreszcie przestał. Ciemne chmury rozsunęły się i niespodziewanie wyjrzał księżyc, dziwny, rudawy i trochę jakby błękitny. Nigdy w życiu nie widziałam niczego tak pięknego jak ten milczący, biały las zastygły pcd księżycowym blaskiem. Przez przecinkę przepłynęły sarny, niby dwa duchy, miękkimi, długimi susami, i zniknęły tak nagle, jak się pojawiły. Koń rzucił łbem i zastrzygł uszami.

– Stało się coś? – Zapytałam go tak, jakby mi mógł odpowiedzieć, ale musiałam usłyszeć chociaż własny głos, cisza zaczęła mi ciążyć. – Czego się boisz?

Starałam się skierować konia w zupełnie inną stronę, ale wyszarpnął mi wodze z ręki i ruszył w wybranym przez siebie kie-

runku. Już nie mogłam nim powodować, zresztą i dotychczas jakie to było powodowanie. Uczepiłam się oburącz łęku i dałam się nieść przez cichy, księżycowy las.

– Bądź mądry i zanieś mnie do domu – prosiłam.

Wyraźnie widziałam promieniujący Giepłem kaflowy piec, łóżko napiętrzone piernatami, noc – niegroźną za serduszkiem okiennic, poczułam zapach topiącego się wosku i żywicznego drzewa. Do domu... do domu...

Ja chyba oszalałam! Ja mam zupełnie inny dom. Kawalerka, regały, lustro, dwa wąskie tapczaniki, wnęka kuchenna. W moim prawdziwym domu najwyżej pachnie pasta do podłogi i mydełko „Biały bez". Ja chcę do domu. Do mamy...

I właśnie w tej chwili wystrzeliłam z kulbaki i zaryłam głową w zaspę. Koń odbiegł i zniknął, nim zdążyłam się wygrzebać ze śnieżnego puchu. W długiej sukni, bez trzewików, bez grosza przy duszy, bez mapy czy kompasu znalazłam się zupełnie sama, w środku puszczy, nocą.

Coś zapamiętałam z przeczytanych książek, nie wolno usiąść, w żadnym wypadku nie wolno usiąść, bo jeśli zasnę, nie obudzę się nigdy.

Więc ruszyłam przed siebie zbierając podołek[121] sukni. Pończochy momentalnie przesiąkły i obmarzły, brnęłam po kolana w śniegu, przewracałam się, kiedy stopa trafiała na niewidoczny pod śniegiem wykrot. Wstawałam i brnęłam dalej, byłam pewna, że odeszłam daleko od miejsca upadku, ale kiedy się obejrzałam, okazało się, że to daleko wcale nie było daleko, lazłam jak ślimak w smole, a może jeszcze wolniej.

Równocześnie pociłam się i marzłam, pot skapywał mi z czo!a i wstrząsały mną krótkie dreszcze, sapałam i brnęłam przed siebie, podtrzymując spódnicę. Jeszcze kilka kroków i jeszcze, dzieliłam sobie drogę na takie jakby etapy, dojdę do tamtego świerczka, do gałęzi, do dębu. Z każdym krokiem traciłam siły. Nigdzie nie dojdę. Zamarznę w tym lesie. Może mnie ktoś prędko znajdzie, a może dopiero wiosną jakiś chłop, zbierający suche gałęzie, odbiegnie z przerażeniem od tego, co było kiedyś mną.

121 Podołek – tu: dolny kraj sukni.

Niebo zaczęło blednąc, gasł księżyc, w godzinie przedrannej drzewa osnuł mrok. Stanęłam przyciskając ręką serce, które waliło jak oszalałe. Usiądę. Usiądę tylko na moment, potem zaraz wstanę i pójdę.

Z gałęzi spadały przezroczyste obłoczki, bezszelestnie obsypywały się na śniegowe zaspy, z których strzelały rude pnie sosen. Coś krzyknęło wysoko, między koronami, przez chwilę głos straszny i chrapliwy trwał w wielkiej ciszy. Tu przecież są na pewno wilki, gdzieś na gałęzi może się czaić wąskooki ryś albo rosomak, głodny niedźwiedź może przemierzać las szukając żeru, już wiedziałam, że nie wszystkie niedźwiedzie na zimę zaszywają się w gawrach. Muszą iść dalej i wydostać się z lasu, niedługo świt, może gdzieś wśród bieli dojrzę dym i dotrę do ludzi.

Upadałam i szłam, posuwałam się naprzód, oblepiona śniegiem, zziajana, osłabła, dziwaczny bałwan, który może poruszać się sam. Śnieg jakby pojaśniał, wyiskrzył się, to mróz ścinał nocne śnieżynki w lodową skorupę, by jeszcze trudniej mi było iść przed siebie.

Wreszcie drzewa przerzedziły się i wyszłam na białą równinę, bezludną jak pustynia. Na próżno wytężałam wzrok, nigdzie nie dojrzałam dymu. To już koniec.

I usiadłam, chociaż wiedziałam, że tego nie wolno robić, ale było mi wszystko jedno. Zamknęłam oczy...

— Na księżą oborę patrzy — odezwał się ktoś nade mną. — pewnikiem z urodzonych, bo obleczenie na niej niezwyczajne, nie jeno pojrzyj sama: boso.

— Ano boso. Pewnikiem gdzieś w zaspach trzewiki zgubiła. Bierzemy ją?

— Godzi się, bo jeszcze dycha. W grochowiny ją położymy.

— Może dać gorzałki?

— Spróbuj. Nożem zęby podważ i lej.

Przełknęłam palący płyn i otworzyłam oczy, na ogromnym, czystym niebie jarzyło się zimowe słońce, śnieg płonął milionem zimnych iskier. Z trudem obróciłam głowę i zobaczyłam człowieka w baranicy, a za nim niziutkie chłopskie sanie zaprzężone w konika pod zieloną dugą.

– Żyje – powiedział człowiek w baranicy.

– Kto ty taka? – zapytał drugi głos, najwyraźniej kobiecy. – Czyja jesteś?

– A wy? – szepnęłam.

– Do rzeczy gada – ucieszyła się kobieta. – Młode toto, nic jej nie będzie.

Człowiek w baranicy uniósł mnie i położył na sankach, przytrząsnął grochowinami.

– Leż se, biedoto.

Saneczki ruszyły. Przysnęłam i taka półsenna znalazłam się nagle wśród pościeli, pod pierzyną, pojona czymś gorącym.

– Krupnik najlepsze lekarstwo od zamarznienia mówiła kobieta, podsuwając mi do ust parujące naczynie.

Przejęło mnie błogie ciepło.

– Nogi ci śniegiem rozcieraliśmy – kobieta poprawiła pierzynę i dodała: – Śpij, sen nalepiej zlekuje.

Ale nie zasnęłam, leżałam, patrząc w belki powały, i myślałam. O czym? Sama nie wiem. Chyba o sobie i o tym, co mi się zdawało tak jeszcze niedawno, czego chciałam, za czym goniłam. Bo teraz okazało się, że wszystko było zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam, i ten świat – taki inny niż to, co znałam – wcale nie był taki bardzo inny. Bo w tym świecie wcale nie zdarzały się nadzwyczajne przygody i rycerze z bajki. Wszystko w tym świecie miało swoją cenę niczym w ukochanym porzekadle ciotki Haliny, że pieczone gołąbki same nie lecą do gąbki. Mnie się zdawało, że jeśli tu jestem na tymczasem, mogę się zachowywać, jak mi się podoba, ale to też wcale nie była prawda. Nie wystarczyło nauczyć się mówić, tak jak tu się mówiło, tańcować, kłaniać się i naśladować zachowanie innych, potrzeba było czegoś więcej. I kiedy tego „więcej" brakowało, wtedy trochę z ciekawości, trochę dla zabawy, a trochę dla zemsty wybiegało się do sanek czekających w jaworowym szpalerze.

Podniosłam rękę do obolałej głowy i poczułam pod palcami perłowe czółko. Przeciez chciałam dać je tej małej. Dlaczego nie dałam? Och, już nie pamiętam, ale wiem na pewno, że myślałam o tym, żeby je dać. Im, tym ludziom, przydałoby się

dużo bardziej niż mnie.

— Zjesz? — spytała ta sama kobieta, pojawiła się nie wiadomo skąd. — Chyba cię anieli zratowali. Bo myśmy się mieli na Wolę brać, gdzie droga przetarta, jeno cosik mnie tknęło i dlatego lasem jechaliśmy. Patrzeć, szło coś przez śniegi, tośmy za śladem ruszyli — prosto do ciebie, niebożę. Bez przytomności leżałaś, jeno się na tobie to złote z daleka świeciło.

Przerwała i spytała.

— Ktoś ty taka?

— Małgosia — odpowiedziałam.

Bo co miałam odpowiedzieć? Zacząć jeszcze raz od początku tłumaczyć, że jestem Małgosią z ósmej klasy, że... A właściwie. dlaczego ja się w tym świecie znalazłam? Dotąd myślałam tylko o tym, jak to się stało i jak stąd uciekać, ale nigdy nie spytałam: dlaczego?

— My jesteśmy kowale — wyjaśniła kobieta. — W pana Gorzebskiego wsi.

Pan Gorzebski! To przecież ojciec Joachimka. Pamiętam, wtedy w kościele, wąsaty szlachciura podobny do obrazków w podręczniku historii. To znaczy...

Usiadłam wśród pościeli.

— Joachimek jest we dworze? — zapytałam.

— Jest, czemu nie miałby być?

— To ja was proszę... Bardzo proszę. Zawiadomcie Joachimka, że jestem u was. Że Małgosia jest u was. On na pewno będzie wiedział.

— Można zawiadomić. Ledwie stajanie do dworu. Można, czemu nie? Przed wieczorem jeszcze powiemy. A ty śpij.

Ale znowu nie zasnęłam. Tak, to możliwe, że dotarłam gdzieś w pobliże dworu tutejszej matki, to przecież tylko jeden dzień sanny. Długo mnie wieźli tamtymi sankami pod kościelny mur, długo jechaliśmy, nim udało się znaleźć przygodny nocleg. A ja musiałam pogalopować przez ten wygon w zupełnie inną stronę, niż należało.

Przymknęłam powieki. Na pewno mnie już szukają, konni przebiegają okolice, wypytują ludzi. Zniknęłam jak kamień w wodę. Tutejsza matka w swoim rogatym czepcu albo płacze,

albo mdleje. Właściwie mi jej żal, ona kochała tę swoją Małgosię, po swojemu kochała, tak jak po swojemu kochała Klarę i Dorotę, ale przecież nie potrafiła inaczej, nawet gdyby chciała. I Klary mi żal, i Doroty, sama wiem, że i na nie padnie cień mojego postępku, jeśli się wyda, że wybiegłam jak szalona do czekających sanek, bez jednego słowa, bez spojrzenia. One, Klara i Dorota, też na swój sposób były dobrymi siostrami, bo jak się zastanowić, to sama nie byłabym zachwycona, gdyby przez złamaną psią łapę młodsza siostra miała mieć wszystko, a ja nic. Nie żal mi tylko wuja, wujenki i ich córek, oni się przypuszczalnie cieszą, że Małgosia zginęła. Może nawet dali przez kogoś ze służby na mszę, żebym bezpowrotnie zniknęła. Jeśli się nie znajdę, zatrzymają sobie te wsie i wszystko.

I staruszka z krzywą szyją mi nie żal, bo on się chce ożenić z tymi wioskami, gdzie żyją w byle jakich kleciach zgarbieni ludzie. O nich się zresztą nie mówi: ludzie, ludzie to dworska czeladź, oni są duszami. I liczy się te dusze. Biedny – pięćdziesiąt dusz, bogaty – dziesięć tysięcy dusz. Ja także miałabym swoje dusze i mówiliby o mnie: bogata, prawie tysiąc dusz...

A jeżeli Joachimek także...

Nie wierzę! Chyba nie wszyscy w tym świecie liczą od rana do nocy: łany, dusze, talary. Nie zastanawiałam się nad tym dotąd, ale ja przecież niczego nie liczyłam, nawet nie przyszło mi do głowy, że można policzyć. Pamiętam, jak na początku oburzały mnie słowa tutejszej matki o dostatkach pana Stanisława.

Ale byłam głupia, że mi się tutaj podobało i że nie chciałam wracać, kiedy dytko kazało mi wstać! Życie tutejsze przypomina mi taką szafę z mnóstwem szuflad. Od urodzenia każdy zostaje wpakowany do swojej szuflady, prawie przypinają mu kartkę, że jest tym i tym, ma prawo do tego i do tamtego, i pilnuje, aby nie próbował uciec ze swojej przegródki. Uciec można tylko przez szczęśliwy przypadek i ja mogłabym uciec dzięki temu spadkowi, ale nie chcę. Ja przecież jestem inna niż oni, może lepsza, może gorsza, ale zupełnie inna, i mogę spróbować sama pokierować losem jejmościanki Małgosi. Bo jeżeli dytko nie przyjdzie, nie pozostanie mi nic

innego, jak samej zająć się swoim przyszłym życiem.

Z tym postanowieniem twardo zasypiam. Gdy się budzę, jestem głodna jak wilk i mam straszny katar. Od czasu do czasu wstrząsa mną seria potężnych kichnięć.

– Młode to i z grobu wylizie – mówi kobieta i stawia przede mną miskę kaszy z mlekiem. Jem tę kaszę, aż mi się uszy trzęsą.

Ten dom jest zamożniejszy, dostatniejszy niż inne chłopskie domy. Zamiast udeptanej polepy – deski; ławy, skrzynie, obszerny piec wylepiony gliną, szereg garnków na sosnowej półce. Wprawdzie i tu w izbie zimuje cielę, ale czuje się, że ci ludzie nie głodują, nie marzną, nie pracują ponad siły. Patrzę przez dłuższy czas, jak kobieta tka na warsztacie, szybko śmiga czółenko między nitkami osnowy, trzask, i taka deska, spadając z góry, przybija utkany paseczek materiału. Zręcznie tej kobiecie idzie, nie mogę nadążyć spojrzeniem za jej ruchami.

– Czemu się dziwujesz? – pyta kobieta. – Jakbyś pierwszy raz widziała.

Tak się zabawnie złożyło, że naprawdę widzę pierwszy raz. Mówiło się, że kiedy sprzędziemy, to się będzie tkało, ale nie doczekałam tkania, bo wyjechałyśmy do wuja Kalasantego.

Kobieta ujmuje moją prawą rękę i odwraca dłonią do góry.

– Nie narobiona, oj nie – mówi. – Jeszczem nikogo nie widziała, kto by tak bez pracy się uchował.

Wyrywam rękę pewno za gwałtownie, ostatecznie pracowałam – i przy tej wełnie, i karmiłam kurczaki, i mieszałam sos, i haftowałam, wiem, co to jest praca.

– Nikt za tobą nie płacze? – pyta ta kobieta. – Nie trzeba ci jakiego pisania posłać, że żyjesz i żeś zdrowa?

Nie. Najpierw zobaczę się z Joachimkiem. Potem zastanowię się, co dalej. A czy płaczą? Skąd ja mogę wiedzieć?

Jest już zupełnie ciemno, kiedy drzwi otwierają się na oścież z przeciągłym skrzypieniem.

– Małgoś!

Biegnę do Joachimka uradowana jego widokiem, mam go nawet ochotę pocałować, ale poprzestaję na przytuleniu twarzy do jego kaftana.

— Cuda jakieś czy co? Kiedym usłyszał, że waćpanna mnie tu wołasz, łeż w oczy Janowi zadałem, chociaż to człek poczciwy i wiary godny. Na rany Boskie, co się stało waćpannie?! Już mi mówili, że cię samiutką w borach naszli, bez przytomności na śniegu leżącą...

Na takie pytanie nie byłam przygotowana, wolałabym nie mówić o Władysławie, o porwaniu, o moich amorach na wujowym dworze. Skłamać, wymyślić na poczekaniu jakąś nieprawdopodobną historyjkę.

— Widzisz, ja się dałam porwać... — Jeżeli mam uładzić losy jejmościanki Małgorzaty, nie wolno mi kłamać, trzeba raz spróbować inaczej, niech się dzieje, co chce. — Ale już w drodze taki mnie rankor zdjął, taką awersję uczułam, że radniej bym w żmijowe gniazdo skoczyła, niż owego człeka przy sobie ścierpiała.

Na policzkach Joachimka wykwitają krwiste rumieńce, palce szarpią bezwąsą górną wargę.

— Pięknieś, waćpanna, pamięci o mnie dochowała, nie ma co mówić! Sama parol dałaś, że nie zapomnisz, i ot, krótkie było waćpanny pamiętanie, jak dzionek zimowy.

— Wcale nie zapomniałam — przerywam mu. — Wcale nie zapomniałam.

— I przez ową pamięć inny ci o afektach prawił? — Joachimek cofa się o krok, stoimy naprzeciwko siebie, on bliski płaczu, i ja także bliska płaczu. — Wielce mnie, waćpanna, zraniłaś, a we mnie zdrady nie było...

— Przecie i grzesznikowi bywa wybaczone, jeżeli grzech wyznaje i o pokutę prosi. Ja swoją winę rozumiem, ale tyś zawsze był mi życzliwy, więc ciebie pierwszego o opiekę proszę i o pokuty naznaczenie. Byłam lekka, nie przeczę, o własnych słowach przepomniałam z kretesem, ale wreszcie ja sama szczerze błąd swój wyznawam.

— A każdym słowem niby żelazem mnie ranisz, waćpanna, o moim bólu cale nie pamiętając...

— Wybacz mi, waćpan, o to jedno tylko proszę.

I nagle, w tym momencie, chyba po raz pierwszy stałam się naprawdę tamtą Małgosią, której skórę nosiłam. Zapomniałam

zupełnie o „tymczasem", o tym, że to wszystko nie jest prawdziwe. Ja BYŁAM RZECZYWIŚCIE tamtą Małgosią, która narobiła głupstw i prosiła o wybaczenie miłego sobie chłopca.

— Waćpanna uciekłaś od tamtego człeka?

— Uciekłam, byle dalej od niego, nawet nie wiedziałam, że mnie tu, w podle, droga wyprowadzi. Tedy, za palec Boży to poczytując, z całą ufnością ku waćpanu się zwróciłam, bo ciężkie opresje na mnie przyszły...

— Waćpanna na mnie polegać możesz, co w mocy mojej, uczynię. Tedy mów, co rozkazujesz?

— Wpierw mi waćpanowej rady potrzeba.

Zasiedliśmy obok siebie na ławie, on cały czas odwracał głowę, żeby na mnie nie patrzeć. Chyba nie dlatego, że wydawałam mu się obca w chłopskeij odzieży (moja suknia, ciężka od wilgoci, parowała nad kominem, obok niej pończochy), ta kobieta dała mi plecione z łyka chodaki, swoją zapaskę i coś w rodzaju bluzki z grubego płótna. Ale to, że Joachimek umykał ode mnie wzrokiem, na pewno nie było spowodowane tym strojem, widywał mnie przecież w samodziałowej okryjbidzie, w wyszmelcowanym domowym kożuszku, wychodziłam do niego z rękami ubielonymi twarogiem albo z kwartą pośladu w dłoni, i dobrze. Dlaczego teraz nie chce na mnie patrzeć?

— Waćpan na pewno wiesz, że na mnie wielkie wiano spadło dziadowym zapisem?

— Wiem — odmruknął.

— Przez to wiano właśnie ta cała sprawa się stała. Przez nie, nie przez co inne.

— Mów dalej, waćpanna.

— Waćpan także wiesz, że przez ono wiano matka dobrodziejka chce mnie dać w zamęście panu Stanisławowi?

— Wiem.

— To ja jeszcze przydam, żem trochę od owego narzeczonego uciekała, trochę od matki. Waćpan tego chyba nie pojmiesz, a i ja wytłumaczyć jasno niezdolnam.

Raptem Joachimek porwał się na równe nogi, tak że o mało nie spadłam z ławy.

— Mnie waćpanna o tym zapisie nie rozpowiadaj, bom nigdy

o niego nie pytał!

I odwrócił się do mnie plecami.

Już nie wiedziałam, co mam dalej mówić. Po prostu jejmościance Małgorzacie nie stało konceptu, jak tutaj mówiono. Ale oburzenie Joachimka ucieszyło mnie. On naprawdę nie liczył łanów, talarów i dusz, wcale nie liczył, co wprawdzie nie oznaczało, że za niego nie liczyli inni, chociażby ten wąsaty, korpulentny rodzic.

— Małgoś...

Dziwnie zabrzmiało to: Małgoś, po poprzednim gniewie.

— Małgoś, czemu waćpanna jakaś cudza jesteś? Tyle lat się znamy, a cale inną personę po powrocie z konwiktu odnalazłem...

Ja i Joachimek znamy się wiele lat? Co za bzdura! Poznaliśmy się w kościele, a raczej przed kościołem, właściwie zupełnie niedawno.

— Pamiętasz, Małgoś, jakom ci żywą kraskę przyniósł? Pamiętasz, jakośmy razem w rowach jeżyny zbierali? Wpadłaś wtedy w błoto i płakałaś, było ci pani matki strach. Pamiętasz, jako cię mój podjezdek zrzucił? pamiętasz...

Skąd mogłam pamiętać? Równie dobrze Joachimek mógłby żądać, żebym pamiętała bitwę pod Cedynią (chyba była taka bitwa) albo biskupa Mikołaja z Kurozwęk (chyba był taki biskup), albo cokolwiek w tym sensie. Nie pamiętam. To musi pamiętać ktoś inny, nie ja. Kto? Oczywiście TAMTA MAŁGOSIA!

Jeszcze nigdy tak naprawdę o niej nie myślałam. Niby wiedziałam, że zajęłam tutaj czyjeś miejsce. Bo przecież moje pojawienie się wszyscy przyjęli jako coś najnormalniejszego w świecie. Wiedzieli, że jestem Małgosia. Ale dotąd nie miałam czasu się nad tym dokładniej zastanowić! Zaraz, pomyślmy przez moment logicznie i spokojnie. Łatwo powiedzieć spokojnie! Co się z tą Małgosią stało? Gdzie jest ta prawdziwa Małgosia? Gdzie ona jest?!

— Rzeknij chociaż słowo — Joachimek potrząsa mnie za ramię. Chyba robię wrażenie kogoś niespełna rozumu, kiedy poruszając niemo wargami, szukam odpowiedzi na swoje pytanie.

– Choć słowo.

– Ja pamiętam – odpowiadam całkiem bez sensu, wcale nie słyszałam, o co pytał, nic nie wiem. Gdzie jest prawdziwa Małgosia? Małgosia, którą jestem i nie jestem, czy to możliwe, żeby ona była... mną?

Niemożliwe! Ja jestem sobą, to nieważne, jak wyglądam, jestem sobą, i koniec. Pamiętam wszystko, czego się uczyłam, mogę powiedzieć po kolei, kto siedzi w jakiej ławce, mogę narysować z pamięci Pałac Kultury, mogę zaśpiewać piosenkę Maryli Rodowicz, mogę opowiedzieć, jak była ubrana Aśka ostatniego dnia w szkole. Wszystko pamiętam, wszystko wiem, niczego nie zapomniałam. Może tylko Jacka, ale Jacek nie był taki ważny, żebym tutaj musiała o nim myśleć. Jestem sobą. Jestem sobą.

– To czemuś mnie jak obcego witała wtedy pod kościołem, czemu obca całkiem byłaś, inaksza, zagadkami gadająca? Czemu to tak? Czemuś udawała, że się pierwszy raz widzimy?

To, co mogłabym opowiedzieć Joachimkowi, jest tak dziwne i nieprawdopodobne, że wolę milczeć. Kiedy tutaj trafiłam, sprawa wydawała się głupia i względnie prosta, idiotyczne czary przeniosły mnie przez czas wbrew mojej woli, ale to się wcześniej czy później skończy i wrócę do mamy, do Warszawy, do szkoły. Teraz już wiem, że to nie będzie takie proste. Dytko powiedziało, że nie przyjdzie. Dlatego powinnam zabawić się w prawdziwą Małgosię, tę, której nie ma, i odpowiedzieć tak, jak ona by odpowiedziała.

– Zechciej mnie, waćpan, zrozumieć. Źróbek, kiedy z grudzi wyskoczy, na oślep przed siebie goni, tako i ja, zdrad świata nieświadoma, na oślep pogoniłam. Ale nie myśl, waćpan, żem ukontentowanie znalazła, ba, jeno gorzkość i płakanie. A co do innych pytań waćpana, taki respons dam, że przed wyjazdem do wuja chorość mnie trapiła i ledwie mnie matka dobrodziejka zratowała krwie puszczaniem a egzorcyzmami. Teraz już zdrowa jestem...

Mówiłam z takim przekonaniem, że Joachimek rozchmurzył się najwyraźniej.

– Waćpanna matce dobrodziejce winnaś wiadomość przesłać,

gdzie przebywasz.

— Skoro waćpan radzisz...

— Trzeba się jej woli poddać, matczyna wola święta, a mniemam, że nielekko będzie waćpannie karę odcierpieć, bo i wina nielekka.

— Odcierpię, skoro trzeba.

— Wiedz także, Małgoś, że owe związki, które już się pewnymi zdawały, cale teraz przepadły.

— Mnie to za nic.

— Ano. Sama waćpanna pismo nakreślisz czy mnie raczysz dyktować?

— Jeno karty a inkaustu brak.

Za kilka pacierzy dostarczono kartę i inkaust, karta była w połowie zagryzmołona rachunkami, odcięłam je i, uklękłszy przed ławą, umaczałam gęsie pióro w ogromnym kałamarzu.

Myślę, że łatwiej by mi było pisać po prostu patykiem niż czymś takim. Zamiast normalnych liter wyszły okropne, rozkraczone kulfony, które w dodatku pochylały się jak pod podmuchem niewidzialnego huraganu. Co kilka rządków sadziłam potężnego kleksa, ale jakoś naskrobałam kilka zdań.

— Sam bym lepiej nie wydolił — rzekł Joachimek składając pisanie. — Waćpanna tak foremnie piszesz, jakbyś w akademii studiowała.

Potem odszedł, a ja zostałam.

Ci ludzie nie pytali o nic więcej, milcząco zgodzili się, żebym u nich była, póki co. No, więc byłam u nich. Czekałam. Zresztą chyba nie zawadzałam im specjalnie, siadałam gdzieś w kącie i zastanawiałam się nad wszystkim.

Od tego ciągłego myślenia bolała mnie głowa, myślałam od rana do wieczora, starałam się dojść sensu tej całej historii, bo może jednak miała swój sens.

Najpierw zastanawiałam się nad tym, co stanie się tutaj z jejmościanką Małgosią, później nad tym, dlaczego w ogóle tu jestem, a na samym końcu — gdzie jest ta druga? Nie powiem, żebym myślała o sobie samej specjalnie przyjemnie, narobiłam niewąskich głupstw i nawet nie mogę się tłumaczyć, że nic nie wiedziałam. Tłumaczenie, że to wszystko jest nieprawdziwe, też

jakoś nie bardzo się sprawdzało. Prawdziwa była praca w dworku tutejszej matki, prawdziwe kary, prawdziwa radość, prawdziwy smutek, żal, strach, właściwie wszystko było prawdziwe – prócz mnie. Mógł mnie rzeczywiście przysypać śnieg w tamtym borze, rozszarpać wilk, mogłam zostać żoną Władysława – a teraz tutejsza matka naprawdę mogła mnie ukarać, jak karało się za takie przewiny.

Zabrawszy owo pismo, Joachimek więcej się nie pokazał. Czekałam na niego następnego dnia – nie przyszedł. W ogóle nie przyszedł, chyba obraził się na mnie. Było mi bardzo przykro, ale on miał prawo tak postąpić. Tu się mówiło: „Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie", albo: „Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie", ucho od mojego dzbana najwidoczniej się jednak urwało.

Kiedy dumałam skulona w kącie, obok mnie toczyło się życie, gospodyni niezmordowanie krążyła między szopą a chatą, karmiła krowy i woły robocze, podtykała buczynę i żołędzie wysokonogim świniom, rozcapierzając ręce zaganiała wrzeszczące histerycznie kury na grzędy, uginając samodziałowej zapaski, szorowała na klęczkach deski podłogi, zaczyniała i wyrabiała ciasto, mieszała w garnkach dostawionych do czerwonego żaru, tkała łomocząc ramą warsztatu. Umiała i tkać, i szyć, i haftować, znała lecznicze zioła, potrafiła wędzić sery i ubijać masło, gotować i dogadzać swoim krowom. Znikała także na całe godziny i wracała objuczona brzemieniem chrustu. Mówiła wtedy, ze zlodowaciałego śniegu obtupując buty:

– Na rozpałkę chrust najlepszy.

Była najwyraźniej dumna ze swojego gospodarstwa, z mężowej kuźni, z myszatego konika.

– Nas jedenaścioro było u ojców, a jeno dwoje przeżyło, ja i brat. Bieda taka, że ani pieśnią opiąć, ani bajką opowiedzieć, w komorze jeno myszy, na przednówku korę żeśmy jedli i lebiodę po miedzach smykali. Ja także bym uświerkła, ale mnie wzięli do dworu, na posługi do kuchni. Codziennie do syta jadłam, żur, kapustę z omastą, kaszę, i silna wyrosłam, sposobna do roboty. Jakoś pod ten czas Jan ze świata przyszedł i zaraz się zalubiliśmy. On mógł iść, gdzie chciał, bo był swój własny, nie

panowy, ale dla mnie ostał przy dworze. Dzieci wychowaliśmy, a Jana wszyscy znają, takiego kowala ze świecą nie znajdziesz, choćbyś całą ziemię obszedł.

— A wasze dzieci? — spytałam.

— Najstarszy ze zbożem z orylami[122] jeździ, retmani [123], średni przy panu Herakliuszu wojskowo służuje, najmłodszy jeszcze w terminie, ale niedługo już wyzwoliny. A córki obie wydane za godnych ludzi. Kiedyśmy panienkę znaleźli, niebożę, jak raz z chrzcin jechaliśmy, bośmy drugiego wnuka chrzcili.

Rozgadała się o dzieciach, o wnukach, o krowach, na nic się nie skarżyła, wszystko uważała za zupełnie zwyczajne.

— Jak średni na krosty zachorował, tom ani kroku od niego nie odeszła, ani w dzień, ani w noc, i zratowałam, jeno że na mnie samą słabość się rzuciła i to małe, com wtedy karmiła, skapiało. Jeszcze w gorętwie leżałam, a tu najstarszy, z pięć roków wtedy miał, szarpie mnie: „Matulu, gore!" Chałupa do gołej ziemi się spaliła, przyodziewy z nią i sprzęt wszelaki. Wtedy żeśmy całą zimę w szopie biedowali między bydełkiem. Ale kuźnia ostała, chwalić Boga. To i zratowaliśmy się, chałupę postawiliśmy, aż wszyscy zazdrościli.

Na końcu dodawała z przekonaniem:

— Dobrze żyjemy, grzech lepszego życia żądać.

— Nie ciężko wam?

— Mnie? Ale tam! Panu, powiadają, pańskie życie, a nam, prostym, proste, tak już widocznie postanowione. Albo to panienka nie widziała, jak ludzie po wsiach żyją?

— Widziałam — odmruknęłam.

— Kto jeno kwaśnicą[124] się kontentował, tego skórka od szperki cieszy, a kto marcepany jadł, tego i biały chleb w zęby kłuje — zakończyła kobieta i, dźwignąwszy oburącz ciężki ceber, wyszła na podwórze.

To właśnie były te szufladki, o których mówiłam, ludzie nie

122 Oryl — flisak.

123 Retman — starszy flisak, odpowiedzialny za stan i transport tra na rzece.

124 Kwaśnica — pożywienie składające się z posiekanych jarzyn (głównie liści kapusty) i kaszy.

buntowali się, nie próbowali uciekać, jakby nie wierzyli w możliwość ucieczki. Mnie to „dobre życie" wydawało się ciężkie, smutne i monotonne, ale co mogliby powiedzieć ci mieszkańcy chałupy pod lasem, w której nocowaliśmy, gdyby ich spytać, jak żyją? Nie wiadomo czemu, przypomniało mi się bose dziecko, w samej koszulinie biegające po śniegu, widziałam je z sań opatulona aż pod nos baranicą, usadzona na wypchanych sianem poduszkach, okręcona baszłykiem, w podbitej futrem katanie[125]. Nie chcę o tym myśleć. Będę się zastanawiała nad tymi sprawami, kiedy dojdę do ładu z sobą.

Minęły dwa dni, o Joachimku ani słychu, ani dychu.

Trzeciego dnia nie wytrzymałam:

— Niech ktoś pójdzie i powie panu Joachimkowi, że chcę go widzieć.

— Panicz zakazał go wołać.

— Co?!

— Zakazał.

— Mówił czemu?

— Nie mówił.

Ładnie go przekonałam, ślicznie się dogadaliśmy. Postąpił paskudnie i tchórzliwie, bojąc się powiedzieć prosto w oczy, że ma mnie w nosie. Kazał mi pisać ten głupi list i zostawił własnemu losowi. A ja, idiotka, wierzyłam, że Joachimek mi pomoże. Tak było ze wszystkim. Czego się dotknęłam, parzyło, w co wierzyłam — było kłamstwem.

Pójść jeszcze raz przez kopne śniegi, stracić się gdzie w bezludnych lasach, w ogóle zniknąć, przynajmniej skończą się kłopoty z jejmościanką Małgorzatą. Szkoda, wielka szkoda, że mnie znaleźli, mogli nie znajdować, tak byłoby lepiej. Ja już sama nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić.

Żebym chociaż wiedziała, jak dostać się do Warszawy! Żebym wiedziała, jak ubłagać dytka, aby zechciało się zjawić. Żebym wiedziała, dokąd mogę uciec.

Gdy smolne drzazgi zatknięte w ścianę dymią i pryskają żywicą, zaczynam chytrze badać sytuację:

— Król jest w Warszawie?

125 Katana — rodzaj kaftana.

— A powiadają, że jest.
— Daleko do Warszawy?
— Pewnie daleko.
— Ile dni drogi?
— Dużo.
— Nie wiecie, ile.
Kowal, którego wypytuję, odkłada łyżkę.
— Panicza pytaj, on był w szkołach w Piotrkowie, on uczony. My nie wiemy.
— Jakże tak?. Przecież Warszawa to stolica. Każdy powinien o niej wiedzieć.
— Może i stolica, ale nam jarmark w Woli wystarcza, co nam po stolicy?
— Tam jest zamek i kolumna Zygmunta, i Stare Miasto — wymieniam rzeczy, o których uczyłam się i wiem, że już wtedy były. — I katedra Świętego Jana. I król tam mieszka.
—Mnie na królewskie pokoje nie poproszą — odpowiada kowal wracając do łyżki. — Może urodzonym do królewskiego dworu ciekawość, ale nie mnie. Król i panowie mnie do rady nie zawołają, złotem nie udarują, ręki do pocałowania nie dadzą.
— Król Jan jest dobrym królem — oświadczam, coś mi się przypomina z lekcji historii. — Drzewa własną ręką sadzi.
— Sadzi czy nie sadzi, nam to za jedno, tak samo dudki[126] od nas wybierają, czy ten król, czy inny na tronie siedzi. Od snopów płać, od dymu płać, od czopa[127] płać, od wołu płać, wojna płać, spokój jest — także płać.
— Ale król Jan wygrał wiele bitew! — Wprawdzie pamiętam tylko odsiecz wiedeńską, ale coś mi się troi, że przedtem były jeszcze jakieś inne bitwy i chyba także zwycięskie, może z Turkami, ale wcale nie jestem zbyt pewna tych Turków.
— Królowie zawżdy wygrywali bitwy.
— Nie!
— Zawżdy! Od tego królewska osoba na majestacie siedzi.
Dałam spokój tej dyskusji światopoglądowej, okazało się, że

126 Dudki — pieniądze.
127 Czop — tu: napój alkoholowy.

kowala wcale nie interesuje osoba panującego i forma rządów. A Warszawa obchodziła go mniej więcej tyle, ile mnie Pernambuco albo Kualalumpur, dla niego leżała gdzieś na końcu świata i nie było po co zawracać sobie nią głowy.

No, a powiedzmy, gdybym jeszcze raz ruszyła w świat? Może zostałabym gdzieś panną respektową albo dwórką jakiejś możnej pani, we dworze wuja Kalasantego były dwie takie, które dotrzymywały towarzystwa wujence Zofii, poradziłabym sobie z tą rolą. Bo jeżeli nawet Joachimek tak się zachował w stosunku do mnie, to czego mam się spodziewać od tutejszej matki? Wybaczy mi? Akurat! Na pewno wymyśli coś takiego, że mi się żyć odechce.

Natchniona pomysłem ucieczki, wymykam się do szopy, głaszczę po sterczącej grzywie myszatego konika, konik szczerzy zęby i błyska wypukłym okiem.

— Konia panienka opatruje? — pyta kobieta.

— Ładny konik — chwalę nieszczerze i czuję się, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Jest mi po prostu łyso, ale przecież ta kobieta nie potrafi, na szczęście, czytać w moich myślach.

— Na oko chmyzowaty[128], ale silny. A panienka niech konia nie opatruje!

— Czemu?

— Temu, że panicz Joachimek kazał panienki pilnować. Srebrnego talara dał i kazał.

No, to już szczyt wszystkiego! Jestem więźniem w tej chałupie. Mam tutaj siedzieć, aż nie zjawią się ci, którzy mają mnie ukarać. Wpadłam w pułapkę, można to tak określić.

— My dobrze wiemy, skąd panienka jest. Z początku nie poznaliśmy, ale teraz wiemy. W kościele widzieliśmy nie raz i nie dwa. Panienka jest pani z Dębin najmłodsza córka.

Tam, w kościele, byli jacyś ludzie bez twarzy, tłum w szarych kapotach i baranicach, ale nie patrzyłam na nich, zajęta zerkaniem po rzeźbionych ławach. A oni mnie widzieli, jak z ręką owiniętą różańcem, z nabożną książką postępowałam za tutejszą matką.

128 Chmyzowaty — mały, niepozorny.

— Już o panience po całej dziedzinie gadają. Byli konni we dworze, pono ciebie szukający, zaparł się pan Joachim, gadał, że nic nie wie, tak czeladź powiadała. I po temu trzeba właśnie siedzieć, jak mysz pod miotłą.

Kobiecie musiało się zrobić żal, bo dodała już nieco łagodniej:

— W młodych latach piórkiem ptasim lecisz, tak to i jest. Niech panienka idzie obaczyć wołki, silną parę mamy, do podziwu.

Obejrzałam te woły.

— Wół szlachetniejszy od konia, bo w Stajence jeno wół był, konia nie było. Bić wołu nie wolno i złym słowem obzywać, bo wszystko rozumie.

A potem zwyczajnie zamknęła mnie w izbie na skobel.

— Niech panienka siedzi, jak jej dobrze.

Siedziałam w towarzystwie smutnego cielaka i karaluchów, które nieprzyjemnie szeleszcząc spacerowały pod piecem. Z kuźni dobiegało rytmiczne walenie młota.

Zupełnie się zakałapućkałam, jak mawia w telewizji pan Ciszewski. To było coś takiego — weszłam na solidnie wyglądającą kładkę i poszłam nią do drugiego brzegu. Idę, a kładka się zwęża. Spadam, ale jakoś się wciągam z powrotem. Najgorsze już za mną, brzeg bliziutko, tylko rękę wyciągnąć, i właśnie pod samym brzegiem — kładka się łamie. Woda głęboka i bystra, już chyba przepadłam.

Że też musiało się tak stać teraz, kiedy przemyślałam sobie mnóstwo rzeczy i postanowiłam być rozsądna. To jest niesprawiedliwie, a Joachimek jest wstrętny. Tak, wstrętny tchórz i kłamczuch!

Obok mego ucha coś cieniuteńko chichocze. Dytko! Więc jednak przyszło.

— Dytko, zabierz mnie — proszę, jak umiem najładniej. — Byłam zupełnie denna, ale mam już dosyć. Widzisz, znowu mnie zamknęli. Dytko, dlaczego się nie odzywasz?

— Bo z prawdziwą przyjemnością widzę, że ci łyso. Wy tak mówicie, prawda?

— Przestań się śmiać.

— Nie mogę. My, dytka, musimy się śmiać, kiedy przystę-

pujemy do pracy.

— Zabierz mnie stąd!

— Jesteś monotematyczna. Kiedy się widzimy, stale powtarzasz to samo. Z jednym jedynym wyjątkiem, o ile jeszcze pamiętasz. A powinnaś pamiętać.

— Jeżeli przyszedłeś, żeby wyśmiewać się ze mnie, to znikaj, ale w tempie! Nie mam czasu na głupie rozmowy.

— A ja na twoje muchy w nosie. Wy, zdaje się, mówicie, że komuś szajba odskoczyła. Ostatnio, kiedy widzieliśmy się, byłaś w zupełnie innej formie, Małgosiu. W przebojowej formie. Dzisiaj mam przyjemność obcować z panienką skruszałą jak świąteczny zając. Posłałaś mnie do diabła, pamiętasz?

— Bo byłam głupia.

— Bardzo ładnie. Czy chcesz przez to powiedzieć, że już nie jesteś?

— Samo wiesz. Ja bardzo dużo myślałam. Zabrałeś stąd prawdziwą Małgosię, żebym mogła zająć jej miejsce. Dlaczego to zrobiłeś, dytko?

— Coraz lepiej. Zdaje się, że jest taka zabawa w „zimno, ciepło, gorąco". Ciepło, Małgosiu.

— Nie mam chęci na zagadki. Odpowiedz normalnie.

— Nie chcę.

— Ja się z tobą policzę, dytko. Mów zaraz!

Obojętny na moje kontakty z nieczystymi siłami — cielaczek czochrał się bokiem o ścianę, w kuźni dalej huczał młot.

— Nigdy się nie policzysz ze mną, Małgosiu. Teraz uwaga, zdradzę coś ważnego. Ja ci także nic nie mogę zrobić, ani dobrego, ani złego, my, dytka, mamy bardzo ściśle określony zakres kompetencji służbowych.

— Mowa do chińskiego ludu przez zamknięty lufcik! Ty mnie wpakowałeś w ten cały klops.

— Figa! Wcale nie ja.

— To kto?

— Ba, zgaduj.

— Nic nie będę zgadywała. Nic! Słyszysz?

— Nie było jeszcze głuchego dytka, tak się dziwnie składa, że omijają nas dolegliwości uszne.

— Nie wydziczaj się, dytko, bardzo proszę.

— O, widzisz, jak to ładnie, kiedy prosisz. O co prosisz? Aha, żebym się nie wydziczało. Od tej chwili jestem śmiertelnie poważnym dytkiem.

— Zabierzesz mnie czy nie?!

— Nie.

— Dlaczego?

— Ile razy mam ci tłumaczyć, że nie mogę.

— No, to po co zawracasz mi głowę? Dajesz mi do zrozumienia, że możesz mnie przenieść, a potem się wyśmiewasz. — Starałam się mówić jak najspokojniej, nie zrobię temu wstrętnemu dytku takiej przyjemności, żeby się rozryczeć. Grasz nie fair, dytko. Jesteś oszukaniec.

— Zupełnie spokojnie mogłem ci proponować powrót. Z góry wiedziałem, że odmówisz.

— Nie mogłeś tego wiedzieć!

— Małgosiu, czy widziałaś kiedyś żyrafę, która jeździ na rowerze?

— Nie.

— I ja też nie.

— Co za kretynizmy!

— Phi, nic lepszego nie przyszło mi akurat do głowy. Czy już mówiłem ci o tych rogach, które rosną mi do wewnątrz?

— Masę razy. Proszę, powiedz mi chociaż, co ja mam zrobić, żeby wrócić? Ja to zrobię nawet wtedy, kiedy to będzie bardzo trudne. Jak przejść przez lustro z powrotem?

— Across the mirror[129], jak w „Alicji w krainie czarów" Carrolla. Nie, wcale nie musi być lustra. W ogóle z tymi zwierciadłami... — dytko odchrząknęło i podjęło dalej: — Zawsze wy, ludzie, zasłanialiście je, kiedy ktoś umarł. I zawsze używaliście ich do wróżb i do patrzenia w przyszłość i przeszłość. Nawet pan Twardowski... chociaż oczywiście to było zafałszowane zwierciadło. Robiliście to tyle czasu, że został powołany specjalny wydział dytek, żebyście nie czuli się rozczarowani. Jednym słowem, popyt wywołał podaż, tak was zdaje się uczą.

129 Across the mirror (ang.) — poprzez zwierciadło.

– Mnie to mało wzrusza! Ja chcę wiedzieć...

Dytko westchnęło bardzo głęboko.

– Małgosiu, ja ci robię przystępny wykład z dytkologii stosowanej, a ty uważasz to za nieistotne. Bolesne. Jest masa kłopotu z waszymi zamówieniami, myślisz, że tak łatwo namówić Czarną Damę, żeby snuła się po starym zamku, albo Borutę na straszenie w Łęczycy? Ostatnio Boruta kategorycznie odmówił, choruje na ischias i nie ma zamiaru siedzieć w wilgotnych piwnicach. Żąda centralnego ogrzewania, elektrycznej poduszki i ekstrastawek. A my nie mamy dodatkowych funduszy osobowych. Pomyśl, i to wszystko tylko dlatego, żebyście się nie rozczarowali.

– Bardzo mi przykro, dytko, ale ja chcę wracać, bez względu na wasze kłopoty. I w ogóle, po co tyle gadasz?

— Ja ci w pewien sposób pomagam, Małgosiu. To należy do moich obowiązków. Cześć, Małgosiu. Czas już na mnie.

Głos oddalał się i cichnął razem z cieniutkim chichotem, który spływał gdzieś z belek powały. Dytko odeszło, a ja zostałam w izbie zamkniętej na skobel.

Minął jeszcze jeden dzień. Byłam traktowana jak więzień. Szkoda, że nie mieli dyb albo gąsiora, mogliby mnie zatrzasnąć w czymś takim i mieć to z głowy. Ile razy kobieta wychodziła, starannie zasuwała skobel od zewnątrz, o ucieczce przez okno nie było mowy, chociażby dlatego, że to, co tutaj występowało jako okno, było na głucho zabite deskami. Siedziałam i siedziałam w towarzystwie cielaka, jadłam, kiedy mi kazali jeść, i spałam, kiedy kazali spać. Przez cały czas nadal myślałam i nadal nic nie mogłam wymyślić. Kiedy byłam u pani psycholog i tam w tej poradni wysypano przede mną masę takich kolorowych kawałków tekturki, romby, prostokąty, kwadraty, trójkąciki, trapezy, sześciokąty, kółka, coś miało z tego wyjść, ale nigdy nie dowiedziałam się co, bo po pięciu minutach odmówiłam dalszego układania.

No, więc jest tak: fioletowe trójkąciki – pewnik, że zostałam przeniesiona trzysta lat w czasie; zielone romby – zostałam przeniesiona na miejsce innej Małgosi, która zniknęła; żółte prostokąty – dytko nie może mnie przenieść; niebieskie

sześciokąty – wpakowałam się w nieklawą sytuację; czerwone koła – jeżeli się nie domyślę, co mam zrobić, zostanę tutaj na zawsze. Mam niby wszystkie elementy i nic mi z nich nie wychodzi, a raczej wychodzi zupełnie wyraźnie, że do końca życia zostanę jejmościanką Małgorzatą. I to jeszcze w dodatku jejmościanką Małgorzatą, która narobiła głupstw. Co czeka Małgosię, która narobiła głupstw?

Jakby to był serial z telewizji, właśnie teraz powinien się zjawić przepiękny kawaler, ocalić mnie od moich prześladowców, stoczyć ze trzy pojedynki (najlepiej na schodach, w telewizji prawie wszystkie pojedynki toczą się na schodach), a wreszcie, przyklęknąwszy przede mną, wyznać mi dozgonną miłość. Wtedy powinno się okazać, że kawaler jest bądź księciem występującym incognito, bądź najszlachetniejszym ze wszystkich ludzi właścicielem rozległych dóbr. Na końcu jest pocałunek i każdy wie, że wszystko się bardzo dobrze skończyło.

Ostatecznie, może być także trochę inaczej. W najdramatyczniejszym momencie powinno się okazać, że czarny charakter jest najbardziej oddanym przyjacielem, który nie zawaha się poświęcić własnego życia dla niesienia mi ratunku. Tylko kto ma być tym czarnym charakterem? Tutejsza matka? Wuj Kalasanty? Joachimek? Pan Stanisław? Klara? Dytko? Władysław? Ta kobieta, która zamyka mnie na skobel, czy jej mąż, kowal?

Zacznijmy inaczej, nie do pieca, a od pieca.

Ja, czyli jejmościanka Małgorzata, trafiłam do surowej matki, zaopatrzono mnie także w dwie starsze siostry. Tak się dziwnie złożyło, że one są biedne, a ja jestem albo mogłam być bogata. One chcą, żebym była jeszcze bogatsza, i dlatego tutejsza matka wybrała pana Stanisława na męża dla swojej Małgosi. No, chyba Dorocie znowu tak bardzo nie zależy na zaszczytach, które ją czekają jako Stanisławową... jak to się nazywa?... aha, już wiem, szwagierkę. Ponieważ kicham na pana Stanisława, zaczęłam się spotykać z Joachimkiem, potem przyplątał się Władysław i wszystko wyszło zupełnie nie tak, jak miało wyjść.

Zaraz... ale jak miało wyjść? Tego nie wiem, bo cały czas by-

łam przekonana, że to wszystko jest na tymczasem i w odpowiedniej chwili zniknę, tak samo jak się pojawiłam. Nie miałam zamiaru ani wydać się za Stanisława, ani chodzić z Joachimkiem, ani kochać się we Władysławie. A wyszło tak, jakbym rzeczywiście coś planowała przeciwko woli tutejszej matki, przeciwko małżeństwu z tym staruszkiem, przeciwko...

Jest takie twierdzenie, że każdej akcji towarzyszy reakcja. Z tego, co chciałam zrobić, i z tego, czego wcale nie chciałam zrobić, coś wyniknęło. Ale ja nie chciałam, żeby właśnie to. Miało być wesoło, miałam tańczyć, zawracać chłopcom w głowie, miały być pojedynki i galopady, brokatelowe suknie i złote kanaki, kuligi przy pochodniach i przygody jeszcze ciekawsze niż w filmach.

Były przygody i co z tego? Przygody okazały się raczej nieprzyjemne, ale jeszcze bardziej nieprzyjemne jest to, co nastąpiło po nich. Po co to wszystko? Po co, pytam?!

Kiedy wszystko mi się pomieszało i doszłam do stanu zupełnego zidiocenia, coś się zaczęło dziać. I to jak jeszcze!

Nasze własne sanie zatrzymały się przed chatą kowala, figurowała w nich — niczym skamieniały posąg oburzenia i rozpaczy — tutejsza matka, przy niej ojciec Sulpicjusz z takim wyrazem twarzy, jakby mu kazano egzorcyzmować samego Belzebuba, nawet woźnica w baraniej czapie miał minę karawaniarza.

— Wołajcie ją — rozkazała tutejsza matka.

Z największą ochotą wlazłabym za piec albo w mysią dziurę, ale nie było rady, musiałam wyjść.

Stałam przez chwilę na progu, bez ruchu.

— Ady do nóg. Do nóg pani matce. Proś, może wybaczy... — Nawet nie wiedziałam, czy to woźnica szepcze mi te dobre rady, czy to mówi coś we mnie.

Uklękłam i spuściłam nisko głowę. Zrobiło mi się nagle bardzo przykro i głupio, tak jakbym zawiodła czyjeś zaufanie albo zrobiła coś, czego się trzeba wstydzić. Chyba już bym nawet wolała dostać zaraz rózgą albo żeby ojciec Sulpicjusz zaczął egzorcyzmy. Niechby nawet ze słomy w saniach wylazł cyrulik Mikołaj z nożem do puszczania krwi i bańkami, wszystko lepsze niż ta blada twarz, zacięte wargi i oczy w

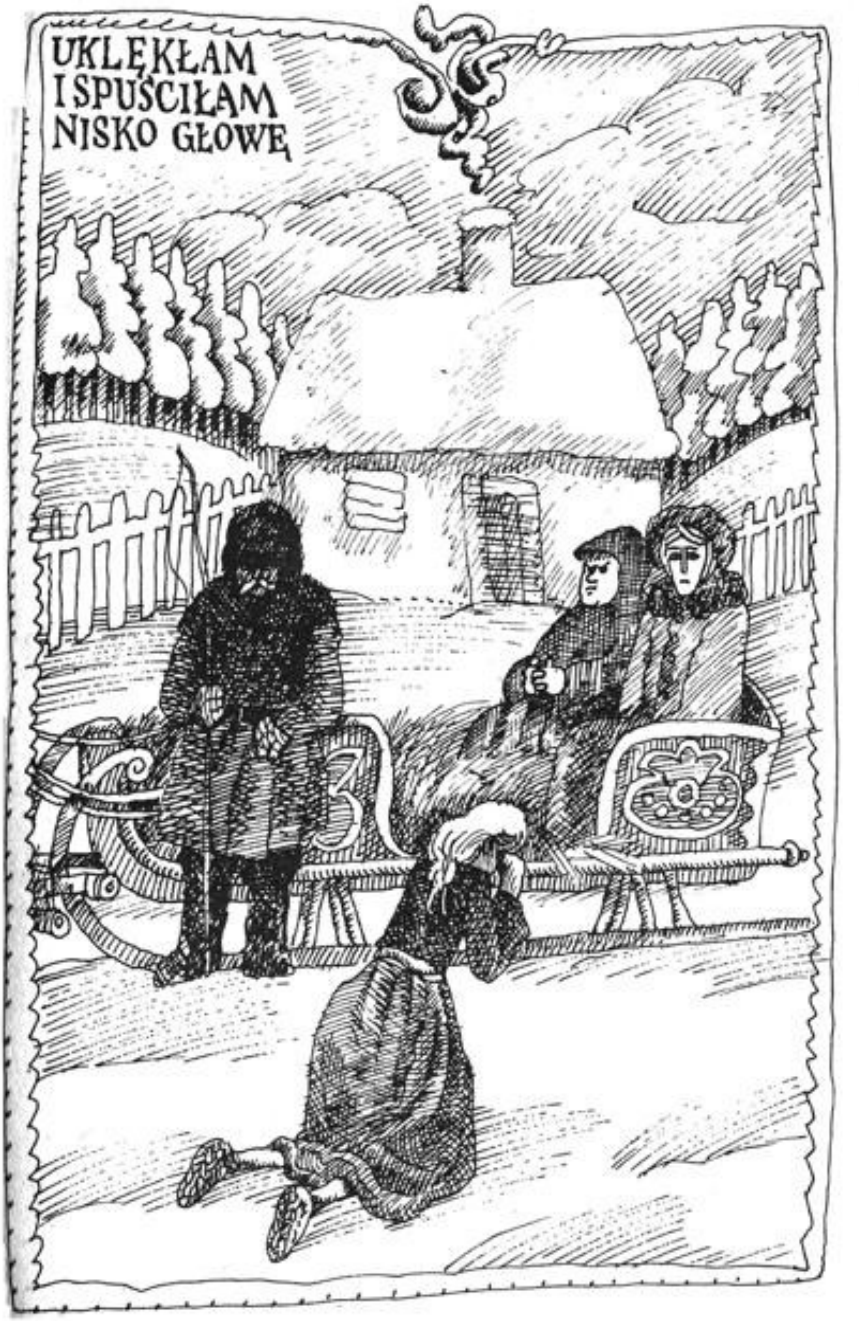
UKLĘKŁAM
I SPUŚCIŁAM
NISKO GŁOWĘ

czerwonych, opuchniętych obwódkach. Oczy, które patrzą na mnie bez gniewu.

— Wstań — rozkazuje tutejsza matka. — Bierz okrycie i siadaj z nami.

Roztrzęsionymi rękami zbieram swoje przyodziewy i bez słowa, bez spojrzenia biegnę ku sankom. Ruszamy, z kuźni jak codziennie huczy młot, małe. iskry gasną w mroźnym powietrzu.

Nikt nic nie mówi.

Na widok drzew przy podjeździe i niskiego dworku kucającego przy ziemi — serce zaczyna mi bić głucho i nierówno.

Teraz się zacznie. A może wcale nie dlatego bije mi serce? Sama nie wiem...

Bez słowa wchodzimy do sieni, niziutkiej i ciemnej, na ścianie srożą się dzicze łby i jelenie rogi.

Już jesteśmy w gościnnej sali, pod szeregiem wąsatych bohomazów, antenaci[130] patrzą na mnie ze wstrętem i oburzeniem. Matrony w robronach zdają się zbierać fałdy, chcą się chyba cofnąć w głąb swoich ram przed tą Małgosią, która teraz stoi ze spuszczoną głową i milczy.

— Jak mogłaś, waćpanna, tak matkę zasmucić? Jak mogłaś, waćpanna, niby od obcych odbieżyć, na hazard się puścić, los świetny i fortunę lekce sobie ważyć? Jak mogłaś, waćpanna, gwałtownikowi, niecnocie, wiarę dać i dla niego wszystko precz cisnąć? W Piśmie zapisane, że pierwszym obowiązkiem dziatek jest wobec rodzicieli posłuszeństwo, a waćpanna jakeś uczyniła? Krnąbrna, niecnotliwa, teraz jako syn marnotrawny zmiłowania wyglądasz i zaprawdę wielkie jest matki dobrodziejki serce, że cierpi cię, przed swoją obliczności — ojciec Sulpicjusz nabrał tchu i ciągnął dalej z głębokim przekonaniem: — Pokajaj się, waćpanna, o przebaczenie proś, kolana ugnij, bowiem wielka zmaza na tobie, taka, której żadna woda nie obmyje...

Rozpłakałam się i to wcale nie dlatego, że powinnam, a dlatego, że naprawdę serce ścisnęło mi się żalem i smutkiem.

Rozmazując po twarzy kułakiem łzy, chlipałam i chlipałam, a

130 Antenat — przodek.

ojciec Sulpicjusz ciągnął dalej:

— Trzeba wiedzieć waćpannie, że ojciec dla marnotrawnego syna tłustego cielca zarżnął, gdy syn jako nędzarz na progu stanął, i nagość jego szatą przesłonił, i z ziemi ku sobie podniósł. Waćpanna wielce zgrzeszyłaś...

Kiedy biegłam ku jaworowemu szpalerowi, była we mnie ciekawość, trochę złości, i bardzo dużo przekory. Gdybym wiedziała, że tutejsza matka będzie płakała najprawdziwszymi łzami po moim zniknięciu, może bym się zatrzymała na progu — i wszystko byłoby inaczej.

Dlaczego tutejsza matka milczy? Gdzie są Dorota i Klara? Niech ona nie płacze tak bezgłośnie. Łzy same jej spływają po policzkach, oczy ma szeroko otwarte i wpatrzone we mnie jak w kogoś obcego. Niech ona tak dziwnie nie płacze, ja tego nie zniosę.

Niech już zaczną mnie karać; jeśli chcą, to sama pójdę do ciemnej komórki, sama uklęknę, żeby dostać rózgi. Niech ona nie płacze. Ja nie chcę, żeby ona płakała.

Ojciec Sulpicjusz mówił jeszcze dużo gniewnych słów, groził mi gniewem Bożym, przestrzegał i gromił — wreszcie wytarł oblicze ogromną chustką i umilkł.

— Z serca ojcu dziękuję za Małgosi upomnienie — odezwała się bardzo cicho tutejsza matka. — Już tam cztery worki przednich krup dla klasztoru załadowane i faska ryby wędzonej. Z serca wdzięczna jestem.

— Grosz gotowy także by się przydał — mruknął ojciec Sulpicjusz.

— Ja zaraz ojcu dobrodziejowi — zamiotała się tutejsza matka, brzęknęło srebro. — Czym się odwdzięczę, nieboga, za taką dobroć...

Już nie ma ojca Sulpicjusza, jesteśmy tylko ja i moja tutejsza matka. Stoimy oko w oko, zaraz się zaczną wymówki i kary. Trudno, niech się zaczną.

Ale to, co się dzieje, po prostu nie mieści mi się w głowie. Tutejsza matka zaczyna mnie ściskać, potem odpycha od siebie.

— Małgoś, co ty narobiłaś, Małgoś? — powtarza poprzez

szloch. – Ledwom od zmysłów nie odeszła! Jeszcze jak on koń z pustym siodłem przybieżał... W boru ciebie szukali, ale gdzie! Mówili: śnieg kosteczki przysypał, wiosną wierzchem wyjdą, po lodów spłynięciu... Jak pismo przyszło, tom bez przytomności padła. Jużem myślała, że po tobie, Małgoś. Coś ty narobiła, niecnotliwa, coś ty narobiła, dziewczyno? Małgoś...

Gdybym była prawdziwą, najprawdziwszą Małgosią, nie mogłoby mi być smutniej i ciężej. Dla mnie to miała być przygoda i zabawa, a dla niej to było nieszczęście. Aktorka płacze w filmie, a potem schodzi z planu i pije oranżadę, mnie się wydawało, że ona się będzie tak na niby martwiła, ta moja tutejsza matka, teraz dopiero rozumiem, że jej rozpacz jest prawdziwa, bo tu wszystko jest prawdziwe – tylko ja nie.

– Małgoś, czemuś nie rzekła, że ci pan Stanisław nie po sercu? Przecie bym wyrozumiała. I ja nie z kamienia jestem, i ja niegdyś młoda byłam. Czemuś nie rzekła?

– Ja... ja mówiłam – krztuszę z zaciśniętego gardła.

– Coś niedorzecznie plotłaś, gadałaś, żeś obca – tutejsza matka niespokojnie zagląda mi w twarz. – Mniemałam, że to chorość, że cię mroczki złapały albo i fiksacja. Bo nie przeciwiłaś się później, gdyś do rozumu doszła. Czemu mnie Bóg taką córką pokarał, czemu? Odwróciwszy się ode mnie zastygła w bezruchu, jej zgarbione ramiona wyrażały taki bezmiar opuszczenia, że sama do niej podeszłam. Uklękłam.

– Ja już jestem inna.

Matka załamała ręce nad moją pochyloną głową.

– Za późno, Małgoś, za późno. Wszystkom czyniła, by chociaż tobie fortuna się uśmiechnęła. Dumałam: teraz kozła postawiła i gniewna chodzi, później przecie podziękuje. Przepadło twoje wiano, nie weźmie cię pan Stanisław, bo już serce odmienił i Anusię do ołtarza poprowadzi...

Anusię? Anusia jest zakochana w panu Procie. Biedna Anusia!

– Krewnych a familiantów rozeźliłaś, w piątek się zjadą, by sąd nad tobą uczynić. Rada bym cię broniła, ale nie mogę. Coś ty narobiła, Małgoś? Coś ty narobiła? Sobie i nam, niebogom...

I nie zamknięto mnie w komorze, nie zbito rózgą, nie puszczono mi krwi. Na początku za byle co tutejsza matka wymierzała

mi siarczyste pogębki, teraz przecież zasługiwałam stokroć bardziej na karę — a kara nie następowała. Był za to dziwny nastrój w tym domu, jakby pod dachem leżał nieboszczyk ze skrzyżowanymi na piersi rękami Na mój widok panna Franciszka (nie widziałyśmy się bądź co bądź prawie półtora miesiąca) załamała ręce.

— Cień jeno z Małgosi został, Boże, Boże.

Rozjojczyła się na cały dom, rumiana kucharka z kopyścią w ręce przyłączyła się do biadania panny Franciszki.

Czeladź omijała mnie lękliwie; kiedy się zbliżałam, cichły rozmowy, ludzie odwracali oczy, nie chcieli albo bali się patrzeć, jakby ta ucieczka napiętnowała mnie co najmniej znakiem czartowskich pazurów.

Okazało się, że Klara i Dorota zostały u wuja, miały ze wszystkimi zjechać w piątek. Tym razem przygotowania były niemrawe, tutejsza matka wcale nie brała udziału w obrzędach duszenia, smażenia, pieczenia i doprawiania sosów. Panna Franciszka zastygała z chochlą w prawicy i odzywała się tragicznym szeptem:

— Po co to wszystko? Jeno wstyd a sromota!

Snułam się po domu bez słowa, milcząca i zapuchnięta. Nic z tego nie rozumiałam, zupełnie nic, a przecież znałam ich dobrze i byłam prawie pewna, że sprawy potoczą się inaczej. Nie tak, jakby mi jednocześnie współczuli i odpychali.

Mimo grobowego nastroju — na ławach stygły pierniki i placki ucierane z serem, przy oknach tężały studzieniny, pasztety nabierały aromatu pod czapami smalcu, zapach prażonego grochu docierał do najdalszego zakątka dworku, nawet do naszego alkierzyka. Było tu pusto i nieprzyjemnie bez Doroty i Klary, spuszczone zasłony łóżek zdawały się kryć jakieś niebezpieczeństwo. Z łomoczącym sercem zbliżałam się i jednym ruchem odsłaniałam kotarę. Chociaż strasznie się bałam tego, co się tam kryć mogło, musiałam zobaczyć. Mrugając niemądrze powiekami, wpatrywałam się w poduchy i pierzyny nakryte kapami. Nie było tam nic, zupełnie nic. Ale już za chwilę znowu zaczynałam swoje skradanie.

— Ja chyba mam hopsa — usiłowałam zmitygować siebie sa-

mą. – Małgosiu, opanuj się.

Wokół mnie były znane ściany i znani ludzie, a mimo to byłam samotna jak nigdy w życiu.

Postaram się wytłumaczyć. Przedtem, kiedy się tutaj pojawiłam, oni myśleli jakby w innej płaszczyźnie i ja w innej – i dlatego ciągle powstawały nieporozumienia, na tę samą rzecz ja mówiłam: „czarne", oni mówili: „białe". Ale przeżyłam z nimi trochę października, listopad, grudzień i styczeń, nie wspominając już kawałka lutego, i nauczyłam się, jacy oni są, nawet w pewnym sensie przyzwyczaiłam się do nich. Wiedziałam, że pannę Franciszkę łatwo udobruchać pytaniem o kurację arcydzięglem albo o właściwości korzenia pokrzyku, tutejsza matka mimo swej surowości bywała czasami zupełnie znośna, kiedyś zawołała mnie i otworzyła swój sepecik, obejrzałam skamieniałą różę jerychońską[131], zaręczynowy pierścionek z turkusikiem, prześlicznie haftowany kołnierz, sygnet nieboszczyka męża i pieczątkę, małe cacko na łańcuszku, z wyrżniętym w drogim kamieniu herbem. Zdarzało się, że ni z tego, ni z owego wtykała nam po garści łuskanych orzechów albo po kawałku miodowego ciasta. Czasami przywoływała którąś z nas i układała nam włosy, poprawiała perłowe czółka, strzepywała niewidzialne pyłki z fałd sukni. Jednym słowem, miała ludzkie odruchy i w takich chwilach można ją było prawie lubić. O Klarze już mówiłam, że mimo nieustannego zrzędzenia i humorów bywała wielkoduszna, a Dorota... Dorota była zupełnie fajna, nawet ją wolałam niż Jolkę, Aśkę, Irminę czy inne dziewczyny z klasy. Te kobiety stąd złościły się na mnie, miały do mnie pretensję, ale śmiałyśmy się razem, śpiewałyśmy, pracowałyśmy, mieszkałyśmy pod tym samym dachem i ja, taka czy inna, byłam dla nich ich własną Małgosią, której wprawdzie można i należy złoić skórę, ale która jest ważna. A teraz chodzono przy mnie na palcach, milcząc, jakbym przestała być ich Małgosią, a stała się czymś obcym i niepojętym niczym hipogryf[132] albo

131 Róża jerychońska – roślina, która po przekwitnieniu wysycha, tworząc rodzaj kuli.

132 Hipogryf – koń skrzydlaty, pegaz.

zamorski rinoceros[133], o którym panna Franciszka twierdziła z mocą, że takie zwierzę istnieć nie może, boby wystawiało złe świadectwo Stwórcy.

Zapukałam do głucho zawartych drzwi.

— To ja, Małgosia. Można wejść?

— Nie — odpowiedział schrypnięty głos zza drzwi. — Nie.

Już położyłam rękę na klamce i nie zdecydowałam się jej nacisnąć. Chciałam opowiedzieć tutejszej matce o groźbach Władysława, o mojej nierozsądnej chęci przeżycia wielkiej przygody, o słowach szeptanych w tańcu i w zakamarkach wielkiego dworu. Może gdybym to opowiedziała, tutejsza matka potrafiłaby zrozumieć. Gdybym opowiedziała tak, jakby to zrobiła prawdziwa Małgosia... Ale nie weszłam tam i nic nie zostało powiedziane.

I dalej snułam się między milczącymi ludźmi, sama milcząca; w byle jak narzuconym kożuszku szłam do serowni, do kurnika, do owczarni, na strych spichlerza, gdzie wisiały wory z upraną wełną. Wynajdywałam sobie różne prace, na pewno zupełnie niepotrzebne i bezsensowne, doszło do tego, że zatęskniłam za wieczornym haftowaniem. Mogę dziubać złotymi nitkami te cholerne kwiatuszki i listki, ale niech wrócą dawne wieczory z dukaniem żywotów świętych, z piosenkami, bajkami, z medycznymi wykładami panny Franciszki.

Te kilka dni — do piątku — rozciągały się jak pasma świeżego miodu. Każdego ranka wydawało mi się, że nie wytrzymam do wieczora, miałam ochotę wyć głośno. Nocą nie mogłam zasnąć, wpatrywałam się w ciężkie fałdy kotar, w księżycową poświatę za szparami okiennic, wreszcie przed trzecimi kurami przysypiałam ciężkim snem, pełnym majaków i zwidów. Żeby się czymkolwiek zająć, powtarzałam sobie szeptem wiersze, rozwiązywałam w pamięci zadania, przypominałam wzory z chemii i twierdzenia matematyczne, odmieniałam czasowniki przez osoby, czasy i strony, układałam długie ciągi rosyjskich i angielskich słówek, wyliczałam królów z dynastii Piastów i Jagiellonów oraz monarchów elekcyjnych.

To mnie uspokajało.

133 Rinoceros — nosorożec

Aż wreszcie zajechały przed podjazd pierwsze sanie, na ganku stanęła tutejsza matka w głębokiej, wdowiej czerni i powitała przyjezdnych.

Zjechało się mnóstwo ludzi, cały dziedziniec zastawiły sanie, konie — ze łbami w worach pełnych obroku — czekały cierpliwie, aż je znowu zaprzęgną. Zwisające z dachów lodowe sople cieniały i kapały kroplami wody, nad tym wszystkim świeciło zadzierżyste słońce, już wcale nie zimowe, prawie wiosenne, pyzate i złote. Wróble ćwierkały nad końskim pomiotem.

Przesunęły się obok mnie Klara i Dorota, obie z ciasno splecionymi warkoczami, ubrane jak po stracie kogoś bliskiego.

— Małgosia — powiedziała cicho Dorota. — Małgosia...

Za nimi jak gradowa chmura sunął wuj Kalasanty, guzy przy jego kontuszu płonęły nie gorzej niż lutowe słońce.

Szwagier Stanisław (tu mówiło się: „Stanisław z izby, Stanisław do izby", bo było to najpopularniejsze imię; może dbał o to możny ród Kostków, który wydał z siebie niedawno świętego tego imienia, może inna była przyczyna, ale co drugi mężczyzna miał na imię Stanisław) prześliznął się po mnie niewidzącym spojrzeniem. Aż wreszcie — z jękiem janczarów, trzaskaniem z bicza, z orszakiem konnych — zjechała najważniejsza persona w rodzie, pan Kazimierz, powinowaty wprawdzie daleki, tak jak odległa jest tajemnicza planeta Jowisz od mizernej Ziemi, ale najbogatszy, najbardziej wpływowy, najlepiej skoligacony, obdarzony tubalnym głosem do nader mizernej postury. Kiedy wystawił stopę z sań, dwaj hajducy rzucili się do pańskiej osoby i nie tyle pomogli wysiąść, ile go raczej wynieśli i postawili na stopniach ganku.

Przytulona do ściany czekałam w rozgwarze powitań i pogaduszek, aż zacznie się to najistotniejsze.

— Trzeba dobrodziejowi memu szczególnemu wiedzieć, że ów Drohostański prosto z Wysokiej Porty jedzie.

— I co powiadał?

— Pono z wiosną ruszą czambuły i sułtańscy, niech jeno step trawą porośnie, tedy pójdą nie zwlekając.

— Już nieraz zęby o Kamieniec kruszyli, tak i teraz skruszą.

— Król z wielkim płaczem o pieniądze woła.

— To nie nowina. Zaciężnym, kwarcie[134] i regimentom cudzoziemskim płacić nie nastarczysz.

Panowie przepili, przekąsili i rozmowa toczyła się dalej.

— Nie lepiej to było pradziadów modo[135] pospolite ruszenie zwoływać? Nie w smak mi owe porządki, gdy defensorem [136] przed nieprzyjacielską nawalnością kwarta i zaciężni. Niepewny to żołnierz!

— We Francji jeno tacy są, szlachty tyle, co przy osobie króla jegomości, a rzec nie można, wojenny pan i zwycięstwo zawżdy przy nim.

— Waćpan dobrodziej o Francji mi nie praw, u nas, w Polszczę, zawżdy inny moderunek[137] i mores[138]. Jeno szlachcic, żołnierz prawy i królowi jegomości o tym świadomo, bowiem usaria u niego w największym zachowaniu.

— Nawet ćwiczona piechota przed impetem usarii nie ustoi, chociażby i strzelba była, i co tam z kartaczy[139] do pomocy.

Kielichy krążą coraz szybciej.

— Waćpanom dobrodziejom wielce mnie osobliwym dobrze usarię wychwalać, aleć ja syna do dragońskiej chorągwii promowałem.

— Przez co tak?

— A przez ekspensa niezmierne. Zważcie sami, dobrodzieje wielce mi miłościwi, zbroja i skrzydła, hełm z nanośnikiem, rząd bojowy i paradny, i to, co się końskiego rynsztunku tyczy. Do tego dery dwie, jedna tyftykowa[140], rękawice z siatki, oręż jako to: koncerz[141] dwuręczny, drzewo okuwane i czekanik [142]

---

134 Kwarta — stałe wojsko zaciężne.

135 Modus (łac.) — sposób

136 Defensor (łac.) — obrońca.

137 Moderunek — ekwipunek, zwłaszcza żołnierski.

138 Mores (łac.) — obyczaje.

139 Kartacz — pocisk artyleryjski

140 Tyftyk, dyftyk — kapa na konia, najczęściej jedwabna, barwy szkarłatnej, przetykana złotem

141 Koncerz — broń biała o prostej, długiej głowni przeznaczona do kłucia.

142 Czekan — broń mająca kształt osadzonego na lasce toporka z młotkiem; także rodzaj siekierki z zagiętym ku dołowi końcem, służącej do ściągania jeźdźca z konia.

sposobny. Dodajcie, waćpanowie dobrodzieje, siodło i łupież [143] lamparci, ale i to ekspensów nie koniec. Koń pod usarza ma być wybrany, tchu głębokiego, chodów wysokich, siły niepożytej, a do niego przydać trzeba dwa luzaki i konia pod pachołka. Mało jeszcze? Moderunek dragoński za dziesiątą część nawet nie stanie.

— Już byś, asan, biedą w oczy nie świecił. Pono gdzie w loszku beczułka dukatów zatajona.

— Żarty prawe waćpanów! Skąd do mnie dukaty? Ot, kiedym miał jechać, niewiasta pocznie mi głowę suszyć, żeby dla jejmościanek kornety przywieźć...

Tutejsza matka nie brała udziału w rozmowach, tylko krążyła niestrudzenie pomiędzy familiantami, podsuwała, częstowała, pstryknięciem w palce nakazywała czeladzi dopełniać kielichy.

— Rogate się dziewki poczyniły, przyjdzie stać nad kiecką z kijem, bo do rozumu ani trafić. Nie z innej przyczyny tuśmy się zjechali.

(To wuj Kalasanty).

— Waćpan, jako słyszałem, w opiece majątki siostrzenicy miał?

— A miałem.

— Tedy sądzić wypada, że dziewka pod waćpana dobrodzieja wzrastała opieką, pod jego dachem.

(Nie wiem, kto pyta.)

— At, waćpan nie wiesz, że siostra moja jako jasrząb o córki zazdrosna. Aniby dala.

— Gadają, że waćpan nigdy nie pytał, czy da, czy nie da. Dopiero jak termina wyszły i czas się był rachować.

— Łgarstwo! Gadaj, kto tak paskudnie bresze, a po łbie naznaczę, jak mi Bóg miły.

— Nie alteruj się, waćpan.

— Nie będziesz przecie, waćpan, z byle gołowąsem na udeptanej -ziemi stawał.

Zrobiło się zamieszanie, każdy coś krzyczał, nic nie można było zrozumieć, aż nareszcie ze zgiełku huknął wuj Kalasanty głosem potężnym jak miedziana trąba:

143 Łupież — skóra, futro.

– Ja cudzego nie ruszam, a kto inaczej gada, łże jak pies!

Potem wszystko się uspokoiło, głosy ucichły, zadźwięczało szkło kielichów. Mogłam stać przy tej swojej ścianie nawet do późnej nocy, nikomu nie byłam potrzebna. Bałam się ukryć w naszym alkierzu, gdzie czekały Dorota i Klara, bałam się czeladnej, serowni, stajni i spichlerza. Wszędzie tam byli ludzie, z których każdy mógł wskazać mnie palcem i powiedzieć: „To nad nią sąd czynią". Już wolałam stać w kącie, nie widziana i niepotrzebna, pośród tych wszystkich obcych głosów, przywarta czołem do ściany, jejmościanka Małgorzata czekająca na wyrok.

Panna Franciszka, ani spojrzawszy, zamyka drzwi do sali, głosy cichną.

– Idź stąd, durna – popycha mnie jak najdalej od zamkniętych drzwi. – Czemu tak ze swoim wstydem na oczach ludzkich stoisz? Idź stąd i czekaj.

Nie odchodzę. Sama nie wiem, czemu nie odchodzę, ale wydaje mi się, że tu jestem najbezpieczniejsza. Co oni ze mną zrobią? Co zrobią?

Nie potrafię powiedzieć, ile czasu przestałam pod dziczymi łbami i łopatami łosi. Ściemniło się, smuga słoneczna na ścianie przygasła.

Drzwi zamkniętej sali uchyliły się, na progu stanęła tutejsza matka.

– To ty? – zapytała, jakby mnie nie poznając. – Wołaj Klarę i Dorotę.

Uchyliłam skrzydło drzwi od alkierza i powiedziałam szeptem:

– Matka do siebie każe.

One szły pierwsze, a ja trzy kroki za nimi, z nisko opuszczoną głową niczym skazaniec na ścięcie. Widziałam kiedyś taki film i wiem, jak idzie się do katowskiego pnia. I ja szłam tak samo.

– Ponieważ o losach jejmościanek postanawiamy, trzeba, abyście były przytomne. Pokrótce rzecz wyłożę; primo, wolą nieboszczyka dziada waszego cały spadek na najmłodszą był cedowany, której na chrzcie dano imię Małgorzata. Secundo, owo wiano przez wuja waszego, w przytomności świadków,

było onej Małgorzacie oddane ante[144] matrimonium, co w intercyzie spisano. Tertio, rzeczona Małgorzata ciężki uczyniła despekt dobrodziejom swoim, bowiem z ich domu z wolą własną wykradziona bez błogosławieństwa rodzicielskiego, podstępnie i z rozmysłem z amorantem swoim wymieniony spadek zagarnąć zamierzała. Quarto, ustalono przepytując pracowitego Wojciecha i urodzonego Mateusza w służbie rzeczonego amoranta rzeczonej Małgorzaty pozostających, iż panna ni krzykiem, ni błaganiem, ni w inny sposób dysgustu nie okazywała, jeno z własnej woli za gachem szła. Quinto, na prośby rodzicielki rzeczonej Małgorzaty zjechaliśmy się pospólnie i uradziliśmy, jako z losem onej panny i z wianem jej należnym postanawiamy. Wstańcie, waćpanny, i słuchajcie uważnie, bowiem wielkiej wagi to sprawy.

Tę prelekcję wygłaszał pan Kazimierz, najpoważniejszy i najmajętniejszy spośród zebranych. Dla bliżej nie znanych powodów, mimo dalekiego powinowactwa, raczył się nie tylko zjawić, ale i przewodniczyć obradom rodzinnego konwentyklu[145]. Na jego wezwanie Klara i Dorota porwały się z miejsc i stanęły nieomal na baczność, ja oparłam się o poręcz zydla, czułam się niepewnie i głupio, wszystkie oczy wpatrywały się we mnie.

— Rzekliśmy już, jako ustalono, iż ciężko obraziła rzeczona Małgorzata macierz swoją i krewnych, a przy nich najgodniejszego człeka, który jej rękę i serce ofiarował. Bóg zrządził, że konsolację znalazł w związkach innych, mniemać należy, szczęsnych i fortunnych. Że zaś postępek niewstydny i wszeteczny pod dachem wujowym się dokonał, jeszcze bardziej rzeczoną Małgorzatę obciąża. To ustaliwszy pytamy w przytomności całej familii, wszystkich obecnych: mają li słowo jakie usprawiedliwienia, które by znane nam nie było?

Kiedy oskarżał mnie Joachimek, kiedy tutejsza matka płakała bez szlochu, kiedy Klara i Dorota przechodziły obok mnie, zbierając fałdy sukien i pochylając głowy, kiedy panna Franciszka łamała ręce — czułam naprawdę ciężar swojej winy. Dałabym

144 Ante (łac.) — przed.

145 Konwentykiel — narada.

dużo, nawet bardzo dużo, żeby wszystko można było zacząć od nowa, teraz nie byłabym taka głupia i bezmyślna. Ale słuchając oskarżenia wyrażonego zawile i pokrętnie, widząc rozczerwienione od trunku i gniewu twarze niemiłych i nie znanych zupełnie ludzi — poczułam bunt. Wcale nie było tak, jak przypuszczali. Co oni mogą wiedzieć o Małgosi, którą — nie wiadomo dlaczego — przeniesiono o trzysta lat? Co mogą wiedzieć o tej nocy, kiedy brnęłam w kopnym śniegu przez śpiący las? Co mogą wiedzieć o tych myślach, które mnie dręczyły w chacie kowalów? Oni w ogóle nie mają prawa, nie powinni mnie sądzić.

Jakby przypuszczając, że teraz zacznę płakać i nie powiem nic w swojej obronie, dostojny krewniak ciągnął dalej:

— Słusznym się wydaje przy takiej winie słuszną wymierzyć karę...

Kiedy mu przerwałam, tak się zdumiał, że zastygł z nie najmądrzej rozdziawionymi ustami.

— Chcę tylko spytać, czy wiadomo waćpanom, żem sama od prześladowcy swego zbiegła i salwowałam[146] się ucieczką, z życia własnego narażeniem?

Tutejsza matka poruszyła się niespokojnie, zrozumiałam, że to ona miała zabrać głos w moim imieniu, ale było mi wszystko jedno. /

— Chcę także rzec, iż mnie o zamęście z panem Stanisławem nie spytano, a obecna tu pani matka i siostry nie zaprzeczą, żem zawsze o nim z niechęcią mówiła i wszelakimi sposobami od tego związku stroniłam.

— Tego już za wiele! — krzyknął wuj Kalasanty. — Słyszane to rzeczy, by dziewkę kto o zdanie w takiej materii pytał?

— Może i niesłyszane — odpowiedziałam nie dając zbić się z tropu. — Jeno słusznym mi się wydaje, żeby spytano. I skoro wiecie wszystko o moim kawalerze, ja to tylko przydam, żem się co do osoby pomyliła, bo fałszywy był to przyjaciel, człek podły i bez czci, co uznawszy, zaraz ucieczkę postanowiłam.

Tutejsza matka chlipnęła. Zastanowiłam się błyskawicznie. Co ona by 'jeszcze mogła powiedzieć, ta prawdziwa Małgosia?

146 Salwować — ratować, ocalać.

— Widzi mi się także, że anieli mnie ratowali w ciężkiej opresji, a to by się żadną miarą nie stało, gdybym tak grzeszną i występną była, jako waćpanowie mi prawicie. Ja się winy nie odkażę, aleć może i nie tak znaczna ona, jak się wydaje.

Mówiłam głośno i wyraźnie, patrząc im prosto w oczy, jak prawdziwa Małgosia, jeśliby stała przed nimi. Nie takie to wszystko proste, jak się wam wydaje. Łamcie sobie teraz głowy nad tym, czy dziewczyna ma prawo sprzeciwiać się woli rodziny, czy nie ma. Przecież i wy macie córki, siostrzenice, krewniaczki, zastanówcie się nad tym, waćpanowie, co mówię, ja, jejmościanka Małgorzata. Posłuchajcie, zobaczcie, że się wcale was nie boję, bo ja się boję czego innego — smutku i rozpaczy tych, którym jestem bliska.

To oczywiście nie zostało powiedziane, ale tak myślałam sobie, stojąc pod rzędem bohomazów w ramach obłażących z niezręcznie nałożonej pozłotki.

— Białogłowa pyskata samego diabła przegada — westchnął ktoś. — Bardzo misternie waćpanna to wywiodłaś, szpakami jejmościanka karmiona, nie inaczej.

Ale inni byli najwyraźniej oburzeni tym, że ośmieliłam się odezwać.

— Nie dziwna nam kolera waćpana, ja bym takiej dziewki zuchwałej ani dnia nie ścierpiał!

— Obraza rodzica nieboszczyka waszej miłości by to była, jakby legat takiej nicpotem się dostał!

— Ja tak samo mniemam.

— Nieboszczyk mój rodzic charakteru był impetycznego, krew by go chyba zalała, żeby wiedział, co z owego dziecięcia wyrośnie, które swoim dobrodziejstwem obdarzył. Do zdania waszych miłości się przychylam. Niechby i na msze owe wsie poszły za duszę rodzica mego albo klasztorowi jakiemu się dostały.

— Można by po famili rozdzielić, każdy potrzebujący, po co cudzych szukać? — wtrącił kulący się za najpoważniejszymi członkami rodziny mizerny szlachcic ze smutno obwisłymi Wąsami, chyba ten sam, który mówił o niezmiernych kosztach wyposażenia husarza.

— At! — odmachnął z niechęcią wuj Kalasanty.

— Asanowie mowni ogromnie — zniechęcił się dostojny pan Kazimierz. Użył lekceważącej formy „asanowie", krewniacy spurpurowieli w poczuciu zniewagi. — Dajcie mi rzecz do końca prowadzić, skoro wy sami mnie do przedłożenia jej obligowaliście.

— Wasza miłość bacz, żeśmy krewni, a nie byle kto — odważył się któryś na uwagę.

— A owszem, owszem. Waszmość z tych Orłowskich, co nie pod chmurami, a w kurniku — zarepłikował kwaśno wuj Kalasanty i dodał pouczająco: — Miejsce swoje znać należy i z racjami przed pierwszym się nie pchać.

— Coś, waćpan, rzekł?

— To, coś, asan, słyszał — wuj Kalksanty wyraźnie opowiedział się po stronie pociotka Kazimierza.

— Veto! — krzyknął mizerny wąsacz. — Tu kardynalne pryncypia wolności gwałcą. Głosu naszego słuchać nie chcą!

— Gardłuj, asan, na sejmiku.

— Veto!

— Jać kreski od asana nie wezmę.

— Bo i nie dam.

— Dużo ja stoję o asana veto. Jak postanowimy, tak i będzie.

— Pókim żyw, nie zezwolę!

Zacietrzewieni krewniacy zupełnie zapomnieli o nas, kłócili się krzykliwie i ze złością.

— Kiedy kto w chudopacholskim stanie, niech gardła po próżnicy nie zdziera!

— Taki dobry mój klejnot, jako i waćpana, bo cale nie inny. Równiśmy urodzeniem i głos mój takoż ważny.

— Zamilczże wreszcie, hetko!

— Ja hetka, ja?!

— Nie kto drugi.

— Veto!

— Słuchać paskudnie.

— Umitygujcie się, waćpanowie — usiłowała się wtrącić tutejsza matka.

— Gdybym wiedział, jaki mi tu dyshonor uczynią, anibym

myślał jechać – rozżalił się nagle dostojny pociot, pan Kazimierz. – Z miękkości serca zjechałem, by wdowie pokrzywdzonej i sierotom pomóc, a...

Nie dane mu było skończyć kwestii. Wuj Kalasanty przerwał mu w pół słowa wymianę zdań z mizernym wąsaczem i zapytał złowieszczo:

– Kto ta wdowa pokrzywdzona, kto te sieroty? Racz się, wasza miłość, dokładniej eksplikować[147], bo cale nie pojmuję.

— Już nie kto inny, jak siostra dobrodzieja i waćpana siostrzanki – odcedził chmurnie pociot. – Dużo by o tym gadać.

– Ja żądam!

– Żądać to, waść, możesz od swojej czeladzi, nie ode mnie, jam waćpanu nie człek poddany.

— Widzę, że jaszczurcze języki nie próżnowały, ale ja potwarzy cierpieć nie będę!

Gdyby to był film, już by ręce chwyciły za rękojeście karabel, ale ja dobrze wiedziałam, że tu nie dzieje się nic tak, jak w filmach.

– Nie udawaj, waćpan, Katona, mości Kalasanty dobrodzieju. Ludzie gadają, a swój rozum mają. Pono nic nie było w testamencie, żeby ów legat ante matrimonium na spadkobierczynię cedowany był. Waćpan sam ów warunek wymyślił.

Wuj Kalasanty wzniósł obie dłonie w górę, biorąc niebo za świadka tak nikczemnej potwarzy.

– Miałem białogłowie słabego zdrowia, dziateczkami obarczonej, taki kłopot ostawić? Na trud nie zważając, sam opiekę sprawowałem i taka mnie wdzięczność spotyka?!

– Ja przecie nigdy... – zaczęła tutejsza matka.

– Tedy zaprzecz, waćpan, że przy zarządzie onych wiosek i fortunka grzeczna przyszła, i urząd, i estyma[148]. Może by siostra dobrodzieja też jakoś te kłopoty przeniosła z wielkim dla siebie pożytkiem – syknął pan Kazimierz. – Gadają szeroko, że waćpani dobrodziejka sama snopy wiąże niby jaka chłopianka...

147 Eksplikować – tłumaczyć, wyjaśniać.

148 Estyma – poważanie, szacunek.

— Raz, raz to tylko było. Przed burzą — jęknęła tutejsza matka czerwieniejąc, łzy stanęły jej w oczach. — Czeladzi skąpo...

— Toż ja i mówię — widocznie utytułowany pociot uznał pocisk wymierzony w wuja Kalasantego za zbyt słaby, bo jeszcze dodał: — A skoro postanowienie, co do kary dla jejmościanki Małgorzaty, uczynione jest i przyjęte, rzeknij no, waćpan, czy przy sobie posagowe wioski zostawiasz?

— Ja? — ledwo wykrztusił wuj Kalasanty. Ja?

— Waćpan, nie kto inny. Drugiej córeczce na wiano się przygodzi, kiedy pierwsza pół waćpanowej majętności bierze.

I tu stało się coś dziwnego. Z tylnych szeregów nieważnych krewniaków wyrwał się urągliwy, nienawistny chichot i nim przebrzmiał, wuj Kalasanty wyskoczył na środek sali, zdecydowanym ruchem szarpnął złocisty żupan pod szyją, mignęła gwiazdka kosztownej zapinki i zadźwięczała na deszczułkach podłogi, a wuj — niczym Rejtan z obrazu Matejki — rąbnął się kułakiem w obnażoną pierś.

— Tu jeno jest prawda! — krzyknął nienaturalnie wytężając głos, wyszło więc coś w rodzaju koguciego piania, a nie groźnego wrzasku. — Tu, nie gdzie indziej! Niech bierze te wioski, kto chce, ja o nie nie stoję. Bierz je, siostro, kiedym ci krzywdzicielem, bierz...

— Ale, żebyście waćpanowie testament nieboszczyka rodzicą mego obalili — odezwała się nad podziw rozsądnie i spokojnie tutejsza matka. — Jam niegłupia stracić i tę resztkę, po trybunałach się włócząc. Bo kiedy Małgosia nie... — tu przypomniało jej się najwidoczniej całe nieszczęście z nieudaną córką i rozpłakała się w głos.

— Ja na cudze nie chciwy — wtrącił chudeusz z wąsami. — Ja tam po trybunałach sądzić się nie będę.

— Ani ja — zawtórował krewniak o burakowoczerwonych policzkach i takimż nosie, dotąd milczący.

— I my nie.

— I ja.

— Tedy sam widzisz, że żadnych przeszkód nie będzie. Przepisuj, mości Kalasanty, testament na tamte dziewki, my nie zaprzeczymy.

— Siostra nie zechce — jęknął wuj Kalasanty z równą rozpaczą, jak i nadzieją.

— Ja nie zechcę? Ja?! To brat dobrodziej mnie nie zna. Zechcę, byle tylko waćpanowie podpisali, że się prawować nie będą, jeszcze jak zechcę!

Po słowach tutejszej matki zapadła długa cisza. Miałam wrażenie, że pan Kazimierz doskonale się bawi trzaśnięciem pułapki, do której chytrym manewrem wpędził wuja Kalasantego. Mniej ważni familianci, żując końce zawiesistych[149] wąsisk, przypuszczalnie zastanawiali się: czy próbować wytargowania czegoś dla siebie, czy rozkoszować się klęską wuja Kalasantego. W końcu zdecydowali się na to ostatnie.

— Kanclerska zaiste głowa u waszej miłości — pochlebił chudy wąsacz. — Tak waćpan dobrodziej nasz osobliwy rzecz rozsądziłeś, że król Salomon z zazdrości by się rozpękł, jakby go rzecz doszła.

— Koloryzujesz, waćpan — uśmiechnął się utytułowany pociotek, pan Kazimierz, z taką miną, jakby jadł najsłodszy miodowy piernik.

Drzwi nagle otworzyły się i do sali Wkroczyła panna Franciszka niosąc flaszkę z inkaustem, świeżo zacięte gęsie pióro i czystą kartę. Nigdy bym nie podejrzewała panny Franciszki o podsłuchiwanie pod drzwiami, ale fakt pozostaje faktem — musiała podsłuchiwać, skoro zjawiła się właśnie teraz i właśnie niosąc to wszystko.

— Kacper! Podjeżdżać! — huknął wuj Kalasanty w przestrzeń i próbował rzucić się desperacko ku drzwiom, ale liczne ręce wczepiły mu się w wyloty kontusza.

— Ależ, waćpan, ależ, dobrodzieju, tak się nie godzi. Mamy spisywać...

Przy tej całej awanturze — zakończonej nieoczekiwanie nawet dla jej bezpośrednich uczestników — zupełnie zapomniano o przewinach jejmościanki Małgosi. Pierwszy przypomniał sobie o tym mizerny wąsacz.

— A co z oną? Rzekną jej wasze miłoście, cośmy postanowili

149 Zawiesisty — zwisający, opadający ku dołowi.

pospólnie, czy nie rzekną?

Po raz wtóry wezwano nas do powstania i pan Kazimierz zaczął powtórnie oracją. (Co prawda, żadna z nas nie usiadła, bo nikt nie powiedział, że można usiąść).

— Kiedy wiarołomna Helena precz od poczciwego Menela ja zbieżała z Parysem, amorantem swoim wszetecznym, wojna się poczęła, bowiem nie ścierpiał Menelaj takiego despektu, jaki mu uczyniono. Kiedy nadobną dziewkę Persefonę Hades w czeluście porwał, macierz jej na ziemię noc wielką zesłała i, jako czytamy u starożytnych autorów, przez trzy lata ziemia nie wydawała plonu.

Potem nastąpiło jeszcze wiele przykładów zaczerpniętych z mitologii i dziejów starożytnych, aż wreszcie orator przeszedł do sedna rzeczy:

— Tak więc postanowiliśmy, by rzeczona Małgorzata wiana została zbawiona. Tak osławionej dziewki w zamęście nikt poczciwy nie weźmie, przeto najsłuszniejsza jest, by do klasztoru się szykowała, pod mniszym welonem przebaczenia upraszać. Tedy matkę rzeczonej Małgorzaty zobowiązujemy i prosimy, by nie zwlekając rzeczoną Małgorzatę do nowicjatu oddała, bowiem dalsze pozostawanie w świecie jeszcze większą zmazę i osławę przynieść jej może.

No i już. Wymyślili. Jejmościanka Małgorzata zostanie zakonnicą. Czy to miało na myśli dytko? Pycha pomysł — nie ma co! Do końca życia odmawiać pacierze za kratą i nigdy nie dowiedzieć się, jak można stąd uciec. Nie chcę! Mam tego dosyć. Chciałam być tutejszą Małgosią, chciałam się postarać, żeby mnie polubili — ale na to się nigdy nie zgodzę. O, tyle mnie wsadzicie do klasztoru!

Gdy wyrok został ogłoszony, Dorota rzuciła mi się na szyję.

— Małgoś, Małgoś!

A tam, nie potrzebuję takiego głupiego współczucia, trzeba było mnie ściskać i skrapiać łzami, kiedy czekałam na jakieś dobre słowo. Jak wszyscy są tacy — to i ja będę taka, dosyć tych pomysłów z wzorową jejmościanką Małgorzatą. Małgosia z ósmej klasy lepiej potrafi sobie radzić, nawet w tym życiu, niż jejmościanka Małgorzata. No i już nie będzie jejmościanki

Małgorzaty – obejdzie się. Psychozabawy typu: „powiedz mi, jaka jesteś, a my ci powiemy, co z tego wynika", są dobre w „Filipince" i „Na przełaj", ale nie tutaj.

Wyrwałam się z objęć Doroty (wcale nie kryję, że zrobiłam to szorstko i brutalnie), runęłam w drzwi i, pozostawiając za sobą jęczące schody, pobiegłam na strych. Tam zaszyłam się wśród pajęczyn, połamanych gratów, nietoperzy i kłębków kurzu. Proszę bardzo, niech mnie szukają albo niech mnie nie szukają, wszystko jedno.

Spodziewałam się czegoś w tym stylu jak zamknięcie w klasztorze. Z ich punktu widzenia byłam winna. Ale spodziewać się, a mieć pewność, że tak się stanie, to dwie zupełnie różne rzeczy. Dobrze pamiętałam, jak przy wieczornym przędzeniu tutejsza matka opowiadała: taka to a taka kuzynka została zamknięta w klasztorze – za płochość, za nieposłuszeństwo, za nieposzanowanie postanowień rodziców, a najczęściej dlatego, że nie bardzo wiedzieli, co z nią zrobić. Wtedy zawsze zostawało jedno wyjście – mnisi welon.

Czy to nie śmieszne, że na mojej krzywdzie korzystają tutejsza matka, Klara i Dorota? Wreszcie mają te wioski, to sławne Małgosine wiano. Pewno Klara i Dorota wyjdą za mąż, a tutejsza matka będzie komenderowała liczną czeladzią, zbierała o ileś tam kop żyta więcej, sprzedawała drzewo budulcowe i sprawi sobie kolaskę na pasach, obijaną wewnątrz czerwoną kitajką [150] (taka kolaska była wielkim marzeniem mojej tutejszej matki, parę razy wspomniała o tym).

Może im będzie nawet smutno i przykro, że Małgosia zniknęła z ich życia, ale szybko się pocieszą. Powiedzą: „to dla jej dobra", i zjadą na te moje... ob... obłóczyny – bo tak się chyba nazywa chwila, kiedy przywdziewa się na zawsze zakonny habit – spłaczą się ze wzruszenia i odjadą do swoich spraw. Mimo wszystko są inne niż ja i nie wiem, jak mogłam przypuszczać, że się z nimi dogadam. Nie dogadam się.

I dlaczego niby mam przepraszać Boga? To straszne, od rana do wieczora odmawiać pacierze, modlić się bez ustanku, do śmierci, wypraszać sobie przebaczenie na tamtym świecie.

150 Kitajka – gładka, lśniąca tkanina jedwabna.

Jeszcze żeby na tym, ale na tamtym! Ja... ja nie mogę. Ja nie potrafię robić czegoś, co nie ma sensu.

Od kurzu kręci mi się w nosie, kicham i rozmazuję po twarzy brud i pajęczyny. Dlaczego znowu płaczę? Nie powinnam płakać.

A na dole rozpoczyna się duże i solidne pijaństwo. Część familiantów odjechała, część zasiadła do zastawionego stołu, aż pod belki strychu donoszą się korzenne wonie juszek, aromat pieczystego i pasztetów. I coraz głośniejsze stają się nie tyle rozmowy, ile wrzaski biesiadujących.

— W waćpana ręce perswaduję!

— Do dna, do dna!

— Bóg trójcę lubi, nie odkazuj się waćpan od trzeciego.

— Gorzałki nie zaszkodzi węgrzynkiem zakropić.

— Naleweczka, buzi dać!

— Jeszcze po jednym, dobrodzieju mój osobliwszy, jeszcze po jednym.

Nad moją głową zwisają śpiące nietoperze, rządkiem, jeden obok drugiego, nieruchome, owinięte w ciasno złożone skrzydła, stygną belki nagrzane w dzień przez słońce, robi się zupełnie zimno, przez dymnik wchodzi na strych noc, gwiaździsta i spokojna.

A na dole wrzeszczą i całują się z rozgłośnym, mlaskaniem. Teraz huk, to chyba któryś z podochoconych biesiadników zwalił się jak podcięte drzewo.

— Wodą lejcie, wodą — słyszę głos panny Franciszki. — I na siano do świronka[151].

— Małgosi gdzie nie baczyłaś?

To tutejsza matka przypomniała sobie o wyrodnej córce. Pewno ma być jeszcze raz zaprezentowana podpitym krewniakom albo już zaraz zamknięta w komórce, słusznie, trzeba się przyzwyczajać do zamknięcia.

Przytajam się jak mysz pod miotłą.

Ale ona już wspina się na schody strychu (bardziej zresztą przypominające drabinę niż schody), wchodzi po szczeblach w swoim rozłożystym czepcu i ogromnej spódnicy, już ją widzę

151 Swironek — magazynek, spichlerzyk.

wychyloną do pół ciała z ciemnego otworu, niejasno majaczy w mroku.

– Małgoś, gdzie jesteś?

Przywieram całym ciałem do jakiejś skrzyni, chcę być sama, nie zejdę za nic na dół.

– Małgoś...

Coś takiego jest w jej głosie, że wysuwam się ze swojej kryjówki.

– Małgoś, córko, nie deliberuj. Ty za kratę nie pójdziesz, boby ci serce pękło. Już jakoś to urządzę. Pójdziesz do nowicjatu, Boga przeprosisz, a potem się powie, że powołania nie masz. Małgoś, nie bucz. Małgoś...

Głaszcze mnie po głowie, pociesza. Ona naprawdę kocha tę swoją Małgosię i chce dla niej jak najlepiej. I kiedy pod rzędem nietoperzy ściskamy się, przez dymnik zagląda zaciekawiony księżyc.

– Takie szczęście, Małgoś, takie szczęście. – Ona ma na myśli ten spadek, który zamiast mnie, przypadł Klarze i Dorocie.

– Nie bucz – chyba jest pewna, że płaczę nad swoją głupotą, nad utratą bogatego narzeczonego i majątku.

– Nie bucz, tobie też krzywdy nie będzie. Zostaniesz przy mnie, jeno swoją pokutę odbędziesz.

Ładnie z jej strony, że – mimo gości i tego wszystkiego – odszukała mnie na strychu. I ładnie z jej strony, że już myśli o tym, aby ten klasztor był trochę na niby; jak w historyjce o koziołku Matołku, gdzie kat walił biczem w skórzany worek, a rzekomo chłostany krzyczał z całej siły, aby było wiadomo, że bicie jest w najlepszym gatunku. Umiem to docenić. Nawet nie przypuszczałam, że ona potrafi zdobyć się na taką wielkoduszność.

– Małgoś, pomnij, że osława jako smoła do człeka przylega. Już ty, moje niebożę, przyjaciela nie znajdziesz, kto by cię teraz brał? Oj, dziewczyno, dziewczyno, pstro w głowie, a potem przez całe życie płacz. Idż, Małgoś, do alkierza, nie siedź tutaj, najgorsze myślenie w samotności się lęgnie. Idź, proszę. Ja tam do was przyjdę, niech jeno ta kompania od stołu wstanie.

Ponieważ nie jest pewna, czy rzeczywiście zejdę, nie puszcza

KREWNIACY RYCZĄ
COŚ ŻUBRZYMI GŁOSAMI...

mojej ręki. Dobrze, mogę zejść, jak jej na tym zależy. Nawet mogę pójść do alkierza.

Przemykam się obok drzwi sali, krewniacy ryczą coś żubrzymi głosami... Daję nurka na panieńską stronę.

— O Jezu, Małgoś! — porywa się ku mnie Dorota. — Jak ty wyglądasz, niebożątko?!

Przeglądam się w zwierciadle. Chyba nie mogłabym stanąć do konkursu na Miss Świata. Oczy spuchnięte, policzki obrzmiałe, włosy skudlone, pełne kurzu i pajęczyn, ślady brudnych paluchów na twarzy, z lewej brwi zwisa mi nieokreślony szary farfocel, a roba wygląda tak, jakbym się w niej przeciskała przez rurę kanalizacyjną.

Ni z tego, ni z owego przypomina mi się moje pierwsze spotkanie z nimi.

Wpadłam wtedy znienacka do alkierza, a one stały z takimi minami, jakby się co najmniej napiły octu siedmiu złodziei.

— To jeno z usmolenia — tłumaczę, wycierając twarz, i dodaję w porywie lekkomyślnej wielkoduszności: — Strasznie się cieszę, że macie wreszcie to wiano. Naprawdę!

Po krótkim milczeniu Klara pyta głosem pełnym zdziwienia:

— Nie żal ci? Ani ździebko ci nie żal?

— Nie.

No i zaskoczyłam je, punkt dla mnie.

— Kiedyś przyjdzie taki czas, że nikt się nie będzie oglądał na majętności i koligacje, jeno na to, co w głowie i w sercu — mówię jeszcze. — I ja chcę żyć w takim czasie, a nie w innym.

— Kiedy to będzie? Może i nigdy. Póki świat światem, każdy za majętnością goni, inaczej być nie może. — Klara mnie nawet nie karci, tylko tłumaczy łagodnie. — Kto majętny, poważanie ma, ludzie go szanują.

— Eee...

Wpatrują się we mnie z uwagą, ale już bez poprzedniej świętej grozy. Chyba im kładziono w głowę, że szatan naznaczył mnie znakiem ognistej racicy, a szpetota moralna zniekształciła mi rysy. Teraz same widzą, że jestem taka jak dawniej, i już się nie boją.

— Małgoś, coś ty uczyniła? — pyta mnie dramatycznym szep-

tem Dorota, źle ją słyszę przez te wrzaski ucztujących krewnych którzy wykonują chóralnie coś niezmiernie krzykliwego. – Miłowałaś ty go chociaż, Małgoś?

– Nie.

— To czemu?

— Wy tego nie zrozumiecie. Chciałam do Warszawy.

– Do Warszawy?! – pytają obie razem takim tonem, jakbym im wyznała, że chcę odwiedzić Sodomę z Gomorą (podobno były takie miasta, gdzie oddawano się wyłącznie rozpuście, coś o tym słyszałam).

– Tak.

— Ale czemu?

— Bo chcę tam mieszkać.

— W Warszawie? – upewniają się.

– Tak.

– Doigrasz się, Małgoś! Jużeś się doigrała.

– To prawda. Doigrałam się, ale zupełnie inaczej, niż myślicie.

– O czym ty gadasz?

– Już ja wiem, o czym gadam. Dlaczego się nie cieszycie? Dorotka, skocz do ciotki Franciszki, przynieś placka, orzechów, miodu. Zrobimy sobie bal. Proszę, zrób tak, Dorotka.

— Z czego się radować? Tobie nie do śmiechu, jeno do łez bliżej, to i dla nas uciechy być nie może. My o tobie dużo gadałyśmy, Małgoś, jakeś zbieżała. Trudno cię wyrozumieć. Powicher w tobie jakiś siedzi. Za czym ty gonisz?

– Nie wiem – odpowiadam uczciwie.

To znaczy wiem, ale nie mam żadnej pewności, czy moje marzenia mogą się spełnić. Bo ja mam teraz jakby dwa życia, swoje i tej drugiej Małgosi. Dla tej drugiej Małgosi chciałabym, żeby jej się jakoś ułożyło tutaj, żeby nie musiała pokutować przez całe życie za swoją głupotę i, skoro trzeba koniecznie wyjść za mąż, żeby wyszła za kogoś takiego, jak Joachimek. To jest pierwszy plan, jeżeli się założy, że mam zostać do końca życia tutejszą Małgosią. A dla prawdziwej siebie chciałabym, żeby wróciło najzwyczajniejsze życie, mama, szkoła, stopnie i wszystko, co kiedyś wydawało mi się takie nudne. Okazuje się,

że wszystko zależy od tego, skąd się patrzy. Widziane stąd – moje dawne życie wydawało mi się ciekawe i barwne jak rajski ptak, nikt mi niczego nie zabraniał, mogłam robić, co chciałam, uczyłam się wielu interesujących rzeczy, decydowałam o swoich sprawach. I w ogóle. Więc moim największym marzeniem jest powrót.

– Nie wiem – powtarzam.

A potem innym tonem:

– Dorotka, przez bokówkę do czeladnej aby krok. Poproś ciotkę o ciasto i orzechy. Sama bym poszła, ale ciotka mi nie da, bardzo na mnie gniewna.

W sieniach tupią podkute buty, to wywlekają kolejnych biesiadników na siano, pachołcy bez żadnych względów taszczą urodzonych, ciągną ich po schodach. W sali cichnie potępieńczy śpiew, widocznie śpiewacy znużyli się i zasypiają z głowami na stole, pośród ogryzionych kości i kałuż rozlanego węgrzyna.

– Ciotka każe nam do czeladnej – szepce Dorota.

Jest zdyszana, biegła szybko, ja też wiem, że pannie nie uchodzi pokazywać się ucztującym mężczyznom. To bywa niebezpieczne. Zdarzało się już, że rozbawieni biesiadnicy strzelali z pistoletów do panieńskich obcasów. Z bliżej nie znanych mi powodów uchodziło to za doskonałą rozrywkę. Oczywiście bywało, że trafiano nie w obcasy, a w samą pannę.

Przemykamy się pod rozświeconymi oknami, odtopiony dniem śnieg ściął się chrzęszczącą, lodowatą skorupką. Jest piękna, księżycowa noc.

Panna Franciszka postępuje krok w moją stronę.

– Skoro pani matka jejmościance winę zapomniała i wybaczyła, ja sroższa być nie mogę. Wiem tyle, ile ludzie gadali, aleć ludziom zawsze się utroi nawet to, czego żadną miarą być nie mogło. Nie dąsaj się, Małgoś, na mnie, ja ci tam nie jestem wrogiem, jakże, na rękach cię piastowałam, lekowałam w chorościach, bliska mi jesteś jak rodzona. Tym większą boleść mi sprawiłaś, bom cale inaczej o tobie trzymała.

Kiedy ktoś tak mówi do mnie, zaraz się rozklejam. Uczciwie mówiąc, nie zawsze byłam taka „łatwa do wzruszeń”, to się

zrobiło dopiero tutaj.

Na rogu stołu panna Franciszka zastawia małą ucztę, nie brakuje i dzbanka syconego miodu. Dziewki służebne patrzą na rumiane placki, na korzenne sosy i łykają ślinę.

— Mogę o coś prosić? — pytam.

— Proś śmiało.

— Zezwólcie im z nami do stołu — zataczam krąg ręką, zamykam w nim wszystkich. — Przecie to radosny dzień!

— Jaki tam dzień, noc prawa — burczy panna Franciszka, ale nie sprzeciwia się, niech tam już będzie, ona także cieszy się ze szczęśliwej odmiany losu, zawiesi sobie przy pasie jeszcze z pięć ogromnych kluczy, bo tak się należy w zamożnym domu.

— I nie dla wszystkich radosny. Nie dla wszystkich.

Ci ludzie nie pojmują powodów mojego rozradowania. Ja sama jeszcze dobrze nie pojmuję, ale czuję się lekko i swobodnie. Choćby dlatego, że mimo wszystko, jak się okazało, mogę się dogadać z tutejszą matką, z siostrami, z panną Franciszką wreszcie. Nie są wcale takie złe i zakłamane, to raczej świat, w którym żyją, jest nie najlepiej urządzony, a one muszą się stosować do praw tego świata. I ja, prawdę powiedziawszy, też nie jestem takim kołeczkiem do lubienia, narozrabiałam jak królik w sałacie, co zrobię, wszystko jest zupełnie nie tak.

Teraz najważniejsze, aby się przekonali, że ja rzeczywiście się cieszę, że nikomu nie zazdroszczę. To jest zresztą najprawdziwsza prawda, niech sobie mają to, czego chciały, niech już nie rozpamiętują swoich krzywd, niech się wreszcie cieszą i śmieją.

— Wasze zdrowie — mówię podnosząc ku górze kusztyczek miodu. — W wasze ręce.

— Oj, Małgoś, Małgoś! Statku za grosz.

Ślicznie, wy jesteście stateczne, ja już nie muszę. Najśmieszniejsze, że dzięki mnie spełniły się wasze marzenia. Jakbym była stateczna, posłuszna i rozsądna, nikt by nie zobaczył tego wiana oprócz pana Stanisława, a mogłabym przysiąc, że pan Stanisław obróciłby trzy razy każdy grosz w palcach, nimby go wydał. Widzicie, zdał się na coś mój niestatek! To dobrze, że przynajmniej wam się przydał, bo mnie fatalnie zaszkodził. Ciekawe, czy siwowłosa i godna jejmość Małgorzata w ogóle bę-

dzie pamiętała, że położyła się na tapczanie po awanturze ze swoją mamą. Było cicho, na narzucie błyszczał czerwony kamień ujęty w maluśkie złote łapki...

Wzdycham głęboko.

— Ty, Małgoś, jeno uciechę udajesz, a na wnątrzu coś cię dusi. Ja to jasno widzę, Małgoś.

Panna Franciszka ma rację. Jakoś układzają się sprawy jejmoscianki Małgorzaty, ale sprawa Małgosi nie posunęła się ani o krok naprzód. Jestem taka sama mądra jak tego dnia, kiedy nagle znalazłam się przed zmatowiałą powierzchnią zwierciadła w rzeźbionej ramie.

Robi mi się nagle nieznośnie smutno i ciężko. Już wcale nie jestem wesoła, nie mogę być równocześnie jejmościanką Małgosią i sobą, cieszyć się za tamtą Małgosię, a martwić za siebie samą.

Przesuwam się do drzwi, ten ruch zaniepokoił pannę Franciszkę, Klarę i Dorotę.

— Małgoś, dokąd to? Zostań z nami!

Uśmiecham się.

— Parol, że nim pacierz minie, będę z powrotem. Nic się nie bójcie, nie ucieknę.

Zgadzają się, żebym wyszła, tylko Dorota robi taki ruch, jakby chciała pobiec za mną. Panna Franciszka kładzie jej rękę na ramieniu.

— Niechaj. Trzeba czasem wytchnąć od ludzi. Sama to wiesz, że trzeba.

Wędruję przez podworzec, konie przy saniach, okryte derkami, zdają się drzemać spuściwszy łby, pachołcy zakopani w słomie i grochowinach chrapią rozgłośnie, to trochę wygląda jak obóz przed bitwą zalany stężonym księżycowym światłem.

Dlaczego idę na drogę? Na tę samą drogę, gdzie spodziewałam się kiedyś przystanku pekaesu, a zobaczyłam pierwszy wóz zaprzężony w woły. Na tę drogę, gdzie spotkałam Joachimka. Pamiętam, jak się wystraszyłam psa, nawet uciekałam, bo byłam pewna, że ścigają mnie wilki. Na tę drogę, którą powiozły nas sanie do dworu wuja Kalasantego. Jak się wtedy cieszyłam na te bale, kuligi i już nie pamiętam na co.

Idę tą drogą po obmarzniętym śniegu, nade mną strzelają w niebo kolumny topoli, wierzby stroszą macki gałęzi, otwierają paszcze dziupli. Co kryje się pośród białego próchna? Księżyc przesuwa się powoli między gwiazdami, teraz wiem, że tą drogą dochodzi się do rozstajów, gdzie pochyla się krzyż, od krzyża odsieb, to znaczy w prawo, droga prowadzi do wujowego dworu, k sobie, czyli w lewo, na młaki[152], tam jest podobno jakaś wieś, a w topielach kryją się bobrowe żeremia i żyją łosie o szerokich łopatach. Ja już wszystko wiem, jestem prawie tutejsza, może niedługo zapomnę o prawdziwej sobie?

Wstaje się z poranną zorzą, w zimie i jesienią ta poranna zorza jest głęboką nocą, coś się przejada, i do roboty. Dużo tej roboty i prawie cała należy do kobiet i dziewcząt. Mężczyźni jeżdżą z wizytami, rozprawiają o sprawach publicznych, piastują urzędy i służą w wojsku, a my pracujemy, pracujemy i pracujemy. Czasami można potańczyć, raz na tydzień zajechać przed kościół, czasem pogadać z gościem, który przybył niespodziewanie. 1 ja tak będę żyła przy boku tutejszej matki, kiedy odbędę pokutę w klasztorze. Teraz rozumiem, dlaczego odejmuje się i chowa koła od karety, którą przyjechał ktoś ze świata. Gdzieś toczą się wielkie sprawy, więc dobrze chociaż dowiedzieć się o nich, jeśli nie można zobaczyć na własne oczy.

Znam prawie na pamięć swoje przyszłe życie, to znaczy przyszłe życie jejmościanki Małgorzaty. Pewno któregoś dnia przejrzę się w zmętniałym lustrze i zobaczę męczeńskie wykrzywienie warg, takie samo jak u Klary. I będę mówiła wiele o statku i obyczajności, i zacznę wyszywać drugą kapę na ołtarz, bo ta pierwsza chyba za rok czy dwa zostanie Wreszcie zahaftowana do końca.

Trudno. Poddaję się. Nic już nie wymyślę. Sądzę, że to jest kara, jaką mi wymierzono za to, co zrobiłam. Kara polega na tym, żebym się pogodziła z moim losem, przyjęła cudzą skórę za własną. Była taka bajka o królewnie zaklętej w obrzydliwą ropuchę, dytko mi oszczędziło wyglądu ropuchy, co do reszty zaś me powiem, żeby mnie rozpieszczało, chociaż oczywiście mogłoby być dużo gorzej.

152 Młaka — bagnisty, podmokły teren.

W bajce, rzecz jasna, szpetna ropucha została odczarowana i przemieniła się w prześlicznej urody królewnę. Mnie nikt nie odczaruje, jeżeli ja sama nie potrafię wpaść na pomysł, jak się odczarować. Przepadło. Trzeba się pogodzić z losem. Kiedy rozbitek trafia na bezludną wyspę, najpierw za wszelką cenę próbuje się wydostać, a później układa sobie życie, buduje dom, pitrasi pożywne dania z orzechów kokosowych, oswaja ośmiornice, żeby mieć towarzystwo. Z tymi ośmiornicami to lekka przesada, ale reszta się zgadza.

Nigdy w życiu nie widziałam takiego księżyca, wygląda jak srebrna łódź płynąca przez rzekę gwiazd. W jego świetle wierzby przybierają jakieś fantastyczne kształty, wyjeżdżona droga zmienia się w srebrny szlak, trochę strumień, trochę dywan, aż nie wierzę, żeby to była ta sama droga, która prowadzi do rozstajów.

Trzeba wracać, dałam parol, że zaraz przyjdę. Tu mówią „szlacheckie słowo — nie dym", a ja dałam to szlacheckie słowo.

Coś wilgotnego i ciepłego zarazem dotyka mojej ręki.

Duży pies łasi się i kręci ogonem, prosi, żeby go pogłaskać. Ja znam tego psa. To pies...

— Nie gadam ze zdrajcą! — Jeszcze Joachimek nie zdążył do mnie podejść, kiedy głośno, ze złością powiedziałam, co o nim myślę. — Nawet nie zbliżaj się do mnie!

— Cóż to waćpannie?

— Kto mnie ostawił samą? Kto mnie uczynił więźniem? Kto?!

— Małgoś, miarkuj się! Przecie tak trzeba.

— Odbieżałeś mnie w potrzebie!

— Dur na ciebie padł. Żadnym sposobem nie odbieżałem, jeno nie chciałem, by podejrzewali, żeś od jednego amoranta do drugiego trafiła. Czy ty rozumu sama nie masz?

Obojętność Joachimka płynęła z chęci uchronienia mnie od dalszej obmowy. A ja, głupia, myślałam... Tak, jasne, on ma rację!

— Słyszałem od ludzi, że cię do klasztoru przeznaczyli. Prawda to, Małgoś?

— Prawda.

— To jako będzie...

— Z czym?
— Z nami.
Przecież nie mogę mu powtórzyć obietnicy tutejszej matki. Ale on musiał być niespokojny o mnie, ten Joachimek, jeżeli krążył w pobliżu naszego dworku przez cały dzień i dowiadywał się, co postanowiła familijna narada.
— Małgoś, kiedyś tego wiana zbawiona, żadnych przeszkód nie ma, przódzi aniby ci pani matka za mnie pozwoliła iść. Teraz pozwoli, żeby nie ten klasztor. Pamiętasz, cośmy sobie dziećmi będąc ślubowali?
Nie pamiętam, bo nie mogę pamiętać cudzych ślubowań, ale uśmiecham się do srebrnego od księżyca Joachimka.
— Rodzic mój na przeszkodzie nie stanie, bo u niego jedno pragnienie, żebym folwark po nim brał. Bracia wojskowo stale sługują, ani im w głowie szablę na pług mieniąc. Bylebym doma ostał, rodzic pozwoleństwo da. Więc jako będzie, Małgoś?
— Dobrze będzie — odpowiadam w imieniu jejmościanki Małgorzaty.
Teraz jest trochę jak w najprawdziwszej bajce, wszystko zaczyna się układać dużo lepiej, niż można było przypuszczać. Kto chciał dostatków — otrzymał dostatki, kto chciał Joachimka — dostanie Joachimka, kara nie będzie surowa, da się żyć. O, proszę! Jejmościanka Małgosia jest ucieszona, nawet bardzo ucieszona, pies gorliwie macha ogonem, jakby chciał powiedzieć: „jak to dobrze, że się cieszycie". Księżyc świeci prosto na nas, martwym, srebrnym światłem.
— Tedy to już na wieki, Małgoś.
— Na wieki, Joachimie — mówię poważnie i nawet trochę surowo. — Możesz mi ufać, jak sobie samemu.
Na palec Joachimek wkłada mi pierścionek z czerwonym kamieniem, w księżycowym blasku kamień wygląda niby zakrzepła krew. Rubin. Wtedy także wpatrywałam się w rubin...

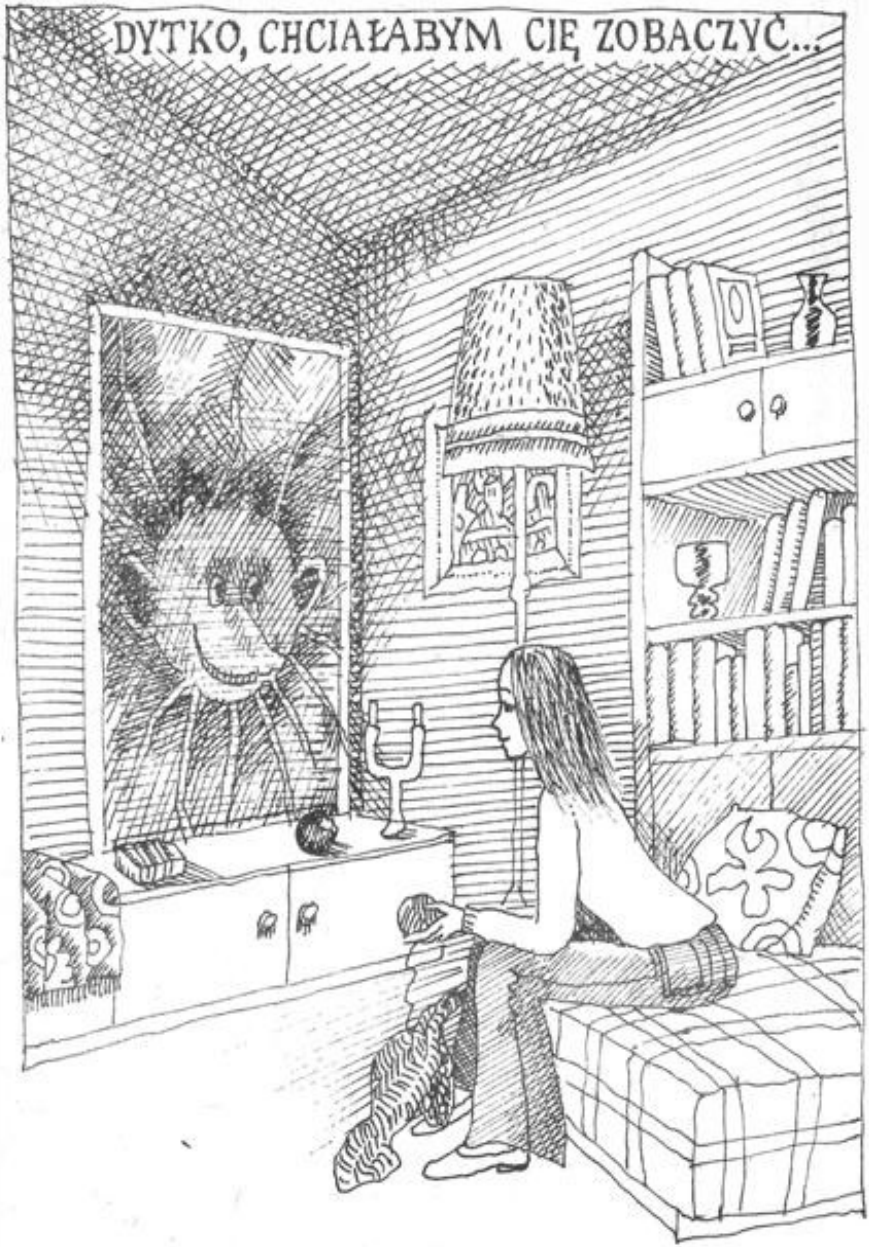
DYTKO, CHCIAŁABYM CIĘ ZOBACZYĆ...

Lampa, tapczan, regał?!...

Dotykam swoich włosów, twarzy, rąk. Odbicie w lustrze: proste, długie włosy, golf, dżinsy. Ja chyba oszaleję! Jestem z powrotem.

Ja... ja chyba wróciłam.

Czyjeś kroki na schodach, wyskakuję jak szalona, rzucam się mamie na szyję:

— Mamo, jesteś, mamo...

Płaczę i śmieję się na przemian, mama odsuwa mnie łagodnie.

— Przecież mówiłam wczoraj, że mam zebranie, Małgosiu, co się stało?

— Nic, nic. Tak się cieszę...

Więc ta moja wielka przygoda trwała tyl o jedną noc, tak by wynikało z maminych słów.

Odbieram mamie siatkę z zakupami.

— Usiądź, odpocznij. Ja zrobię kolację.

Bez żadnego trudu staję się sobą, wiem wszystko: gdzie stoi puszka z herbatą, gdzie szukać noża do pokrajeni.i bulki, gdzie maselniczka. Zdumiewające, ale wiem nawet, że dzisiaj do kanapek mają być wędzone szprotki.

Chce mi się; tańczyć, śpiewać, fikać koziołki. Zastanawiam się przez chwilę, czy powiedzieć coś o moich przygodach mamie. Nie, nie powiem. Po pierwsze nawet mama nie mogłaby w to uwierzyć; po drugie, nie mam się specjalnie czym chwalić. Może tylko Joachimkiem, ale na zdrowy rozum wziąwszy, nie wiadomo, czy Joachimek kochał się we mnie, czy w tej drugiej, ja mu nawet nie pasowałam do wspomnień i w ogóle do wszystkiego. W dytka też mi nikt nie uwierzy, bo czy ja sama wierzę w dytka?

Krzątam się wokół stołu, rozstawiam talerzyki i nie mogę się

nadziwić, że mama przyjmuje to wszystko jako rzecz najzupełniej normalną. Dawniej, kiedy zgodziłam się wynieść śmieci, było to prawdziwe święto.

— Byłaś na treningu? — pyta mama.

Ja miałam być na treningu? Nigdy nie chodziłam na żadne treningi, mama doskonale o tym wie.

— Mhm — odpowiadam zagadkowo, wolę o nic nie pytać.

— Trochę się boję, że to niebezpieczne — mama nabija szprotkę na widelec. — Ale z drugiej strony, jeśli trener napisał, że masz wyjątkowy talent i już w lecie weźmiesz udział w mistrzostwach...

W mistrzostwach? Ja .wezmę udział w mistrzostwach?!

Biedna mama, wszystko jej się pokręciło, nie ma rady, trzeba będzie jej wytłumaczyć od początku.

— To nie... — zaczynam, ale mama przerywa mi pytaniem:

— Kupiłaś cukier w kostkach dla gniadosza?

Głupieję doszczętnie. O ile zfozumiałam, mamę to pyta o jakiegoś konia, którego miałam nakarmić cukrem w kostkach. Zdaje się, że dytko zdrowo sobie z nas zakpiło. Mnie wpakowało w tarapaty, a biedną mamę zabawiało problemami hodowli koni i namawiało ją do kupowania cukru w kostkach.

— Poczekaj, ja ci zaraz opowiem...

— Chodzi ci o tę włóczkę, Małgosiu? Wiesz, miałaś rację, ona jest rzeczywiście w bardzo dobrym gatunku. Kupiłam trzydzieści deka — mama wyciąga z torby.kłąb seledynowej włóczki, kładzie przede mną. — To jak zawsze będzie niespodzianka, zgadłam?

— Niespodzianka? — pytam nie swoim głosem.

— Zawsze mówisz, że niespodzianka — wyjaśnia pogodnie mama. — Dawniej nie lubiłaś tego, jak to nazywałaś: dłubania, a teraz jestem zdumiona twoją pracowitością. Ciocia Halina była zachwycona rajstopami. Powiedziała, że ci sama podziękuje.

Mama miesza herbatę.

— Widziałam dzisiaj w Desie, na wystawie, podobny haft jak twój.

— Ten złotą nicią? — chrypię. coś mi zaczyna świtać.

— Tak. To był bardzo stary haft. O muzealnej wartości. Nieraz się zastanawiam, skąd też ci takie rzeczy przychodzą do głowy.

To nie mnie przychodzą do głowy, tylko jej. TEJ DRUGIEJ. Już wiem, gdzie ona była.

I wiem także, dlaczego mama nie okazała zdziwienia ani radości na mój widok, to przecież zupełnie normalne, rozstałyśmy się rano, jak codziennie. Tylko że ja, to wcale nie byłam ja. Rany gorzkie z pierożkami! Święta Kordulo, o której z takim przejęciem dukała Dorota! Coś ty narozrabiało, dytko?!

Takie historie zdarzają się w kryminałach i w sensacyjnych filmach, kogoś już nie ma, nie żyje albo uciekł, a ktoś inny go zastępuje i mnóstwo osób może przysięgać, że widziało tego człowieka, którego nie ma.

Ale żeby dytko wpadło na taki pomysł, świat się kończy!

Więc ona była mną, tak jak ja byłam nią. Bardzo ślicznie wymyślone. Ciekawe, czy ona zachwyci się. tym, co zastała po powrocie, może jej złamałam życie albo coś w tym sensie.

Bo ja już widzę, że ona miała mnóstwo zalet, chyba będę musiała wziąć się poważnie za haft i inne ręczne roboty, żeby nie stracić dobrej opinii. Aha, są także treningi. Mam nadzieję, że nie w pchnięciu kulą ani w szermierce, obie te dyscypliny budzą we mnie wyraźną niechęć. Ale w szkole... Co jest w szkole?

Ochłonąwszy nieco ze zdumienia, starałam się udawać, że nic się nie stało. Mama nie martwiła się moim zniknięciem — to najważniejsze. Za to ci dziękuję, dytko. Serdecznie dziękuję. Reszta jest mniej ważna.

Bardzo długo siedzę w wannie, woda wyraźnie robi się szarawa. Nie kąpałam się od momentu pojawienia się w pokoiku za salą gościnną. Nawet u wuja Kalasantego nie było

zwyczaju kąpać się bez żadnego powodu, kuzynki wycierały się pachnącymi wódkami i to starczało za kąpiele. Ważnym powodem usprawiedliwiającym kąpiel — poza Wielkanocą — było przyjście na świat albo wyjście za mąż. No, może prezentacja na królewskim dworze także zezwalała na moczenie się w wodzie.

Pachnąca, czysta całuję mamę i zasypiam snem bez żadnych majaków.

Do szkoły idę ze strachem. Wierzę, że jejmościanka Małgorzata mogła z talentem odegrać rolę dobrej córki, ale nie mogę uwierzyć, że dawała sobie radę w mojej ósmej c.

Kto jak kto, ale ja wiem doskonale, że Małgosia była kompletnym nieukiem, ona nie potrafiłaby nawet dodać ułamków, a co dopiero uczyć się innych, dużo trudniejszych rzeczy. No, zobaczymy, jak mnie wpakowała.

Już na wstępie dowiaduję się, że zabawa kostiumowa, którą pomagałam organizować, była najbardziej udaną zabawą, jaka kiedykolwiek odbyła się w naszej szkole. I że to był klasa pomysł ten taniec ze świeczkami, fotograf zrobił zdjęcie do tygodnika, numer będzie w czwartek. Dekoracje także były klasa, szczególnie pomysł z portretami. Pani dyrektorka mówiła, żeby nie zdejmować dekoracji, może się ściągnie telewizję albo co. A może weźmiemy udział w konkursie „Sztandaru Młodych", tylko że ten konkurs jest przeznaczony dla szkół średnich, a nie dla podstawówek.

Po drugie, okazało się, że już się nie przyjaźnię z Jolką. Jolka przesiadła się do Irminy i nawet nie spojrzy na mnie. Ja siedzę z taką jedną Agnieszką i, jak wynika ze wszystkich znaków na niebie i na ziemi, jestem jej najlepszą przyjaciółką.

Po trzecie, stopnie mam takie sobie, ale ogólnie rzecz biorąc, niezłe. Wcale nie gorsze niż przedtem.

I jestem w kółku historycznym. Ja w kółku historycznym, też pomysł!

Po czwarte, przeczytałam przez ten czas masę książek. Cały

Sienkiewicz, Kraszewski, Bystroń, Łoziński, powieści Łopalewskiego, „Piotr Pierwszy" Tołstoja, „Pamiętniki" Paska, „Marysieńka Sobieska" Boya-Żeleńskiego, wybór pamiętników z XVII wieku, „Listy polskie" w opracowaniu Malewskiej, Kossak-Szczucka z „Trembowlą" na czele, chyba wyczytałam całą bibliotekę do ostatniej litery. Pani bibliotekarka kiwa na mnie.

— Mam dla ciebie „Peregrynację do Ziemi Świętej" Radziwiłła Sierotki.

To straszne!

Po piąte, zaagitowałam panią od biologii, żeby założyć w szkolnym ogrodzie kącik ziół leczniczych: Biolożka zatrzymuje mnie na korytarzu i rozpoczyna rozmowę o koprze włoskim i farbowniku lekarskim. Nie mam pojęcia o ziołach, akurat była zima i nie zdążono mnie zapędzić do prac w wirydarzyku[153], gadam więc głupstwa jak Piekarski na mękach. (Nawiasem mówiąc, tam dowiedziałam się, kto zacz — ten Piekarski. Szlachcic, który dokonał zamachu na Zygmunta Wazę. Rozszarpano go czwórką koni, ciało spalono, a prochy wystrzelono z armaty.)

Po szóste — największa bomba. Chodzę z Jackiem. Wprawdzie tylko na treningi, ale zawsze. Na jeździeckie treningi w klubie sportowym „Legia", na Powązkach. W grudniu nasza klasa była na wycieczce w Płocku, po drodze zwiedzali w Łącku stadninę. Ona, tamta Małgosia, jakoś uprosiła, żeby jej dali pojeździć.

Kiedy zaczęła galopować, zbiegło się mnóstwo ludzi i gapili się, jakby to była olimpiada albo prawdziwe zawody. Koń tańczył pod tamtą Małgosią, maszerował niby na defiladzie, wyrzucając do przodu nogi, kłusował i w ogóle robił, co chciała. Później przyszedł jakiś pan i zapytał ją, w którym klubie jeździ. Bardzo się zdziwił, kiedy odpowiedziała, że w

153 Wirydarzyk — ogródek.

żadnym. Dał jej kartkę do pana trenera z klubu „Legia". I stąd się wzięły te treningi. Jej i Jacka, bo Jackowi zrobiło się łyso, że dziewczyna potrafi, a on nie. Więc się także zapisał.

Słucham tego wszystkiego jak bajki o żelaznym wilku. Nie do uwierzenia, ale tamta Małgosia radziła sobie wprost doskonale. Wszystko, co umiała, bardzo się jej przydało: i umiejętność kucharzenia, i znajomość ziół, i konna jazda, i talent do robót ręcznych. (Już nie dodam, że dytko o wiele staranniej ją przygotowało do życia w odmiennym święcie niż mnie.) A ja? Kogo i jak mogłam olśnić wiadomościami o rolnictwie w Paragwaju i zasadami działania silnika spalinowego? Komu miałam pochwalić się znajomością angielskich słówek albo wyciąganiem procentów? Moja wiedza okazała się w tamtym świecie zupełnie nieprzydatna, a czasem wręcz szkodliwa.

Zupełnie zgnębiona wlokę się z powrotem do domu, obok mnie Jacek. Ględzi o tebinkach, popręgu, anglezowaniu[154] i w ogóle nie wiadomo o czym, już bym wolała, żeby mi opisywał szczegóły dyszy samolotów odrzutowych, o takiej dyszy to ja przynajmniej coś niecoś wiem, a nie mam żadnych złudzeń co do swoich jeździeckich talentów.

Zrobimy razem matematykę jak zawsze? — pyta mnie Jacek.

Z matematyką zawsze radziłam sobie sama, i to wcale nie gorzej od Jacka. Widocznie jednak tamtą Małgosię dytko zapomniało (wyjątkowo!) obdarzyć matematyczną smykałką i stąd Jacek w roli pomagiera.

Proszę bardzo — mówię wbrew sobie, z całą słodyczą, na jaką mnie stać, stanowczo bardzo mi się wysłodził charakter przez to wszystko, po prostu cukier puder.

Chociaż dytko zadbało o to, żebym rozumiała opuszczone przez siebie lekcje, pozwoliłam Jackowi, aby mi tłumaczył działania jak ostatniemu matołowi. Nawet mu podziękowałam, kiedy wychodził.

154 Anglezowanie — unoszenie się w siodle w takt biegu konia, dla złagodzenia wstrząsów podczas jazdy wierzchem

W drzwiach obrócił się.

— Poszłabyś ze mną na „Potop”? Pewno i tak pójdziemy z budą, ale chciałbym najpierw z tobą.

— Może być.

— Ty masz tyle wiadomości z tego okresu.

Mam, mam, żebyś wiedział, że mam! Ona siedziała w tym piętnaście lat, ja niecałe cztery miesiące, ale i tak wiem tysiąc razy więcej od ciebie.

— Pogadamy jeszcze o tym — rzucam zagadkowo.

Wreszcie zostaję sama. Mama w pracy. Mogę zastanowić się spokojnie.

Zaglądam na swoją półkę w szafie, jakby z cichą nadzieją, że znajdę tam jakiś znak od tej drugiej Małgosi. Przewracam swoje własne rzeczy: halki, bluzki, trykotowa koszulka typu „niechlujek”. Jak wyglądała prawdziwa jejmościanka Małgosia w niechlujku? Pewno nie gorzej niż ja w bombiastej robie i w perłowym czółku. O rany, odpruła mi czerwone serduszko, co to je sobie przyszyłam na siedzeniu dżinsów. Wszystkie moje spódnice, które kiedyś sama pozakładałam na mini ekstra-super, podłużyła. Jak się chodziło w kieckach do samej ziemi, to widocznie trudno jest się przestawić na coś mocno kusego!

Ale to nie wszystko. W pudełku po czekoladkach„Goplana” znalazłam zdjęcie. Swoje zdjęcie.

Proste długie włosy, koszula w kratę, dżinsy. Tak, to jestem ja. Siedzę na karym koniu i przymrużam porozumiewawczo lewe oko.

— Cześć, jejmościanko Małgosiu — mówię wkładając fotografię z powrotem do pudełka.

Znajduję jeszcze mały śmieszny sweterek, szydełkiem udziergany we wzór motylich skrzydeł, i ogromnie fajną krajkę do przewiązywania bluzki. Ptaki i kwiaty wyhaftowane starannym, drobniutkim ściegiem, kolorowe i wesołe. Znam ten wzór, sama przecież pochylałam się nad nim, gdy łuczywo pryskało iskrami, a za ścianą płakał wiatr.

Jeżeli ona wiedziała, że znam ten haft, to ta krajka jest znakiem dla mnie, taką jakby pamiątką. Trudno mi wytłumaczyć, co mam na myśli, ale tak na pewno jest.

— Mama...

— Słucham cię, Małgosiu.

— Czy ty jeszcze pamiętasz... no, te rajstopy dla cioci Haliny? Bo ja chcę ci coś powiedzieć.

— Przecież namęczyłaś się nad nimi. Ze cztery razy prułaś, rysowałam ci wzór, a ty zaczynałaś od początku, aż wyszły prawie takie same.

— Ja nie o tym.

— To o czym?

— Przecież wiesz...

Mama odkłada na bok pismo, które czytała.

— Wiem.

Patrzy uważnie w moją twarz, czuję, że się czerwienię, zaczynam niemądrze mrugać powiekami, jak niegdyś Kasia.

— Już dawno chciałam z tobą porozmawiać, ale nie potrafiłam zacząć tej rozmowy.

Palce mamy coś zupełnie niepotrzebnie zwijają, coraz ciaśniej i ciaśniej.

— Trudny wiek, to się nazywa trudny wiek, ja rozumiem. Ale z tobą Małgosiu, dzieje się coś dziwnego. Po okresie arogancji nagle, z dnia na dzień, stałaś się zupełnie inna, nieśmiała, cofnięta, taka., taka... — mama długo szuka słowa i wreszcie znajduje: — Taka pokorna.

— Wydawało ci się — burczę niewyraźnie. Boję się podnieść oczy, bo może mama WIE. Moja mama potrafi być czasami szalenie przenikliwa. Wiele razy się o tym przekonałam.

— Ty sobie mogłaś nie zdawać z tego sprawy, ale ja cię obserwowałem. Robiłaś takie wrażenie, jakbyś się przymierzała do najzwyklejszych spraw, jakbyś nie była pewna, czy to jest w ogóle możliwe. Któregoś dnia spytałaś zupełnie serio, czy możesz włożyć dżinsy. Prosiłaś o pozwolenie na kąpiel.

Chciałaś, żebym z tobą wychodziła na. ulicę. Czego ty się bałaś, Małgosiu?

— Niczego.

— Nie chciałam mówić o tym, ale chyba powinnyśmy wreszcie porozmawiać. Ja i ty. Po tym okresie pokory i niepewności zaczęłaś się nagle znowu zmieniać. Z dnia na dzień. Strasznie chciałaś być potrzebna, pożyteczna, ważna, tak to przynajmniej wyglądało z boku...

— To źle? — spytałam nie swoim głosem.

— Nie. Dobrze.. Tylko dlaczego ty się tak spieszysz, Małgosiu? Rzucasz się do wszystkiego: „ja to zrobię", „ja chcę to zrobić", „pozwólcie mnie", „może ja spróbuję".

Tak, ona się rzeczywiście spieszyła ta jejmościanka Małgosia. Chyba także wiedziała, że nie ma wiele czasu, a chciała wykorzystać nowe dla siebie możliwości. Ja ją rozumiem.

— Jest takie przysłowie o słomianym ogniu — mówi mama. — Boję się, że z tobą jest właśnie tak.

— Nie jest.

— Od kilku dni jesteś znowu inna.

— Nie zauważyłam. — Ale uświadamiam sobie, że nie powinnam kłamać, więc dodaję: — Tak, chyba się ostatnio naprawdę trochę zmieniłam. — Przypominam sobie jakąś broszurkę, którą czytałam jeszcze przed swoją wyprawą w miniony czas. — Wiek dojrzewania cechuje ambiwalencja[155].

Mama zaczyna się śmiać.

— Strasznie jesteś dziecinna, Małgosiu. Ciekawe, jak byś się zachowywała, gdyby ci przyszło rozwiązać naprawdę poważny, życiowy problem.

— Jakoś bym się zachowała — stwierdzam, ciesząc się jednocześnie, że mama niczego się nie domyśla.

Była na tropie, fakt, prawie rozszyfrowała jejmościankę

155 Ambiwalencja — dwojakość dwuwartościowość uczuć; przeżywanie przeciwnych stanów uczuciowych w stosunku do tych samych osób, przedmiotów lub sytuacji.

Małgorzatę. Ale nie wie. I dobrze, że nie wie.

— Zawsze się zastanawiam, jak w tobie jest wszystko pomieszane: rozsądek i hopsy, posłuszeństwo i przekora, niepewność i bezczelność. Czasem mi się wydaje, że istnieją dwie Małgosie, przynajmniej w ostatnich miesiącach...

— Może naprawdę jest nas dwie — cmoknęłam mamę w policzek. — A którą wolisz?

— Taką jak teraz — odpowiedziała mama.

To było wszystko. Miałam wielką ochotę spytać mamę o mnóstwo rzeczy, ale uznałam, że lepiej milczeć, ostatecznie to nie była tylko moja własna sprawa. Niech tak zostanie, jak jest, jejmościanka Małgorzata mruga do mnie porozumiewawczo z fotografii: „Mądrej głowie dość dwie słowie". Może już tego wieczoru pochyla się nad swoim rożkiem kapy, ciężkim i sztywnym od złotego szychu, i patrzy z uśmiechem na pokraczne kulfonowate ściegi. „Maślane ręce, Małgosiu z ósmej c". Sama jesteś Małgosią z ósmej c, wiesz? Ciekawe, czy jeszcze pamiętasz, bo ze mną jest jakoś dziwnie. Od chwili kiedy znalazłam się z powrotem w naszym mieszkaniu, to, co przeżyłam, odpłynęło i jakby straciło swój ciężar. Coś takiego bywa, gdy się ogląda film — śledzi się z napięciem losy bohaterów, płacze i śmieje, a potem, na ulicy, zaraz się zapomina. Właściwie: nie zapomina, pamięta się i wie, ale przestaje to być ważne, dużo ważniejszy od cierpień nieszczęśliwej miłości robi się autobus, który akurat złośliwie rusza, kiedy dobiegasz do przystanku.

I tak właśnie jest ze mną. A z tobą, jejmościanko Małgorzato?

Ale jedno na pewno jest prawdą — zmieniłam się. **I** ty się chyba zmieniłaś, Małgoś. Wiem także o czymś jeszcze. Nie tęsknisz do świata, w którym ci przyszło żyć przez parę miesięcy, i ja także nie tęsknię za twoim światem. Kiedyś przeglądałam w gazecie artykuły o tym, że się będzie zamrażało ludzi i budziło za sto lat. Widziałam także film, dosyć draczny, o takim zamrożonym panoczku, który się obudził. Moim

zdaniem to nie jest pomysł. Ciekawe, czy przyznajesz mi rację?

Domyślam się już, dlaczego znalazłam się po drugiej stronie lustra. W celach wychowawczych, tak to można określić. A ty? Dlaczego ty znalazłaś się tutaj, jejmościanko Małgosiu? Czy także uznano, że trzeba ci poprawić charakter w taki dziwny sposób?

Szkoda, że nie możemy ze sobą pogadać. Powiedziałabym ci trochę ciekawych rzeczy, chociażby o tym życiu w szufladkach albo o liczeniu dusz i pieniędzy, może i ty mogłabyś mi też powiedzieć coś ciekawego, czego ja nie zauważyłam.

Mija jeden dzień, drugi, trzeci. W klasie otwieram zeszyty, które przede mną zapisywała jejmościanka Małgorzata, miała zabawne, spiczaste pismo, moje litery są dużo niższe i okrąglejsze. W miarę skromnych możliwości usiłuję kontynuować działalność tamtej Małgosi: pokazuję na próbie, jak się tańczy gonionego, z rozpaczą usiłuję za pomocą szydełka zrobić coś z seledynowej włóczki, którą kupiła mama. Jak dotąd wychodzi mi wyłącznie gigantyczny ściągasz, ściągacz-monstrum. Czytam „Trylogię". Nawet mi się podoba, bardziej niż serial. Na treningi nie chodzę, cierpię na coś w rodzaju koniowstrętu. Kiedy widzę wóz zaprzężony w konia, momentalnie przypomina mi się las zalany księżycowym światłem i zaspy śnieżne, przez które brnę i brnę bez końca. Jacek przyniósł mi kartkę od trenera. Powiedziałam, że się źle czuję i chyba będę musiała zrezygnować. Z dwojga złego wolę być sportowym antytalentem niż skompromitowaną ofiarą umiejętności jeździeckich jejmościanki Małgosi.

Ale na ogół wszyscy są ze mnie dosyć zadowoleni. Ja z siebie też, chociaż jestem zdania, że pomysł z drugą Małgosią — przy wszystkich swoich pozytywach (mama się nie martwiła moim tajemniczym zniknięciem) — bardzo mi skomplikował życie. Muszę się starać być podobna do niej, bo wszyscy na mnie liczą. Ja jej narozrabiałam zupełnie inaczej. Pewno też nie jest oczarowana tym, co zrobiłam, może ona marzyła o wyjściu za

staruszka z krzywą szyją i cieszyła się, że dostanie spadek po nieboszczyku dziadku. No, to nie wyjdzie i nie dostanie. Ja jestem zdania, że i staruszek, i te wsie były jej niepotrzebne. W pewnym sensie zremisowałyśmy, jejmościanko Małgorzato. Ty mnie wkopałaś w różne sprawy i ja cię też wkopałam. (Co prawda to „wkopanie" jest nieporównywalne: ona we mnie haftem i treningami, ja w nią — innym mężem i wydziedziczeniem.)

Przyjrzyj się dobrze krzywym ściegom na kapie i nie myśl o mnie źle. Był taki czas, że naprawdę starałam się być tobą i postępować tak, jak ty byś postąpiła. To się mimo wszystko powinno liczyć.

Dzisiaj też mama wróci później. Kupiłam wszystko, co trzeba, czytam „Trylogię" pogryzając jabłko, przede mną leży ściągacz-gigant z seledynowej włóczki, chyba spruję to szkaradzieństwo, potajemnie kupiłam broszurkę o szydełkowaniu, spróbuję jeszcze raz, podług instrukcji. Ostatecznie miliony kobiet to potrafią, więc i ja mogę się nauczyć.

W naszym bloku rury zachowują się co najmniej oryginalnie, charczą, rzężą, wyją, a teraz chichoczą. Takim cieniutkim dytkowym chichotem.

— Małgosiu!

To nie żadne rury, to prawdziwe dytko.

— Jesteś zadowolona, Małgosiu?

— Tak. Jestem.

— No, nareszcie nasze spotkanie przebiegnie w pełnej zrozumienia, przyjacielskiej atmosferze. Może chcesz o coś zapytać?

— Właściwie nie. Teraz już wiem, dlaczego mnie tam wpakowałeś, dytko.

— Proszę o precyzyjne formułowanie. Nie mogłem cię wpakować, jestem dytkiem niskiej rangi i wypełniam wyłącznie instrukcje przełożonych. A poza tym nie cele

wychowawcze były powodem całej historii. To, że poprawiłaś swój charakterek, jest produktem ubocznym, przyznaję nie bez znaczenia. Ale chodziło nam głównie o coś innego.

Odkładam nie dojedzone jabłko.

— To znaczy o co?

— Czy już wspominałem ci o...

— O tych rogach, które rosną do środka?

— Odłóżmy rogi na bok, chociaż to niemożliwe, to znaczy ja nie mogę tego, niestety, zrobić. Muszę ci coś powiedzieć o moich zwierzchnikach. Ostatnio bardzo unowocześnili metody pracy. Można powiedzieć, że ich zainteresowanie środkami masowego przekazu...

— Dytko, co ty wygadujesz?

— Nie wygaduję, tylko wyjaśniam. Oni twierdzą, że wszystko powinno się kończyć optymistycznie i pogodnie, a kiedyś, może o tym słyszałaś, wszystkie finały miały charakter ponury i makabryczny, piorun spadał z jasnego nieba, otwierała się ziemia, dymiąc siarką, albo trąba powietrzna unosiła naszego podopiecznego pod obłoki. Teraz nic z tych rzeczy. Musi być pogodnie, z uśmiechem i sympatycznie. Więc kiedy polecono mi się zająć sprawą jejmościanki Małgorzaty...

Szum jadącej windy na chwilę przygłuszył słowa dytka.

— ...nie masz pojęcia, jak ona płakała. Płakała, kiedy jej nikt nie widział, najchętniej nocą. Ona jest bardzo dobrze wychowana i posłuszna i nigdy nie zdobyłaby się na jakikolwiek sprzeciw. Prędzej by umarła, niż przyznała się, że kocha Joachimka. Znasz jej matkę, więc sama wiesz, że takie przyznanie wcale nie byłoby łatwe. Nie myśl, że ona jest tchórzem, wcale nie to, ona jest po prostu za dobrze wychowana, aby zrobić coś, czego się nie powinno zrobić. Paskudna historia, próbowaliśmy tak i owak skłonić ją do oporu i nic — ciągle wzór dobrej córki, a każdej nocy poduszka przemoczona łzami na wylot. Czy masz pojęcie, ile kosztuje pierze na taką wielką poduszkę.

Nie, nie miałam pojęcia.

— Zabrałem się do rzeczy systematycznie i naukowo. Zaprogramowaliśmy komputer i przedstawiliśmy mu ileś tam milionów danych o piętnastoletnich panienkach z różnych epok. Gdybyśmy mieli zrobić to sami, wszystkie dytka, rokity, boruty, ubożęta i wodniki pracowałyby nad tym trzystą siedemdziesiąt dziewięć lat, a zważ, że i my mamy swoje specjalne metody. Komputer załatwił to w kwadrans. Wybrał ciebie.

Wytrzeszczyłam oczy niczym przerażony rak. Byłam tak zdumiona opowieścią dytka, że nie potrafiłam wykrztusić z siebie słowa.

— Sprawdziliśmy. Wiek dokładnie ten sam. Wymagane cechy: egoizm, lenistwo, spryt i nieliczenie się z innymi, w pełnym rozkwicie. Spostrzegawczość i inteligencja na niezłym poziomie, powinnaś się względnie łatwo i szybko zaadaptować w nowych warunkach.

— Ale dlaczego? — zapytałam zupełnie bez sensu.

— Dlatego, że my nie opracowujemy scenariuszy, stawiamy na spontaniczne działanie osób zainteresowanych. Myśmy ci tylko zmienili wygląd, zaopatrzyliśmy w wiedzę, przyznaję ze skruchą, bardzo niepełną. Cała reszta zależała od tego, co ty zrobisz.

I nie zawiodłaś naś, Małgosiu.

— Nie zawiodłam? Jak to?!

— Normalnie. Ktoś inny mógłby nie chcieć robić przykrości tamtejszej matce albo by się zastanawiał, czy można skoczyć z motyką na słońce, albo by mu zabrakło odwagi w decydującej chwili, albo uważałby za najrozsądniejsze pogodzenie się z losem. Ty nie.

— Dytko, to jest niesprawiedliwe i głupie! Samo wiesz, co ja tam przeszłam.

— Nie zaprzeczam. Sporo. Zadanie przeznaczono ci niełatwe, żeby nie powiedzieć, trudne. Musiałaś pozbawić Małgosię tego

sławetnego zapisu, obrazić pana Stanisława (ale gdybyś miała wsie, nie pozbyłabyś się tego konkurenta żadnym sposobem), przekonać matkę Małgosi, że jej córka zasługuje na współczucie, i wreszcie stworzyć taką sytuację, aby oświadczyny Joachimka mogły zostać przyjęte jako szczęśliwy uśmiech losu.

— Czy ty... czy wyście jakoś mną kierowali?

— Nie. To było niemożliwe..

— I puściliście mnie samopas?

— Tak.

— I ja z własnej woli zrobiłam to wszystko, co sobie zaplanowaliście?

— Tak. Można powiedzieć, właściwy człowiek na właściwym miejscu, czyli wielka pochwała nowoczesnej polityki gospodarowania kadrami, Małgosiu. Jestem upoważniony do przekazania ci wyrazów szczerego podziwu. Chciej się od tej chwili uważać za honorowego współpracownika naszego departamentu.

— Dytko, czasami jesteś zupełnie miłe.

— Ja zawsze jestem miłe dytko, tylko nie wszyscy to doceniają. I ty, o ile sobie przypominam, jeszcze niedawno twierdziłaś coś zupełnie innego.

— Bo nie wiedziałam.

— W porządku. A wracając do moich zwierzchników...

— Co znowu z tymi zwierzchnikami?

— Oni mają koncepcję. Stare formy pracy zupełnie się przeżyły, a nie będziemy przecież istnieć na marginesie, nikomu niepotrzebni i zapomniani. Akcja pod kryptonimem „Małgosia" była w pewnym sensie sprawdzianem nowego stylu pracy, reklamą, wizytówką czy jak chcesz to nazwać, i zakończyła się pełnym sukcesem.

Teraz rzeczywiście zachichotało w rurach å la dytko.

— Co to?

— Rury, dytko. One tak zawsze.

— Paskudny plagiat! Nawet przez chwilę myślałem, że to konkurencja podsłuchuje.

— Jaka konkurencja?

— Nieważne. A więc akcja zakończyła się pełnym sukcesem. Pewno awansuję na domowika.

— Na co?!

— Na domowika. Szersze kompetencje i w ogóle odpowiedzialniejsze stanowisko. Małgosiu, chcę ci coś zaproponować. Czy masz ochotę zapomnieć? Bo w chwili przeniesienia ukierunkowaliśmy cię na „tutaj", osłabiając emocje związane z „tam", ale zostawiliśmy ci pamięć. Wystarczy jedno słowo, a zapomnisz o wszystkim.

Błyskawicznie rozważyłam propozycję, dobrze byłoby zapomnieć o wielu sprawach, nie ma się czym chwalić, ale również dobrze byłoby zapamiętać.

— Zostawcie mi pamięć, dytko.

— Ślicznie, ale ostrzegam, że nikt ci nie uwierzy, jeśli zechcesz opowiadać.

— Wiem.

— To już chyba wszystko. Zegnaj, Małgosiu.

Zebrałam się na odwagę.

— Dytko, chciałabym cię zobaczyć.

— Naprawdę?

— Tak.

— Spójrz w lustro!

Tak jak opowiadała panna Franciszka, gładka powierzchnia zmąciła się, zmatowiała, w środku ukazała się duża, trochę spłaszczona głowa z dwoma wypukłymi guzami na czole. Od tej głowy — jak od tułowia pająka — odchodziło mnóstwo słomianych nóżek, które rozpinały się na powierzchni zwierciadła niczym dziwna gwiazda.

Dytko wcale nie było straszne, raczej zabawne.

— Nie boisz się, Małgosiu?

— Ja? Wcale się nie boję.

— To fajnie. Chcesz jeszcze czego?

— Tak. Jak wy to robicie, że możecie działać w czymś, co już dawno minęło, w czymś, czego nie ma, co odeszło i przecież nie może wrócić.

— Dziecinne pytanie. My także nie istniejemy.

— Ale ja cię widzę, dytko.

— No, cóż. Nic na to nie poradzę. To tylko sprawa fantazji.

Widocznie nie powinnam była o to pytać, dytko wyglądało na oburzone i dotknięte moim wścibstwem. Jego słomiane nóżko-łapki podkurczyły się obronnie.

— Przepraszam. Ale...

— Co jeszcze, Małgosiu?

— Boję się, że to pytanie także będzie należało do nietaktownych.

— Najwyżej nie odpowiem. Wal śmiało, nic nie ryzykujesz.

— To mi powiedz... użyłeś słowa „podopieczna". Dlaczego tamta Małgosia jest twoją, to znaczy waszą podopieczną? Czy są jakieś specjalne powody, żeby się nią opiekować?

— Są.

— Jakie?

— Ona w nas wierzy. No i dokonała wszystkich niezbędnych formalności, których należy dokonać, żeby otrzymać nasze poparcie.

Podpisała... cyrograf?...

— Coś podpisywała? Własną krwią?!

— Nie. Mogę ci powiedzieć, jakie to formalności. Trzeba wyjść na rozstajne drogi, ale to muszą być takie rozstajne drogi, gdzie schodzi się nieparzysta ilość traktów. O północy, na rozstajnych drogach, wiążesz trzy węzły na sznurze, wymawiasz zaklęcie i palisz sznur żywym ogniem skrzesanym z krzemienia. I to wszystko. Aha, nie wolno ci mieć przy sobie nic żelaznego.

— Ona zrobiła tak, jak mówisz?

— Zrobiła.

— Ale skąd wiedziała?

— Od panny Franciszki, Małgosiu. Panna Franciszka ma w małym palcu wszystkie zaklęcia, Ale jest lojalna, zawsze zostawia do wylizania naczynie po miodzie ubożętom i skrzacikom. No, już rzeczywiście najwyższy czas na mnie.

— Dytko...

— Małgosiu, w ten sposób będziemy gadali do północy...

— Ale jeszcze jedna, już najostatniejsza rzecz.

— Pytaj.

— Ja... ja mam wrażenie...

— Mów.

— Ja mam teraz wrażenie, że wam zależało, abym zniknęła właśnie w tym momencie, kiedy to się stało.

I nagle zobaczyłam śmiejące się dytko, nie chichoczące, ale śmiejące się do rozpuku.

— Brawo! Racja!

— Ale dlaczego?

— Bo Joachimek musiałby cię pocałować. A nam zależało, żeby całował właściwą osobę, nie dublerkę. Jemu zresztą także. No i wyobraź sobie, co by powiedziała prawdziwa Małgosia, gdyby doszła do niej wiadomość o takiej fuszerce... A moi zwierzchnicy naoglądali się seriali telewizyjnych i teraz nie ma mowy — wszystko się musi kończyć finalnym pocałunkiem. Bez pocałunku całość nieważna. A nasza historia nawet w tym szczególe jest doskonała, Małgosiu. Żegnaj!

Redaktor
JOANNA RODZIEWICZ

Redaktor techniczny
MARIA ENGLICHT

Korektorzy
GRAŻYNA MAJEWSKA
MIROSŁAWA KOŁEK

ISBN 83-10-08525-7

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia", Warszawa 1984 r.
Wydanie III. Nakład 40 000+200 egz. Ark. wyd. 12,2.
Ark. druk. Al — 14,0. Podpisano do druku w styczniu 1984 r.
Łódzka Drukarnia Dziełowa w Łodzi, Łódź, ul. Rewolucji 1903
r. nr 45. Zam. nr 369/1100/83. M-25

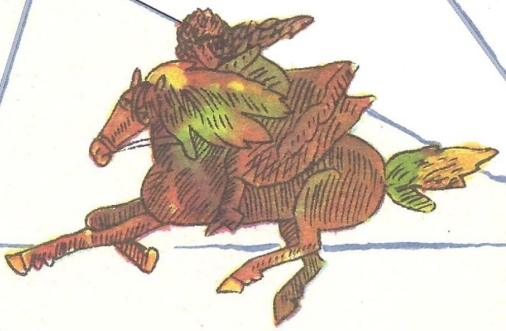

NASZA KSIĘGARNIA

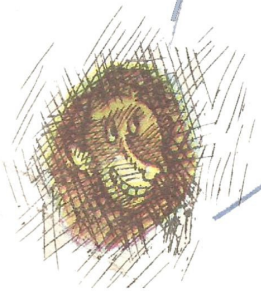

lesiojot

ISBN 83-10-08525-7